

Neil Barbara

Dziedzictwo Delii Sutherland

”Dziedzictwo Delii Sutherland” to subtelna opowieść o kruchych związkach między ludźmi, więzach, dzięki którym życie nabiera sensu. Bohaterka, pełna kompleksów dziwaczka, dopiero po śmierci męża odkrywa, że była jego jedyną miłością i że to ona nie potrafiła kochać tak, by się w tym uczuciu zatracić. Odnajduje Francisa w innym mężczyźnie. Czy będzie umiała zmierzyć się z tą miłością?

Część pierwsza

I

To niemądre zakochać się w zmarłym mężczyźnie. Pewnie nigdy by się to nie stało, gdybym nie spała. Ten głęboki sen trwał czterdzieści pięć lat.

Obudziłam się jednak; teraz, nie mając oparcia, czuję się bezpieczna jak nigdy wówczas, kiedy je miałam. Pozostałam jednak po staremu odludkiem. Różnica polega na tym, że stałam się tego świadoma. Weźmy na przykład tę kobietę przy sąsiednim stoliku, która tak jak ja przychodzi tutaj dzień w dzień, nawet kiedy pada. Przygląda mi się, chociaż udaje, że nie, i strząsa kawałki kanapki do pyszczka puchatego pudelka, którego trzyma na kolanach, a potem wyciera tłuste palce w te swoje nieśmiertelne jedwabne kwiaty, wpięte w klapę żakietu. Właśnie po to są wpięte. Na pewno uważa, że zwariowałam, tak mi podpowiada intuicja. Widzi, jak sądzę, moje łyzy; do diabła z nimi. A ja się śmieję, naprawdę się śmieję. Nic mnie to nie obchodzi. Chciałaby mnie poznać. Nie mogę jej na to pozwolić, bo wtedy nie skończy się na jednym razie. Bądź co bądź, mamy już jesień; niedługo pogoda wszystkich wygoni do wnętrza kawiarni. Ona będzie pierwsza; to stara kobieta i już teraz, mimo iż słońce grzeje, jest jej chłodno, a przepływający obok tłum trochę jej przeszkadza. Może zostaną tu jeszcze ze dwie osoby. Kiedy zima wypłoszy ją do środka, uśmiechnę się do niej tak, jak chciałaby teraz, *bonjour madame*, żeby wiedziała, że ja wiem. Ale na tym się skończy, gdyż ja zostanę na zewnątrz, nie zważając na zimno, jak zwykle.

Gdybym jej na to pozwoliła, pierwszą rzeczą, o jaką by mnie spytała, byłaby pocztówka. Moja kartka pocztowa, oparta o gruby chiński spodeczek od filiżanki z kawą. Zawsze ją tak stawiam, gdy piszę coś w zeszycie albo przeglądam to, co już napisałam, sprawdzam, czy nie pominęłam żadnego szczegółu; potem zbiorę je wszystkie razem dla ciebie. Dzięki temu w końcu naprawdę mnie po-

znasz, a twoja wiedza na mój temat, wolna od osądów, da mi ukojenie, którego pozbawiła mnie śmierć. Bo chyba chodzi nam właśnie

o to, aby przestać mieć do siebie żal, czyż nie?

Pocztówka: kelner zgarnął ją[^] ze stołu wraz z filiżankami i kieliszkami po winie, jakie nagromadziły się tutaj przez cały ranek. Nie zauważyłam tego, ale prawie natychmiast zorientowałam się, że zniknęła. Wstając, strzepując fałdy długiej spódnicy, szurając krzesłem

i szukając pod stołem, musiałam wyglądać na przerażoną. Starsza pani przez cały czas na mnie patrzyła. Kiedy mijał ją młody, przystojny kelner, zauważyłam, że czerwone paznokcie jej powykrecanych artretyzmem dłoni prześlizgnęły się po jego rękawie. Trzymając w górze tacę pochylił się z niechęcią, aby usłyszeć, co ona mówi i jednocześnie zerknął w moją stronę. Po chwili podszedł do mojego stolika, wyłowił spomiędzy naczyń na tacy moją kartę i położył ją na stoliku, pogardliwie wzruszając ramionami.

Udawałam, że nie wiem, co się stało, że się nie domyślam, iż to ona uratowała moją pocztówkę. Ale podziękuję jej. Wkrótce kupię jej nowy jedwabny bukiet do klapy.

Kelner mógł sobie pomyśleć, że moja karta to śmieć. Dostałam ją trzy miesiące temu i była tyle razy dotykana, czytana, ponownie czytana i oglądana, że wygląda jak szmata. Jaskrawy obrazek przedstawiający sklep rybny przecinają białe linie. Tania odbitka jest niewyraźna, na jednym ze straganów stosy pomarańczowych krabów mieszają się z czarnymi małżami, wielka ryba leżąca na innym wygląda jak swój własny cień. Woda w zatłoczonej zatoczce za straganami ma buroniebieski kolor. Na poplamionym znaczku widnieje słowo „Marsylia”; dzięki temu wiem, co przedstawia zdjęcie. Przy ruchliwej uliczce stoją kramy, dalej zatoka, wszystko wyblakłe, ale wciąż takie samo. Na odwrocie tekst: „Tu jesteś, pani Sutherland” To wszystko, żadnych pozdrowień ani podpisu. Czy to oznacza „Jesteś tu, gdzie powinnaś być”? A może: „Mówiłem, że tutaj przyjedziesz”? Albo podkreślone słowo „tu”, jakby westchnienie ulgi: „Pani Sutherland, *tu* jesteś”?

Czy zostanę odnaleziona?

II

Delia Sutherland jechała dwadzieścia mil na godzinę, czyli z prędkością, którą sama określiła jako dozwoloną, pokonując osiem mil prywatnej drogi, należącej do jej własnej posiadłości; majątku nie przecinała żadna droga publiczna z wyjątkiem kilku ścieżek, a wszystkich czterech wejść strzegły bramy. Na drodze leżał jakiś nieruchomy kształt. Podjechała bliżej. Jeleń. Zostawiwszy samochód z silnikiem na chodzie i otwartymi drzwiami, stała tak na środku drogi i osłaniając oczy patrzyła w kierunku, z którego przybyła. Ktokolwiek ustrzelił zwierzę, musiał jechać stamtąd. Jeleń biegł pewnie Szlakiem Francisa. Często zwalniała, aby popatrzeć na samotne jelenie, wyłaniające się z tej obrośniętej leszczyną ścieżki. Z tego miejsca do jeziora było jakieś pół mili.

Kucnęła, aby się przyjrzeć krzepnącej strużce krwi, która wyciekła z nozdrzy zwierzęcia, oraz zastygłemu w oczach strachowi. Spróbowała dźwignąć jelenia, sprawdzić, ile waży, zanim chwyci szorstką sierść i wciągnie go do bagażnika zakurzonego pickupa.

- Nie ruszać. Powiedziałam, nie ruszać. - Dwa labradory, które jechały razem z nią, przycupnęły w przeciwległych kątach auta i ciężko sapały. Jechała i klęła. - Cholerne maniaki, ślepi kierowcy...

W oddali, za drzewami, tam gdzie kończył się park i pola, widać było dom. Patrzyła nań wcale nie jak ktoś, kto się w nim urodził, kochał i nigdy nie mieszkał gdzie indziej. Właściwie, wcale go nie zauważała, wyczuwała jedynie jego bezpieczną bliskość, tak jak czuła inne rzeczy w tej chwili: zmęczenie, głód, zapach sadzy i dymu z rozpalonego wcześniej pieca, zapach, którym przesiąkła jej skóra.

Był to szary, kamienny, georgiański budynek. Dziewięć podłużnych okien na pierwszym piętrze odbijało niebo, osiem kolejnych na parterze, rozdzielonych frontowymi drzwiami - ciemną linię drzew. Te wysokie okna, drzwi z paszczą schodów i łukowaty, sięgający da-

chu portal nadawały budowli wyraz nieustannego osłupienia. Jakby otaczająca dom przyroda szeptała mu na ucho szokujące tajemnice. Wdzięczna architektura wschodniej strony przechodziła w niższe, wiktoriańskie skrzydło, częściowo zasłonięte szpalerem cisów. Drzewa te liczyły sobie tyle lat, co sama dobudówka. Nawet one nie potrafiły jednak ukryć jej brzydoty.

Delia Sutherland ruszyła w dalszą drogę, i, kiedy dom zasłonił rząd buków i lip, zatrzymała się ponownie. Sięgnęła po strzelbę i złamała ją, przez cały czas rozglądając się bacznie. Psy czujnie zbliżyły się do przegrody, z trudem powstrzymując się od skomlenia.

- Ciii, chłopaki, cii.

Po omacku grzebała prawą ręką pod plandeką - paczka miętusów, jakieś zatłuszczone szmaty, szklana fiolka ze spermą byka - aż jej palce wymacały gładki kształt naboju. Nabiła broń i wysunęła lufę przez otwarte okno po stronie pasażera. Przesunęła się bliżej, podwijając nogę. Kiedy wycelowała, z gardeł psów dobyło się warczenie.

- Spokojnie maluchy, spokojnie.

Przyłożyła kolbę do policzka i nacisnęła spust. Z pobliskiej lipy spadła na ziemię biało-czarna pierzasta kula. Odbiła się i znieruchomiła.

- Mam cię, ty mały draniu.

Psy zaczęły szczekać na nieżywą srokę. Nie uciszała ich.

Po chwili dom wyłonił się w całej okazałości. Dopiero teraz można było zobaczyć, jak jest zrujnowany. Pod parapetami widniały zacieki, które wyglądały jak zielone łzy. Balustrada balkonu była popękana, przez jedną szparę przebijała się kępka trawy.

Chciała zaparkować tyłem, ale wsteczny bieg nie wchodził.

- Cholerne zagraniczne samochody! - Spróbowała jeszcze raz. Psy kręciły się jej pod nogami, kiedy wchodziła po pięciu wyszczerbionych stopniach. Nacisnęła mosiężną klamkę i, zostawiwszy za sobą rzeński wieczór, znalazła się w Sleet.

W bawialni czuło się zapach wolno upływającego czasu oraz jakąś inną, nieprzyjemną woń, która przebijała się przez ciszę. Był to odór, którego Delia Sutherland nigdy dotąd nie zauważała. Tutaj zaczynały się szerokie drewniane schody, które w połowie dzieliły się na dwa biegi, prowadzące do wąskich podestów, gdzie przez okna wpadało do środka trochę światła. W kominku leżały osmalone kłody. Palono w nim jeszcze, bo jak na maj, było dość chłodno.

Zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Brr - powiedziała do psów.

Nie było jej wcale zimno. Po prostu często tak mówiła. To przeciąg sprawił, że zadrżała, jak każdy zresztą, kto wchodził do Deszczowego Domu.

Psy wepchnęły się za nią do przechowalni. Kiedyś znajdowała się tu biblioteka, ale książki sprzedano jakieś trzydzieści lat temu. Rozsądna decyzja, dzięki której pokój wreszcie stał się użyteczny. Klonowe półki na ścianach obecnie zastawione były wszelkiego rodzaju sprzętem sportowym - do tenisa, krykieta czy wędkowania - chociaż nikt z mieszkańców Deszczowego Domu już dawno nie uprawiał żadnego z tych sportów. Nie używano także niezliczonych par gumiaków, stosów skórzanych owijaczy i okryć, mających już swoje lata. Strzelby stały w miejscu, skąd półki usunięto.

Ze swego legowiska, zasłanego ubłoconym prześcieradłem, psy obserwowały swoją panią, która przy stole na środku czyściła broń, aż wreszcie z jakiejś miski rzuciła im dwie kości. Wróciła do hallu i ponownie przejrzała nie otwarte listy, leżące wśród gazet. Odrzuciła nie wróżące nic dobrego koperty, do których nie zajrzała już drugi dzień. Poczta przyniesiono w sobotę, a była już niedziela.

Usłyszała szuranie kłapek. Dochodziło z przejścia do kuchni, znajdującej się w wiktoriańskim skrzydle, od strony lewych schodów.

- Dobry wieczór, Curtis - powiedziała, nie podnosząc wzroku znad poplątanej psiej smyczy, którą zamierzała zostawić w przechowalni.

Staruszek się zatrzymał.

- Dobry wieczór, panienko - powiedział. Miał opuszczoną głowę i zmarszczone brwi.

Urodziła się wkrótce potem, kiedy jako lokaj zaczął pracować w Deszczowym Domu. Zawsze była dla niego „panienką”. Stare dzieje, kiedy była tu prawdziwa służba, prawdziwa praca, stare dzieje, kiedy życie miało swój smak. Stare dzieje. Kiedy wyszła za męża, zaczął do niej mówić „madame”, ale ten zwyczaj się nie przyjął. Przeciągnął zniszczoną dłonią po szarobłękitnych włosach i przetarł oczy o długich rzęsach. Oczy o wyrazie rozczarowania i rezygnacji. Kształtne, jakby rzeźbione nozdrza dumnego nosa dla tych niewielu, którzy go znali, stanowiły barometr jego nastroju.

- W przechowalni jest kość wołowa dla psów, panienko. Podzieliłem ją na dwie części. Dla panienki podana fasola w jadalni.

- Dziękuję, Curtis, ale nie będę jadła.

- Tak też myślałem, panienko. - Obydwoje podejrzewali się nawzajem o sarkazm. Fasola zawsze była i będzie w niedzielę, dopóki on gotuje. Przyrzędził ją na dziś wieczór tylko dlatego, że panienci nie było w domu.

- Dobranoc panience. - Poczłapał do jadalni.

- Dobranoc, Curtis - zawołała za nim, być może za późno, bo właśnie zasuwał kotary. Usłyszała, jak otwiera, a potem zamyka za sobą drzwi i idzie tylnymi schodami do swojego mieszkania na pierwszym piętrze. Delia Sutherland powróciła do swoich rozważań. Grzebiąc w kieszeniach za dużych wojskowych spodni wydobyła klucze i rzuciła je na stół. Następnie udała się na górę. Jej kroki odbijały się echem od ścian i sufitu.

- Bung, Ho. Chodźcie, chłopaki. - Psy ruszyły za nią; stukot pazurów był tak głośny, jakby szło ich całe stado.

Na kilka minut w hallu zrobiło się pusto, aż do chwili, kiedy do domu weszła kobieta. Zatrzasnęła za sobą drzwi. Na jednym z krzeseł położyła coś dużego, owiniętego w czarną folię. Zdjęła kurtkę i syknęła, energicznie rozcierając ręce i ramiona, okryte rękawami bawełnianej sukienki. Znowu przeciąg. Gdyby ktokolwiek chciał znaleźć jego źródło, znalazłby szeroko otwarty, zapomniany świetlik w końcu korytarza wiktoriańskiego skrzydła domu. Po zimnych ścianach powietrze wędrowało do siedmiu nie zamieszkanymi pokoi - dawno temu sypiały w nich pokojówki - i wpadało przez wahadłowe drzwi, prowadzące do głównej części domu. Tutaj przeciąg czał się i czekał, aż frontowe drzwi znów się otworzą. Wtedy te poprzednie odchyła się na tyle, aby mógł się przez nie wymknąć, dmuchnąć ponad postrzępionym dywanem w przedpokoju, zakołysać zbożem na licznych oprawionych w złoczone ramy sielskich obrazkach, które wisiały pomiędzy wejściami do ośmiu gościnnych pokoi, i popłynąć w dół po schodach. W hallu, omijając ciepły powiew powietrza, napływającego łukowatym przejściem z kuchni, zatrząsł drzwiami do jadalni oraz drzwiami nie używanej bawialni. Zatrzepoce gazetami, leżącymi na onyksowym stoliku, zakręci się wokół zakurzonych, filcowych myśliwskich kapeluszy oraz czapek do krykieta, wiszących na palmowym stojaku, świeńnie obok frontowych drzwi, aby wreszcie dotrzeć do przedostatniego celu: salonu. Tutaj odpocznie w otchłaniach sofy, aby na koniec dmuchnąć w kostki Dorelii na obrazie Jana Augusta, przetrząsnąć gazety na inkrustowanym mahoniowym biurku i rzucić okiem na pamiątkowy zbiór Caldwella, mieszczący

się w oszklonej, chippendalowskiej biblioteczce. Ta ostatnia psota miała rozdmuchać szaty i zastukać podszwami sandałów grupki dziesięcioocalowych figurek z porcelany K'ang Hai. Postacie łagodnie pochylały głowy ku trzymanym przez siebie wazom, z których każda zawierała po jednym tulipanie. Następnie przeciąg ginał w gorących płomieniach kominka. Palono w salonie jak dzień długi, przez okrągły rok. Wieczorem ogień wygaszał, a wiecznie gorący popiół podpalał pierwszą kłodę następnego ranka.

Sypialnia Delii Sutherland mieściła się w pokoju wychodzącym na zachód. Była wysoka, widna i chłodna nawet latem. Zostały w niej te same różowo-szare zasłony i narzuta, które trzydzieści siedem lat temu były świadkami długiej, fatalnej w skutkach choroby jej matki. Nad szerokim łóżkiem zwisał organdykowy baldachim; spływając po toaletce, zakrywał szufladki i miejsce na kolana. Toaletka była pamiątką po bardzo kobiecej niewieście, która miała odmienne podejście do życia niż jej córka Delia. Ona, odkąd skończyła siedemnaście lat, upinała włosy zawsze z mocno zamkniętymi oczami. Poświęcała swemu odbiciu jedynie odrobinę uwagi, a resztę higienicznych zabiegów załatwiała w łazience. Dlatego toaletka, srebrne szczotki, kryształowe słoiczki ze starymi puszkami i ametystowa puderniczka, w której były jeszcze trzy kuleczki jasnego pudru, pozostały nietknięte.

Delia rozebrała się i włożyła szlafrok. Wyjęła szpilki z nieporządnie upiętego koka i spojrzała w jedno z trzech okien. Trzy tysiące akrów pól i drzew tonęło w głębokiej ciszy; ciszy sierpniowej.

Rozległo się pukanie. Zza drzwi wychyliła się głowa Muriel Fuller.

- Wiedziałam, że tu cię znajdę. - Cisnęła swoją paczkę i opadła na fotel.

Muriel miała bladą cerę i jasne włosy. Była piękna, chociaż czasami, kiedy tak jak teraz czuła się zmęczona albo przygnębiona, jej czyste, regularne rysy twarzy wydawały się zmięte i przygaszone.

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkodziłam - powiedziała, zaglądając do buta i wytrząsając z niego mały kamyczek.

- Nie, skąd. Miło cię widzieć. Co cię tu sprowadza?

Zamiast odpowiedzieć od razu, Muriel w milczeniu przyglądała się przyjaciółce. Nie zdziwiła się bynajmniej na widok wysokiej i kanciastej postaci, do której zdążyła już przywyknąć, lecz zasko-

czyła ją burza brązowopopielatych włosów, które zakrywały twarz Delii.

- Twoje włosy - bąknęła.

- Coś z nimi nie tak?

- Nigdy przedtem nie widziałam ich rozpuszczonych. Czy to nie dziwne? Przez tyle czasu? Cóż, są nadzwyczajne. Naprawdę cudowne.

- Całe szczęście, że nie przyszłaś wcześniej. Dopiero co wróciłam.

- Żniwa?

- Nie, do nich zabiorę się później. Zebranie zarządu szkoły.

- W niedzielę?

- Dyrektorka odchodzi. W samym środku wakacji złożyła rezygnację. Nie wróci. Rozmawialiśmy o zastępstwie.

- Lubisz swoją szkołę, prawda?

- Tak, lubię. To już prawie dwadzieścia lat. Co masz w tej torbie, Muriel?

- Pretekst do mojego przyjścia tutaj. Szczerze mówiąc, Delio, były takie czasy, że gdybym nie mogła uciec do ciebie, naprawdę nie wiedziałabym, co robić. Nie chodzi o to, że Tom jest dla mnie obojętny, ale nie rozmawia ze mną tak, jakbym sobie życzyła.

- Chodźmy na dół, napijemy się czegoś. Co się dzieje?

- Znowu chodzi o Melinę.

- Myślałam o niej ostatniej nocy. Wiesz, czasami myślę, że nie widziałyśmy Melindy, odkąd skończyła piętnaście lat.

- Nie przejmuj się, ze mną bywa czasem podobnie. Ale tym razem była w weekend w domu. Jest taka nieszczęśliwa z tym swoim chłopakiem, o którym ci opowiadałam. Mogę przysiąc, że on ją bije. Ma ślady na twarzy. Nie wyobraża sobie, że mogłaby od niego odejść. Wpędził ją w długi. Widzisz, ona wraca do domu, wylewa na mnie swoje żale, uwolniona od nich oddala się tanecznym krokiem, a ja czuję się tak, jakby wylała na mnie kubeł pomyj. Tak, cudownie będzie wypić drinka i trochę się przed tobą wyżalić.

Zadzwoił telefon; Delia Sutherland usiadła na brzegu łóżka, odebrała i jak zwykle, nic nie mówiąc, zmusiła dzwoniącego, aby odezwał się pierwszy.

- Delia? - spytał męski głos. Przykryła ręką słuchawkę.

- Dalej, Muriel, otwórz to. To ty, David? - Był to David Rosen, jej doradca prawny. Doradca, powiernik i przyjaciel.

- Posłuchaj Delio, mam smutne wiadomości.

Zwróciła uwagę, że powiedział „smutne”, a nie „złe”.

- O co chodzi?

Muriel zaczęła rozwijać czarną folię.

- Mówiłam ci, to pretekst mojej wizyty. Wiesz, Tom nie znosi, jak go zostawiam samego w weekend, nawet na pół godziny.

- Chodzi o Francisca. - Rosen przerwał, aby Delia mogła się lepiej przygotować.

- Mów dalej - poprosiła.

- To jest gumowy wąż, który pożyczyłam od ciebie parę miesięcy temu.

- Chodzi o to, że... - zaczął Rosen.

- Tak?

- On nie żyje.

Upuściła słuchawkę. Głos po drugiej stronie cały czas coś mówił, potem dało się słyszeć kliknięcie i przerywany sygnał. - Delia, co się stało? - Muriel usiadła obok niej na łóżku. Rosen musiał telefonować z domu, więc tam właśnie zadzwoniła. Odebrał natychmiast.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nic nie szkodzi. Dobrze się czujesz, Delio?

- Tak. Dziękuję. Więc umarł? Naprawdę umarł? Zbity z tropu tym pytaniem zapewnił:

- Cóż, tak. Tak, umarł. Bardzo mi przykro - dodał już normalnym tonem.

- Jak? - By móc uwierzyć, musiała poznać okoliczności tej śmierci.

- Wygląda na to, że utopił się w swoim basenie. Wczoraj wieczorem. Jesteś jeszcze?

Po chwili odpowiedziała:

- Domyślam się, że chcesz, abym przyszła i zrobiła porządek. Kwestie prawne i tak dalej.

- Nie pali się. Wiesz dobrze, jaki był porządny w tych sprawach. Daj sobie trochę czasu, aby otrząsnąć się z szoku.

- Odpowiada ci jedenasta jutro?

- To zależy tylko od ciebie.

- W takim razie jedenasta. Do widzenia. Muriel czule objęła Delię ramieniem.

- Kto umarł?

- Francis.

Muriel cofnęła ramię.

-Och.

- Tak. Właśnie. Tak właśnie myślałam.

- Nie, moja droga, tak mi przykro. Nie chciałam, abyś mnie źle zrozumiała. To straszne. Po prostu straszne. Jak to się stało?

- Czy mogłabyś zostawić mnie teraz samą? Bez obrazy. -Oczywiście, oczywiście. Tak mi przykro. - Zaczerwieniona z zakłopotana, Muriel sięgnęła po gumowego węża. - A co z...

- Och, racja. Zostaw w schowku, dobrze?

Kiedy Delia została sama, jeden z psów zaczął się łąsić do jej stóp.

- Spadaj, chłopcze. Do siebie! - Zwierzak wrócił do kąta, dzielonego z bratem, który leżał z łbem na łapach; jak można się było spodziewać, zamerdał ogonem, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Tym razem przez okno nie zobaczyła nic. Drzewa rozmazane we łzach sięgały nieba. Dotknęła twarzy, potarła ją palcami i powiedziała głośno: - Łzy - jakby nadawała nazwę nowo odkrytemu zjawisku.

III

No proszę, jak ją przejrzałam. Wiem, jak się rusza, co widzi, co myśli. Ale nie mogę powiedzieć „ja”, ponieważ nie jestem już nią, tą kobietą, która nawet w samotności udaje zdumienie na widok swoich łez.

Spójrz na mnie. Spójrz na mnie w tym blasku słońca. Nigdy wcześniej taka nie byłam. Gdybyś mógł - wkrótce będę się rzucała w oczy, sama pośród pustych stolików i krzeseł - zatrzymałbyś się, i wtedy zmiany, które w nas zaszły, zostałyby zauważone. Pierwsze wrażenia są najsilniejsze, potem czas je zaciera. Pewnego dnia będziesz tutaj, wyłonisz się z tłumu i podejdziesz do mnie. Spojrzę ponad głowy ludzi i ujrzę twoją twarz. Tego jestem pewna. W porządku, ale w takim razie skąd te łzy, kiedy stałam w oknie? Czy były łzami gniewu? Albo obowiązku? Nigdy nie sądziłam, że Francis odejdzie pierwszy. Dziki, rozrzutny, żartowniś - tacy zawsze dają sobie radę z przeciwnościami losu. Zapamiętałam go tak dobrze - starszy pan, wciąż epatujący swoim wdziękiem, który, choć nieco przygasły, zawsze nieodparcie przyciągał młode kobiety; szarmancki, czarujący, kpiący z własnej starości. To ja, grubokoścista kura domowa, Delia, powinnam była pierwsza dorobić się jakiegoś galopującego raka. Zranionym żonom często się to przytrafia.

Kiedy się pobraliśmy, ludzie się dziwili. Za wysoka, wiotka panna Caldwell, ciemnobrewa, powściągliwa, a nawet chłodna, żyjąca samotnie z owdowiałym ojcem - ot, jeszcze jedna dziwaczka.

Myśląc, że nie słyszałeś, ludzie gadali różne rzeczy. Znasz ich -nie lubią być zaskoczeni i kiedy zostajesz sam, potrafią cię zranić. „Śmieszne, żeby taka dziewczyna złapała na haczyk Francisa Su-therlanda - bogatego, przystojnego, który do każdego towarzystwa wnosi powiew wielkiego świata”. Być może odpowiedź brzmiała: „Mógł mieć każdą”.

Spotkaliśmy się na miejscowej zabawie. Miałam dziewiętnaście lat. Nie chciałam iść, ale ojciec mi kazał. Przedtem byłam już na tańcach i wracałam do domu rozczarowana. Jaka miałam wracać - ja, dziewczyna o wzroście metr osiemdziesiąt, w sukience, która na jej matce wyglądała świetnie, a teraz miała ślad odprutej listwy, bo ją podłużono. Większość wieczoru przesiedziałam nad sokiem pomarańczowym, a do tańca poproszono mnie dwukrotnie; raz zrobił to z przymusu chłopak, któremu pomagałam zbierać składki - sprawdzałam, czy ludzie płacą. Wszyscy zauważyli, kiedy przyszedł Francis ze swoją paczką. Tam, gdzie stali, aż się iskrzyło. Byli z Londynu. Przygnała ich tutaj ciekawość i chęć przeżycia przygody. Uciekli z jakiejś innej potańcówki, którą uważali za nudną, zgubili się i trafili na naszą, jeszcze nudniejszą. Nam, dopóki nie przyjechali, wydawała się wspaniała. Stanęli z boku i dzielili się uwagami, po czym, jeden po drugim, poprosili do tańca co ładniejsze dziewczęta.

Wiedziałam, że mi się przygląda; potem odwrócił się i śmiał z kolegami. W jednej z przerw, kiedy orkiestra przestała grać i na chwilę zrobiło się ciszej, na jego nieszczęście usłyszałam, jak mówi: „... niech mnie diabli, jaka wielka panna. Jak tyczka”.

Podszedł do mnie. On mówił, a ja, oparta o ścianę, z założonymi rękami, udawałam, że przyglądam się tańczącym parom. Wreszcie odpowiedziałam.

Nie spodobało mu się. Spurpurowiał, odsunął się i poszedł sobie, poprawiając muszkę. Wyszli zaraz potem.

Wróciłam do domu z poczuciem nieokreślonej samotności. Widocznie na tego właśnie nieznanego grubianina czekałam całe życie.

Już wtedy chodziłam po polach, prowadziłam weterynarza do chorej krowy, pracowałam w biurze majątku, wypełniając i sporządzając rejestr cieląt. Cieszyło mnie to aż do tej zabawy. Pomaganie ojcu w prowadzeniu gospodarstwa sprawiało mi satysfakcję. Staralam się być apodyktyczna dla rudowłosej kucharki, pani Files, która i tak zawsze gotowała po swojemu i ciągle była w ciąży.

Tego dnia nie byłam w stanie się skupić. Spacerowałam godzinami i rozmawiałam z nim, Francisem, o sprawach, których nie da się wyrazić słowami. Nocą, w łóżku, tuliłam się mocno do mojej starej labradorki Gertie. Dostałam ją, kiedy mamusia umarła. Nawet Gertie oddałabym za to, aby znów być blisko Francisza; dostać jeszcze jedną szansę. Co takiego mi wtedy powiedział? Speszona i upokorzona nie dosłyszałam. Przecież nie za jeden gest, kiedy potarł ręką

oko, nie za ten lekki ruch ręką, kiedy mu powiedziałam to, co powiedziałam - ale co, nie pamiętam - przecież nie za to tamtego dnia go znienawidziłam i skreśliłam na zawsze ze swego życia. Tak postępowałam z innymi. Jak to się stało, że zawrócił mi w głowie? Roześmiał się i odwrócił, pocierając oko. Próbował dociec, dlaczego moje słowa tak go dotknęły.

Kilka dni po zabawie na stoliku w hallu znalazłam list, zaadresowany do mnie. Kiedy zobaczyłam swoje nazwisko, nabazgrane wprawna, arogancką ręką, wiedziałam, że to od niego. Fakt, że do mnie napisał, był czymś zupełnie niezwykłym, ponieważ właśnie tego najbardziej pragnęłam. List czekał nie odpieczętowany w mojej kieszeni aż do późnego popołudnia, kiedy wraz z Gertie poszłam nad jezioro. Usiadłam na brzegu, aby go przeczytać, a ona męczyła kanadyjską gęś.

Piątek po południu

Przyjemność napisania tych słów kosztowała mnie sześć telefonów, dwie obietnice i przysługę. Droga Delio.

Widzisz, nawet nie wiedziałem, jak się nazywasz. Od naszego spotkania Uczę każdą godzinę. Jestem tym facetem, który chciał z Tobą porozmawiać na tańcach u Harveya. Niewątpliwie byłem jednym z wielu tego wieczoru oraz innych dni Twego życia. Którą z moich wad mam opisać, aby Ci siebie przypomnieć? Tak naprawdę jednak nie chcę, abyś mnie pamiętała, gdyż pewnie znowu byś mnie odprawiła, jeszcze zanim zobaczyłbym Cię ponownie. A tego właśnie pragnę bardziej niż czegokolwiek na świecie. Niechaj cię nie przeraża mój zuchwały sposób pisania. Jestem wystarczająco przestraszony za nas obydwoje, wstydzę się tego. Czy mogłabyś mi odpisać, Delio? Napisać, że spotkasz się ze mną jeszcze raz? Czekam.

Francis Sutherland

Skąd wiedział, jeśli nie wiedziony intuicją, że list był jedynym sposobem, aby się do mnie zbliżyć? Odpisałam, zapraszając go do Sleet na herbatę. Jeśli to wszystko było żartem, tutaj nie mógłby mnie wyśmiać, ponownie mnie zranić. Jeśli w ogóle zamierzał to zrobić; po tym, jak sobie poszedł, nie byłam pewna.

Francis Sutherland przybył do Sleet pewnego sierpniowego, deszczowego popołudnia. Delia Caldwell otworzyła mu drzwi.

- Lepiej wejdź do środka - w taki właśnie sposób powitała mężczyznę, który od ostatnich dwustu pięćdziesięciu sześciu godzin zaprzętał jej myśli.

Wyciągnęła rękę, aby przyjąć różę, którą chciał jej wręczyć. Zmarszczył brwi i cofnął kwiat, wypakowując go z celofanu.

- Tak chyba będzie lepiej.

- Dziękuję.

- Przyniosłem ci jeszcze to. - Podał jej płaską paczuszkę i podekscytowany patrzył, jak ją otwiera. - Mam nadzieję, że ci się podoba.

- O tak. Jest piękny. - Zawiązała szal na szyi. Otworzył drzwi, po czym znów je zatrzasnął.

- Co robisz? - zapytała.

- Poczulem przeciąg. Myślałem, że ich nie domknąłem. Hej, nie, popatrz. Tak będzie lepiej. - Rozwiązał jej szal.

Nachyliła się do lustra, wiszącego nad stolikiem na listy. Zanim spojrzała na swoje odbicie, jej wzrok padł na list od niego.

- Dlaczego napisałeś?

- Zrobiłem źle?

- Nie. Ale dlaczego? Chodzi mi o to, że w dzisiejszych czasach ludzie raczej telefonują, nieprawdaż?

- Może inni, ja nie. Jeżeli chodzi o coś naprawdę ważnego. To miło, że zaprosiłaś mnie do domu, a nie w jakieś inne miejsce. - Dlaczego?

- Nigdy nie... - Nagle umilkł i opadł na krzesło stojące pod ścianą. Nie podeszła do niego, nachyliła się tylko, usiłując w mroku dojrzeć wyraz jego twarzy.

- O co chodzi?

- Pomyślałem sobie, że czując coś, co wydaje się nam niezwykle, próbujemy to wyrazić, i to, co z tego wychodzi, nie jest niezwykle, lecz brzmi jak wyświechtany frazes. Zamierzałem powiedzieć, że nigdy nie spotkałem nikogo takiego jak ty. Pomyśl tylko o tych wszystkich mężczyznach i kobietach, którzy sobie to mówią. Chciałbym zrobić coś więcej - podniósł się z krzesła, składając ręce. - Nieważne, najważniejsze jest to, że chciałem się z tobą spotkać w twoim własnym domu, i o to mnie właśnie poprosiłaś. Wspaniale. Prawda?

Tłusta labradorka wetknęła mu nos między nogi. Chciał odsunąć jej łeb, udając, że ją głaszcze - tak byłoby zręczniejsz zarówno wobec psa, jak i jego pani - ale powstrzymał go widok wrzodu na głowie staruszki.

- No cóż, może w takim razie oprowadzę cię po nim.

- Cudownie.

Ucieszył ją ten jego entuzjizm. Może jednak to wszystko nie było żartem, może on nie zamierza się z niej potem śmiać. Szła przodem, a on podziwiał jej pewny chód. Za wszelką cenę chciała ukryć swe uczucia. Podobało mu się także, jak naturalnie go prowadzi, wskazując ręką co ciekawsze obrazy. Nie musiała nawet na nie patrzeć -było jasne, że zna je na pamięć.

- Na tym jest ładne światło, tak przebija przez te chmury... i och, sama nie wiem.

Znaleźli się w bawialni. Połączone gipsowe stiuki i ściany w kolorze *eau de Nil* stanowiły miłe tło dla dwóch kominków i czterech okien we francuskim stylu. To babcia była autorką tego miejsca -urządziła je, łącząc ze sobą dwa pokoje. Zrzućnowało to fasadę, ale w tamtych czasach częste przyjęcia były bardzo ważne. W salonie panował ziąb. Torując sobie drogę pomiędzy stłoczonymi meblami Francis Sutherland wcisnął ręce pod pachy. Wokół kominków ustawiono tapicerowane krzesła i sofy, mocno już wysiedziane. Wysokie, lakierowane parawany, inkrustowane masą perłową, osłaniały paleniska przed przeciągami. Liczne stoliki gęsto zastawiono szkatułkami z emalii, brązowymi figurkami, miniaturowymi zegarkami i przyborami do szycia w skrzyneczkach z kości słoniowej. Na długiej półce, umieszczonej nad oparciem sofy, leżały stosy albumów ze zdjęciami, oprawione w czerwoną cielecą skórę, zbrązowiałą ze starości. Echo wzmacniało i zniekształcało nawet odgłos oddechu. Wszystko to coraz bardziej go peszyło.

- Bardzo mi się podoba - wyszeptał, wskazując na ciemne malowidło, wiszące obok kominka.

- Mnie także. To olej. Mój ulubiony. - Otworzyła okiennice. - Teraz lepiej widać? Kiedy byłam mała, to znaczy młoda - tak jakby słowo „mała” było niedozwolone - przychodziłam tutaj, otwierałam okiennice i patrzyłam na ten obraz, wyobrażając sobie, że jestem tą postacią. Widzisz ją? Tę za drzewami? Nieruchoma, jakby obca wśród rzeczy, przedmiotów.

Tak jak ty, pomyślał, jak ty. Dlaczego tak bardzo mnie poruszasz, ty dziwna, obca dziewczyno?

Przez parter Sleet przeszła bez słowa. Na dywanach, gdzie niegdyś stały meble, pozostały odcisnięte ślady - miejsca mniej zakurzone niż reszta podłogi. Było ich tak wiele, że Francis Sutherland zażartował:

- Ukradli je, czy co? - Widząc wyraz jej twarzy dodał szybko: -Przepraszam. Żartowałem.
- Spojrzała na niego tak, jakby wymagał od niej zbyt wiele.
- Sprzedane, Francis. Rozumiesz? Sprzedane, aby spłacić długi.
- Przepraszam, nie chciałem być wścibski. Nie wiedziałem, że to tak wygląda. - Poklepał się po udach. - Długi, długi, to normalne. Nie ma nic złego w oddawaniu długów.
- Zauważyła jego zakłopotanie, kiedy chciał naprawić swój nietakt.
- Nie jesteś Anglikiem, prawda? Mówisz z akcentem.
- Pochodzę z Wysp Bahama.
- Z Wysp Bahama?
- Tak, co w tym dziwnego? - Często chyba musiał odpowiadać na takie pytania.
- Myślałam, że tam wszyscy są czarni.
- Nie. Nie wszyscy. Wcale nie wszyscy. - Na takie pytania również.
- Ile masz lat?
- Dwadzieścia dziewięć.
- Boże - powiedziała.
- W zeszłym tygodniu miałem urodziny - dodał, gdyż było to najlepsze wytłumaczenie tego faktu, jakie udało mu się znaleźć. Odwróciła wzrok.
- Nigdy jeszcze nie spotkał nikogo aż tak nieśmiałego i pożałował, że nie wysłuchał plotek o niej, którymi próbowano go uraczyć, gdy poszukiwał jej adresu. Nie słuchał tylko dlatego, że chciał wszystko odkryć sam; nie chciał zniszczyć tego nowego uczucia, pragnął, żeby trwało. Dlaczego nigdy nie udaje się go zatrzymać? Dlaczego te wszystkie piękne kobiety można poznać tak łatwo, za łatwo.
- Stała na schodach o stopień wyżej niż on.
- Chodźmy dalej.
- Poszedł z rękami w kieszeniach, pogwizdując.
- Kiedy zbudowano ten dom? - Wreszcie zaczął zadawać grzeczne pytania.
- W 1730 roku.
- Architekt był kimś znanym?
- Nie wiem. Mówili, że to może Hawksmoor albo Vanbrugh. Nie ma żadnych dokumentów.
- Dlaczego?

- Posiadłość wpadła w ręce jakiegoś hazardzisty. Musiał ją sprzedać, aby spłacić długi. Był tak załamany, że spalił całą dokumentację domu. Najgorsze jest to, że nie mamy żadnych planów przewodów kominowych, więc kiedy zaczyna dymić, nie sposób na to nic poradzić. To samo z kanalizacją.
 - Ach, z kanalizacją - to był więc ten zapach w hallu, a on myślał, że to może róza tak śmierdzi. Czuć go było nawet tutaj, na schodach.
 - Proszę?
 - Nie, nic. To kłopotliwe. Z tą kanalizacją.
 - Nie tak znowu bardzo.
- Na widok posępnego korytarza i nudnych obrazów powiedział:
- Chodźmy na dwór. Pokaż mi ogród. - Wziął ją za rękę, tak jakby ta ręka zawsze do niego należała, a jej własnością stała się przez przypadek. Wyglądało na to, że ona tego nie chce, ale nie zwracał na to uwagi, nie bał się jej. - No, chodźmy - powiedział.
 - Ale pada.
 - No to co z tego? Jesteś Angielką, więc to ci nie przeszkadza. Ja jestem szalony, więc mnie także nie.
- Wtedy prawie się roześmiała. Pozwoliła mu trzymać się za rękę, aż doszli do żwirowej ścieżki na tyłach domu.
- Niech mnie diabli, jaka wielka chmura - powiedział, wskazując na niebo.
 - Ma coś w sobie, prawda? Jest ogromna, złowroga, ale... - wyrwała rękę, kiedy on już zdążył uznać, że należy do niego. Nie rozumiał.
 - Nie powinieneś mówić: „niech mnie diabli, jaka wielka”.
 - Nie lubisz, kiedy przeklinam? Naprawdę?
 - Nie. Nikt, kto nie jest Anglikiem, nie powinien mówić „niech mnie diabli”. To nie działa. Brzmi jak kiepskie aktorstwo.
 - Ależ ja jestem w połowie Anglikiem. Uczyłem się w Radley, jak mój ojciec, wuj i dziadek. Ukończyłem Oxford. Do diabła, moja matka była Angielką z Norfolk. Co więcej, mam brytyjski paszport. - Nie zatrzymała się, aby go wysłuchać, więc powtórzył: - Powiedziałem, że jesteśmy z Norfolk.
 - Tak, słyszałam.
 - Byłaś tak daleko, że myślałam, że nie usłyszałaś.
 - Chodziło mi o cholerną wielką tyczkę. Słyszałam, co powiedziałaś o mnie kolegom na zabawie.

- Naprawdę nie pamiętam. Nie wiem, co miałem wtedy na myśli. To była prawda. Zapamiętał natomiast, co odpowiedziała Delia,

kiedy podszedł do niej i chciał ją skomplementować. Nigdy tego nie zapomni.

Oprowadzała go po ogrodzie. Cisza, jaka zapadła, była coraz bardziej uciążliwa.

- Miły piesek - powiedział, kiedy opuszczali cieplarnię. Suka dreptała obok.

- Dostałam ją, kiedy miałam osiem lat. Kiedy umarła mamusia. Teraz jest już staruszką. Ma te wszystkie narośle i wrzody, no wiesz.

- Tak, tak. Widziałem.

Żadna część ogrodu nie była pielęgnowana. Żywopłot wił się dziko; żwirowa ścieżka niknęła w pastewnej trawie, przywianej tutaj z pól. Kamienne skrzynki porośnięte żółtym liszajem wyglądały tak, jakby kiedyś były ogródkiem lilii, wyłożonym darnią. Teraz zarosły chwastami. Drabina tak długo stała obok wysokiego, stożkowego cyprysu, że gałęzie drzewa owinęły się wokół niej.

- Jak tu smutno - powiedział Francis. - Mogłabyś zadbać o ogród, wyglądałby przepięknie.

- Na to potrzeba pieniędzy.

Szedł coraz wolniej i wolniej, z rękami w kieszeniach, ale już nie gwizdał. Tyle chciał jej powiedzieć, chciał, żeby wiedziała o tylu rzeczach, aby była nimi oczarowana. O swoim pochodzeniu, o tym, skąd się w jego żyłach wzięła gorąca krew. O swoim ojcu i wuju, Scotcie i Barclayu, bliźniakach, urodzonych pod koniec ubiegłego wieku i wysłanych do Anglii na naukę. Po ukończeniu szkoły zapragnęli wrócić do domu, zamiast pójść na uniwersytet i pomóc staremu Wallace'owi Sutherlandowi zarobić więcej pieniędzy na zakup własnej posiadłości. Ceny wtedy wzrosły, Amerykanie dostrzegli w Karaibach potencjalne tereny turystyczne. A bliźniacy tęsknili za połowami ryb. Skończyło się tym, że pewnego razu Scotta złapał wielki na sześć stóp rekin młot. Właśnie był pod wodą, podczas gdy jego brat stał na pokładzie i sterował. Kiedy Barclay spostrzegł krew i szamotanie, złapał strzelbę i zabił rekina jednym strzałem. Po zdjęciu siedemdziesięciu sześciu szwów czoło Scotta przypominało ostatnie piętro weneckiego pałacu.

Francis Sutherland chciał opowiedzieć Delii Caldwell o tym, jak po wybuchu I wojny światowej chłopcy pośpiesznie udali się z powrotem do Anglii. Tam zaciągnęli się do wojska, ale od razu ich ode-

słano z informacją, że „w swojej wojnie kolonialistów nie chcą”. Na pocieszenie zarobili więcej pieniędzy i postanowili się zabawić. W ten sposób na długo przedtem, zanim Brytyjczycy zmienili zdanie i pozwolili im wziąć udział w wojnie, uznali, że już ich to nie obchodzi.

Wysłano ich do Belgii. Wallace szczodłą ręką przysyłał pieniądze, aby jego synkom nie było zbyt ciężko. W rezultacie pędzili życie tak ekstrawaganckie, że już zupełnie przestali wyglądać na Anglików.

Ich urlopy stały się legendą. W mieście kupowali samochód, spraszali dziwki i zaczynała się zabawa. Kiedy urlop się kończył, do koszar wracali autem. Raz przywieźli chyba z osiem bab i z okrzykiem: „Wszystko wasze, dziewczyny!” rzucili kluczyki w powietrze. Następnym razem był nowy samochód i nowe dziwki.

Barclay zginął w Passchendaele, a Scott powrócił na Wyspy bez prawej ręki. Ale czasy nadal były dobre. Właściwie nawet jeszcze lepsze. W Stanach zaczęła się prohibicja. Wtedy właśnie Scott zrobił prawdziwe pieniądze. Zaczął z jednym szkunerem, którym przybijał do oddalonego o pięć mil brzegu Nassau, gdzie spotykał się z angielskimi statkami, wiozącymi spirytus. Potem płynął do Long Island Sound. Tam alkohol rozlewano i rozcieńczano, by potem rozwieźć go na kontynent. Proste.

Podczas jednej z takich operacji koło Bimini jeden z ludzi Scotta wypadł za burtę. Nie umiał pływać, więc zaczął się topić. Scott skoczył za nim, walcząc z falami swoją jedyną ręką. Po chwili zniknął i on. Dwa dni później rybak łowiący żółwie w Prądzie Zatokowym omal nie wystrzelił z kuszy, ale w porę dostrzegł, że jego zdobycz jest mężczyzną, który śpi, uczepiony kawałka dryfującego drewna. Był to Scott.

Kiedyś znów na jego łódź napadli hijackerzy* i zagrozili, że go zastrzelą. Naśmiewali się z jednorękiego mężczyzny z dziwacznym czołem, aż ten wreszcie wyciągnął zza pasa pistolet, wymierzył w mewę, siedzącą na maszcie, i zastrzelił ją. Zwiali.

Taki był jego ojciec, Scott. To wszystko zrobił. I nie były to bajki, wymyślone przez Francisa Sutherlanda, lecz jego historia; korzenie. Gdyby wybuchła wojna, zrobiłby tak samo; zarobiłby pieniądze. Wojny jednak nie było, a forsy miał jak lodu. Dogłądanie interesów i zarabianie stanowiło jego jedyne zajęcie.

* Uzbrojeni bandyci, napadający na przemytników alkoholu (przyp. red.).

Nie opowiadał tych historii innej kobiecie. Nigdy się nimi nie przechwalał, bo i tak nikt by ich nie wziął poważnie. Zresztą tyle gadano o jego bogactwie, wyglądzie i leciutkim amerykańskim akcencie, że plotki rozsiewały się same. Fakt, że na jego korzyść. Delia Caldwell była inna. Chciał jej powiedzieć o sobie wszystko. Nigdy nie czuł takiej potrzeby mówienia. Jak długo już trwa to milczenie? Co takiego powiedział?

Zaniepokoił się. Stał w wysokiej trawie i popatrzył na jej płaszcz przeciwdeszczowy. Był z lat sześćdziesiątych: coś takiego powinna raczej nosić jej matka.

Delia Caldwell czekała, aż Francis Sutherland ją dogoni. Już niedługo koniec. Jeszcze tylko herbata i sobie pójdzie. Tak właśnie. Zdała sobie sprawę, że znów będzie tak samo: oczekiwanie, samotność. Czy nie próbował, z tym kwiatkiem i apaszką? I z rozmową? Z chodzeniem za nią w siąpiącym deszczu? Chciała coś powiedzieć, aby wrócić do chwili, w której ich znajomość mogła zamienić się w przyjaźń. Niezliczone minuty minęły bez żadnego słowa. Mogłaby coś powiedzieć. Jeśli weźmie sprawy w swoje ręce, coś się może zdarzyć. Zrobiła to więc, i to tak raptownie, że aż się potknął. Kiedy odzyskał równowagę, powiedziała:

- To było bardzo fajne. No wiesz, to, że przyszedłeś.

Czekała na odpowiedź, która wszakże nie nadeszła. Patrzyła na mokry od deszczu ogród i niebo, rozchmurzające się zbyt późno. Jego stopy ginęły w nie skoszonej trawie, a nogawki spodni były mokre do kolan. Na ramionach, tam, gdzie spadły krople deszczu, zostały ciemne zacieki; postawił kołnierz kurtki. Nad ustami pojawił się mu niebieskawy cień, a włosy opadły na czoło. Fajnie? Powiedziała „fajnie”? Delia Caldwell opuściła głowę, ale jak gdyby pod ciężarem dziwnego koka, w który skręciła swe gęste włosy, głowa odchyliła się do tyłu. Delia roześmiała się. Roześmiała się bez słowa przeprosin ani wyjaśnienia.

Francis Sutherland patrzył. Wiedział, że nie śmieje się z niego. Jesteś cudowna, chciał powiedzieć, inna i dziwna. Chciał też powiedzieć: „kocham cię”. Nie było to możliwe, nie lubiła go przecież, w każdym razie nie bardzo, jeszcze nie. Kocham cię, chcę to z siebie wyrzucić, bo te nie wypowiedziane słowa boją.

- Przepraszam, och, mój drogi, przepraszam, mój drogi. - Próbowała się uspokoić. Patrzył na nią. Nie peszyło ją to tak jak zwykle. Masz czarne włosy, jak ja, oliwkową cerę, a oczy? Wyraz jego

twarży był tak dziki, gwałtowny. Śmiała się z niego, a on jej za to nienawidził. Poddawała się tej niepohamowanej radości - pomimo jego twarzy i rozchmurzającego się wieczora, pomimo braku powodów do szczęścia. Do domu nie było daleko. Wszystko będzie dobrze, wewnątrz jest bezpiecznie.

Kiedy znalazła się kilka schodów przed nim, tuż przy wejściu do salonu, Francisowi coś zaświtało w głowie.

- Delio?

- Tak? - Nie zatrzymała się.

- Zaczekaj. - Stała więc, odwracając się do niego.

- Przepraszam. Za ten taniec. Za to, jaki wtedy byłem. Odwróciła wzrok, zawstydzona. Pot pozostawił wilgotne ślady pod pachami, na sztywnym jedwabiu sukienki. Kiedy znów na niego spojrzała, właśnie umilkł, pocierając oko wierzchem dłoni.

Od „przepraszam” do małżeństwa droga była krótka. Droga powrotna do „przepraszam” - jeszcze krótsza.

Gdy znajomi Sutherlanda zastanawiali się „dlaczego, do diabła, się z nią ożenił?”, ci, co wiedzieli, opowiadali, że tego wieczoru na zabawie, kiedy Delia dała mu ostrą reprimendę (cokolwiek powiedziała), Sutherland wrócił do grupy przyjaciół z postanowieniem: „uczynię tę kobietę piękną”.

IV

Moja kafejka - a uważam ją za swoją, ponieważ od blisko trzech miesięcy spędzam tutaj dobrą część każdego dnia - nazywa się Nowy Jork. Miała być chyba urządzona w stylu francuskim, ma brązowe markizy i patchworki, gięte krzesła. Stoliki wystawiono prosto na chodnik. Tu właśnie jestem. Za mną znajduje się półotwarta część kawiarni, już należąca do budynku. Stamtąd właśnie starsza pani (od jedwabnych kwiatów) przygląda się mnie oraz każdemu, kto ją bawi. Obydwie przychodzimy tu wczesnym rankiem, aby zająć swoje miejsca. Będzie miała kłopot, ponieważ wczoraj wieczorem, po zamknięciu, w sumie było to jeszcze wcześniej, jej część zasłonięto szklanym parawanem. Robią tak na zimę. Tak jak często mi się zdarza, wracałam ze spaceru uliczką Quai de Rive Neuve, która mija serpentynę, a potem bulwarem Charles Livon; zobaczyłam, jak zakładają tę szybę. W ten sposób znalazłam się nieopodal sanatorium Legion Étrangère. Niezbyt ruchliwe miejsce. Nawet za dnia, idąc tą drogą, niewielu ludzi przechodzi przez te bramy.

Tak więc jesteśmy oddzielone - starsza pani i ja; nawet zimno nie przegoni jej do środka, bo stamtąd nie widziałyby mnie tak dobrze jak teraz. Pewnie któregoś dnia sprzątną stoliki z ogródka. Przyjdę wtedy rano i zobaczę, że nie mogę siedzieć na zewnątrz, więc muszę wejść do środka, bez względu na to, czy jest mi zimno, czy nie. Muszę jej kupić te kwiaty do żakietu. W podziękowaniu.

Umarłeś. Życie opuszcza nas razem z naszymi pytaniami i zawiedzionymi nadziejami. Myślę o matce i ojcu, którzy kochali się tak gorąco. Kto wie, co mogłoby się z nimi stać po latach małżeństwa? Ona była rozdygotana, pełna życia i piękna. Umierając młodo, pozostała taka na zawsze.

Ojciec był łagodny, spokojny; cały świat widział, że ją uwielbiał. W pewnym okresie stałam się częścią tego uwielbienia, jego produk-

tem i dowodem. Tak to wyglądało. Moje wspomnienia na ten temat są bardzo wyraziste i konkretne. Miałam cztery lata, gdy urodził się mój brat. Zaraz potem zmarł. Rodzice pograżyli się w swoim własnym żalu, zostawiając mnie samą z moją rozpaczą. Ja także chciałam mieć mojego brata z powrotem, kochałam go. Kiedy rodzice doszli do siebie, jeśli można to tak nazwać, spostrzegłam, że nie należę już do trójki. Być może czuli, że ich miłość do mnie nie jest bezpieczna. Przecież i ja mogłam umrzeć; ale nie umarłam. Wolałam wierzyć, że właśnie dlatego się ode mnie odsunęli czy też może ukrywają swoją miłość (na jedno wychodzi), a nie z powodu mojej brzydoty. Moja matka była jasnowłosa, bardzo subtelna. Lekka i zwinna. O mnie nie można było tego powiedzieć. Nawet wtedy o tym wiedziałam.

Kiedy jeszcze żyła, wypełniała dom radością i życiem. Także muzyką, której uwielbiała słuchać. Ben Webster, Coleman Hawkins, zawsze jazz - w bawialni jej patefon grał od rana do wieczora, tak głośno, żeby wszyscy mogli słyszeć. Przychodzili rozmaici goście, odbywały się różne przyjęcia. A potem nadeszła Cisza. Najpierw zagościła w bawialni. Jazz słyszałam od czasu do czasu, popołudniami, w salonie. Ale wkrótce Cisza przyszła i tam. Tydzień po tygodniu zajmowała schody, potem przedpokój, prowadzący do sypialni. W środku, oparta o poduszki, mama nadal się śmiała, rozmawiała i włączała swoją muzykę. A potem zapadła Cisza.

Popchnęłam drzwi, otworzyły się szeroko i zobaczyłam mamusię. Leżała na wznak, nieruchomo, a tatuś na niej. Płakał tak, jak myślałam, że tylko dzieci płaczą.

Podeszłam, aby spojrzeć na jej twarz, ale była zakryta. Położyłam rękę na dłoni tatusia i jego łkania ucichły. Odetchnął.

W tej doniosłej chwili potrafiłam go ukoić, skorzystał z mojej pomocy.

Uniół głowę i spojrzał na profil mamusi, przykryty prześcieradłem. Jego zdumione oczy zwróciły się ku własnej ręce, przykrytej moją, podążyły za moim ramieniem, do mojej twarzy.

- Nie - powiedział - nie - zabierając rękę, i znów zaczął szlochać.

Myślał, że to jej ręka. Potem już nigdy nie było nam łatwo do siebie dotrzeć. Łatwo? Nigdy nie ośmieliłam się nawet spróbować, aby znów nie doświadczyć tak straszego rozczarowania.

Po śmierci Julii Caldwell w Sleet pracowało kilka osób. Było mało roboty, więc nie rzucali się zbyt w oczy. Codziennie przychodziły sprzątaczkę, które spełniwszy swe obowiązki wobec wdowca i jego córki, pogrążały się w nudzie. Pani Files jak zawsze pracowicie doglądała gotowania. Curtis został głównym lokajem. Poza tym nie było nikogo.

To właśnie Curtis zasugerował, że wysoka panienska Delia może przymierzyć któryś z matczynych strojów. Były ich całe szafy. Od czterech lat, odkąd zmarła, nikt ich nie nosił. Dbano jednak o nie; Curtis wietrzył płaszcze, kostiumy i sukienki, odkurzał je i prasował. Te wszystkie piękne rzeczy nie mogły przecież się zmarnować. W taki właśnie sposób Delia Caldwell, która w wieku lat dwunastu miała prawie metr siedemdziesiąt wzrostu, zaczęła nosić tweedy Hartnella i bluzki Diora. Nikt nie wiedział, że nimi są, nawet sama Delia, ponieważ już się jej opatrzyły i wydawały się raczej śmieszne.

To właśnie Curtis zawoził ją do szkoły i odbierał przed powrotem do rodzinnej wioski, do której jeździł w każdej wolnej chwili, ponieważ miał tam chorego brata. O siódmej wracał do domu, brał tace z kolacją z kuchni i zanosił je ojcu i córce do salonu. Potem był wolny. Mógł zatrzaskać drzwi i w spokoju spędzać czas z Maurycym.

Salon był miejscem, gdzie George Caldwell spędzał większość czasu, swoim zwyczajem pokrzykując na czeredę śmierdzących wilgocią psów. Francuskie okna pokoju wychodziły na ganek, na którym kilka lat później Francis Sutherland powiedział „przepraszam”. To tutaj kiedyś spędzano wolny czas, opowiadając wciąż od nowa stare historie.

Właśnie tutaj przychodziła Delia po powrocie ze szkoły. Pierwszą rzeczą, której dotykała, były porcelanowe figurki w kącie. Zanim przywitała się z ojcem, który siedział przy swoim biurku, głaskała ich szaty i stopy w sandałach.

- A, tutaj jesteś, staruszko - mawiał tata. Przez to czuła się tak, jakby najpierw się zgubiła, a potem znalazła.

Pozostawał przy biurku i zwykle już się nie odzywał. Miał skupioną twarz, oczy zajęte poszukiwaniem wyjścia z trudnej sytuacji, usta zaciśnięte pod wąsem. Delia nigdy mu nie przeszkadzała.

O dziewiątej trzydzieści mówiła:

- Dobranoc, tatusiu. Przestraszony, podnosił wzrok.

- Co takiego?

- Dobranoc.

- Ach tak. Już tak późno? W takim razie dobranoc. - Odpowiadał niechętnie, jak gdyby przepraszał, że kończy długą i męczącą rozmowę.

Smutek George'a Caldwella nigdy nie minął. To, że sytuacja wymyka mu się z rąk, zrzucił na karb wieku. Zawartość teczki i pozowanie na prawdziwego, chłodnego Anglika stały się treścią jego życia. Był smutnym czterdziestolatkiem. Wolał mruknąć niż odpowiedzieć całym zdaniem, nawet własnej córce.

- Tatusiu, dlaczego ona umarła?

- Co? Słucham?

- Dlaczego...?

Trzeba było powtórzyć tylko połowę pytania.

- Och, coś tam urosło jej w środku. No, wiesz. - Myślał, że nie ma nic złego w delikatnym mówieniu prawdy.

Patrzyła na niego, czekając na dalszy ciąg odpowiedzi, której nie zamierzał dokończyć. Pragnęła od niego także czegoś więcej, czegoś innego niż odpowiedzi na pytania; nie chciał się dowiedzieć, czego. Był zbyt zmęczony. To wszystko było zbyt męczące. Chwilami wyglądała jak matka, coraz bardziej, w miarę jak dorastała. Czasami, gdy bawiąc się z psem, robiła miny, śmiała się i oblizywała usta, szczególnie przypominała Julię.

Julię. Nie wymówił tego imienia, odkąd umarła. Nikt inny także. Nie do niego. Na pogrzebie słyszał je po raz ostatni. Kiedy grywał na saksofonie, a Delia siedziała i słuchała, wybijając rytm stopą, zasłuchana, swoim zachowaniem także przywodziła mu ją na myśl. Pewnego razu to wrażenie było tak silne, że przerwał grę, aby się jej lepiej przyjrzeć. I nawet jej oburzenie: „Nie rób tak, nie wolno przerywać. Graj dalej” - było takie jak Julii. Tak, to była Julia. Wróciła, jak obiecała. Odłożył saksofon, podszedł do sofy, gdzie siedziała, i wziął ją w ramiona.

- Kochana, tak tęskniłem.

Za nią? Za tą wielką dziewczyną? Skórą i kośćmi?

- Tak. O tak. Jesteś za duża na przytulanie, co? - Ledwie zdołał ją objąć i od razu puścił. Zmienił temat, aby pokryć obustronne zmieszanie. - Co to za buty? Jakoś śmiesznie wyglądają.

- To twoje. Curtis zabrał mnie do sklepu, ale damskie rozmiary są dla mnie za małe. Powiedział, że powinnam porozmawiać o tym z tobą. Noszę jedenastkę, tak jak ty.

- Nie jest to bynajmniej powód do dumy. Ile masz lat?

- Piętnaście.

- Oczywiście. Oczywiście. Tylko chciałem sprawdzić. No cóż, musimy iść po zakupy, nieprawdaż? Musi być gdzieś w Londynie sklep dla dużych stóp. Chyba Fats Waller? „Za duże stopy”, czy coś takiego. Zagram teraz właśnie o tym.

Tanecznym ruchem schylił się po swój saksofon, i pstrykając palcami zanucił: „nie chciałem, abyś miała takie duże stopy, na, na, na, nie potrzebuję takich dużych, na, na, na”. Podniósł instrument. Dmuchnął dwa razy w ustnik na rozgrzewkę i zaczął grać.

Mimo szczerych chęci Delia nie mogła odgadnąć, co to za melodia.

Ach, ten saksofon. Za życia Julii tyle nie grywał. Kiedy jeden jedyny raz Delia zaprosiła do domu koleżankę ze szkoły, ta obudziła ją w środku nocy.

- Delio, czy mogę z tobą spać? Boję się. Słyszę jakieś głosy. Posłuchaj.

Delia wsłuchiwała się, ściskając rękę przyjaciółki.

- Daj spokój, Sarah, nie ma się czego bać.

Zeszły boszo po schodach, minęły korytarz i zakradły się do salonu, gdzie paliło się światło. Szklany front biblioteczki odbijał postać George'a Caldwell, niezgrabnie trzymającego saksofon, z ugiętymi kolanami i rozpartego w fotelu. Grał tak, jak wyglądał: ubrany w wytarte sztruksy i rozciągnięty sweter. Z jednej kieszeni wystawał mu ustnik, a z drugiej chustka, którą często ocierał usta.

„Komu jest smutno”, „Kiedy odejdziesz”, „Mgła” - każdą z tych melodii grał po kilka razy. Zupełnie jak pani Files i jej potrawy - zawsze tak samo. Gdy dźwięk stawał się ochryply, przestawał grać, wyjmował stroik, przedmuchiwał go i spluwał do ognia. Potem grał „Pamiętasz Capri”. Przerzywał, pochylał głowę i uśmiechał się nieśmiało, z rozmarzeniem w oczach, wspominając czasy swojej sławy. Miał wtedy trzydzieści lat.

Studiując w Cambridge założył mały zespół, zwany Turn Ups. Jimmy Hartley grał na trąbce, Pete Weaver na klarncie, Richie Redman na pianinie, Benji Bowman na kontrabasie, a on - na saksofonie tenorowym. Śpiewała z nimi siostra Pete'a, Penny Weaver. W lecie 1935 roku, podczas majowych balów i wieczorków tanecznych, razem z „Niegrzeczną Penny i The Turn Ups” można się było dobrze zabawić.

Ach, ta niegrzeczna Penny. Penny, przejeżdżająca motorem po Magdaleny Bridge; Penny w niedzielę w Grantchester; Penny naga w basenie Byrona: „Jesteś jedyny, George, jedyny”. Niegrzeczna Penny.

Co to za dziwny hałas za drzwiami, jakieś parskanie? Psy? Zapomniał zamknąć je w budach? Wyrzwał na korytarz i dostrzegł nogawki pizamy Delii i tę jej ładną koleżankę. Zniknęły na schodach.

Po chórze następnego dnia - chórze, podczas którego Delia Caldwell raczej udawała, że śpiewa, niż rzeczywiście wydobywała z siebie dziwne dźwięki, tak różne od tych, które brzmiały jej w głowie - Marcia Gostwick złapała ją za łokieć.

- Słyszałam, że twój tata tak samo się nie zna na muzyce, jak ty. Od tego czasu Delia Caldwell pojęła, dlaczego ojciec odrzucał te

wszystkie miłe propozycje. Zaproszenia, aby przyjechać, aby przyjechać i zostać, aby zabrać Delię na wakacje.

Odkąd umarła matka, zaproszeń z roku na rok ubywało. I miał rację; ceną przyjaźni było zdemaskowanie się i śmieszność. Do uczestniczenia w życiu społecznym potrzebna im była Julia.

Delia żyła w terażniejszości. Gdyby nic się nie zmieniało, wszystko byłoby w porządku. George żył przeszłością. W salonie powiesił wszystkie portrety żony - malowane i fotograficzne - jakie kiedykolwiek zamówił. W sumie osiemnaście. Aż tyle. Może miał jakieś przeczucia. Może wiedział, że przygotowuje pamiątki na przyszłość. Oczy Julii, patrzące wszędzie dookoła, widziały George'a Caldwell, który odgrzebuje pomniki przeszłości: albumy ze zdjęciami, programy teatralne, nieaktualne notesy z adresami, klucze do pokoi hotelowych, zaopatrzone w skomplikowane nasadki, które miały zniechęcić ewentualnych złodziei, a i tak zostały ukradzione, i tak dalej.

Pewnego popołudnia 1963 roku, w osiem lat po śmierci Julii, George Caldwell wrócił z jednodniowej wycieczki do Londynu.

- To ja, Delio! Gdzie jesteś?

- Tutaj! - zawołała ze schowka, gdzie właśnie oliwiła rozłożoną na części strzelbę.

- Popatrz, co znalazłem w pociągu. - Rozłożył magazyn „Co jest grane w Londynie” - Tutaj. Właśnie, na ostatniej stronie. Przeczytam ci: „Richie Redman i jego The Turn Ups, tylko jeden wieczór w Dog and Duck, w Barnes”. Co o tym myślisz? Chłopaki są ciągle razem. Turn Up to Turn Up, tak mówiliśmy.

Dwa wieczory później Delia zobaczyła go na schodach. Z górnego podestu padał na niego snop elektrycznego światła. Poglądził wyłogi blezera w czerwono-pomarańczowe pasy, zapiętego na pojedynczy guzik, oblamowanego niegdyś białą, a teraz żółtą flanelą, i wykonał chwiejny piruet.

- Tak się nosimy, no wiesz, w Turn Ups.

- Tak? A czy takie stroje nie wyszły już z mody?

- Nonsens, staruszko - wyjął z melonika źdźbło słomy. - Założyć? Nie zakładać?

- Lepiej nie.

- Może rzeczywiście. Kiedyś to nosiliśmy. - Powiesił melonik na miejsce wśród innych kapeluszy.

Kiedy Delia zeszła na dół następnego ranka, zastała ojca drzemącego przy kominku w salonie, ubranego w ten sam strój, który włożył poprzedniego wieczora. Musiał wrócić pierwszym pociągiem. Usiadła obok, żeby go obudzić, i spostrzegła, że tylko udaje. Nie spał.

- Tatusiu? - Odchrząknął. - No powiedz, jak było? Jak poszło? -Czekała. Żadnej odpowiedzi. - Jak tam Richie? A reszta też przyszła? Pete, Jimmy, ci, o których mi opowiadałeś? Jak się mają?

- Dobrze. - Nawet nie otworzył oczu.

- Dużo razem grają?

- Tylko Richie i Benji. Ani śladu Penny. Nie chciałem pytać. Jimmy nie żyje. Mają teraz kogoś młodszego. Nie ma Penny.

- Będiesz czasem do nich dołączał, jak za dawnych czasów? Wstał i podszedł do okna, brzęcząc monetami w kieszeni.

- Nie ma czegoś takiego jak dawne czasy, Delio. Nie popełnij tego samego błędu i nie myśl, że coś trwa wiecznie. Jest tylko następny dzień. To wszystko. Oni po prostu grają, dla zabawy, no, wiesz.

- Ale przecież ty też chciałeś.

- Powiedzieli, że zadzwonią.

Później, jeszcze tego samego dnia, zaczął ćwiczyć. Grał na saksofonie dzień i noc, aby być gotowym, kiedy do niego zadzwonią z Turn Ups. Dolną wargę miał otartą od ucisku zębów, a z powodu sforsowania szczęk zaczął niewyraźnie mówić. Moszcząc się z książką na sofie Delia natknęła się na źdźbła bambusa, ukryte w fałdach obicia - były to zużyte ojcowskie stroiki, pożyłkłe od nikotyny.

Pewnego ranka zeszła na dół. Ojciec grał prawie całą noc. Z salonu nadal dobiegały na korytarz dźwięki, a Curtis zmywał podłogę, hałasując metalowym kubłem.

- Bądź ciszej, Curtis. Ojciec gra.

- Gra, panienko?

- Ćwicz na saksofonie. Przecież słyhać.

Curtis odcisnął szmatę w kuble. Jego policzki drgały.

- Oczywiście, że słyszę, panienko. Jakże mógłbym nie słyszeć. „Komu jest smutno?”. Mnie, oto komu. Myślałem, że już dawno z tym skończył. Prawda jest taka, że ojciec panienki nie umie grać. Nigdy nie umiał. Jeśli panienka tego nie wie, musi że panienka ucha nie ma.

Zaskoczył ją ten gniewny, pełen urazy ton.

- No nie, Curtis - zaczęła, ale nie dokończywszy, ominęła go i poszła na śniadanie.

Nie ma ucha? Jak to możliwe?

Teraz rzadko można było zastać George'a Caldwell'a przy biurku. Kiedy tam siedział, zwykle przesuwał dokumenty z lewej strony na prawą, wybierał spośród nich listy, czytał je i odkładał na bok. Tam znowu ginęły w stercie papierów, poplamionych rozlaną herbatą i zlepionych do chwili, gdy znów zdarzyło mu się ją wylać. Wtedy nawet psy przybiegały, żeby zobaczyć, co się stało.

Zwykle, gdy Delia siadała obok, zakładał okulary i pochylał głowę, studiując jakiś dokument. Za nim było okno, z którego roztaczał się widok na pasące się krowy, gałęzie młodych jodeł, które otaczały dziki ogród, lśnienie tafli jeziora, leżącego pół mili od pola Starych Marchwi. Zapadał zmrok, więc Delia nie mogła widzieć, że ojciec drzemie. Jeśli budziło go własne chrapanie, udawał, że jest zajęty czymś, co trzymał w ręce. Raz po czymś takim Delia wskazała na plik pozostawionych bez odpowiedzi listów i zapytała:

- Może chciałbyś, żebym je przejrzała? -Co?

-To.

- Ach, to? -Tak.

- Dobry pomysł. Dobry pomysł.

W listach były pytania o wioski, o wynajęcie terenu na coroczne zawody rolne; były też prośby o pozwolenie przejazdu czy przejścia przez majątek; prośby o pracę.

Tydzień później Delia sięgnęła po inny plik, zawierający z kolei poźółkłe rachunki.

- Mogę?

-To?

- Tak.

- A rób, staruszko. - To mówiąc odwrócił wzrok, aby uniknąć patrzenia na to, co znalazła. Podniósł się z krzesła, pomacał po kieszeniach i powiedział:

- W takim razie, cóż, mam wolne.

Wyszedł z pokoju i zaraz pojawił się znowu w tym swoim beznadziejnym blezerze, żalösnej flaneli.

- Nie czekaj na mnie.

Delia poszła za nim do hallu. Patrzyła, jak bawi się melonikiem i z wahaniem go odwiesza, tak jak tej nocy, kiedy udał się do Dog and Duck. Nie miała pojęcia, dokąd idzie. Mogła podsłuchać, ale przecież „nie miała ucha”.

Na długo przed ukończeniem osiemnastu lat, przejąwszy opiekę nad Sleet Delia Caldwell odkryła, że posiadłość tonie w długach. Za każdym razem, kiedy rozważała sprzedaż jakiegoś obrazu albo srebrnej biżuterii, okazywało się, że już jej nie ma.

V

Z Francisem pobraliśmy się pięć miesięcy po jego pierwszej wizycie w Sleet. Nie odwiedziłam go w Londynie; przyjeżdżał do mnie, do Sleet. Tak wyszło. Na długo przed oświadczeniami wpadał bez zapowiedzi, tłumacząc się zwykle tak:

- Obudziłem się dziś rano i poczułem, że muszę być z tobą. Gdybym się zatrzymał, aby zadzwonić, mógłbym umrzeć.

Nie sądzę, aby wiedział, jak się do mnie zabrać. Jako do kobiety. Nie wiedział, jak się do mnie zbliżyć. Minęło siedem tygodni, zanim zaryzykował coś więcej niż tylko trzymanie mnie za rękę. Wierzyłam, że chce mieć we mnie tylko przyjaciółkę, na której będzie ćwiczył te swoje namiętne wyznania.

Raz przyjechał i dowiedział się, że pojechałam na aukcję koni. Nie było mnie do późnego popołudnia. Kiedy wróciłam, siedział z tatusiem w salonie. Zanim zdążyłam usiąść, powiedział:

- Chodź, zobaczysz, co zrobiłem. Tatuś ponaglił mnie:

- No idźże, Delio. Dobra z ciebie dziewczyna.

Francis spędził cały dzień na karczowaniu przejścia przez leszczynowe zarośla, które rosły pod dębowym lasem. Była jesień. Kolory drzew i krzewów płonęły. Nie było miejsca, aby iść obok siebie, więc on poszedł pierwszy, torując sobie drogę nożem ogrodniczym.

- Robiłem takie rzeczy, kiedy byłem chłopcem, na Abacos, w miejscu, które zwaliśmy Yamacraw.

- Zawsze zaczynasz z tymi Abacos.

- Czemu nie? Są piękne.

- Z pewnością. Ale właściwie co to takiego? Zrezygnowany upuścił nóż.

- Na Boga, Delio, to przecież wyspy. Najpiękniejsze na całych Bahamach. Korale wyspy z różowym piaskiem i sosnami. Zoba-

czysz. Niedługo tam pojedziesz. - Dla zabawy wyśmiałabym wtedy jego pewność siebie, gdyby nie dodał, już łagodniej: - Ale najpierw, kochanie, chodź tutaj do mnie, dobrze?

Przyciągnął mnie do siebie i kępując ręce, po raz pierwszy mnie pocałował. Tyle razy wyobrażałam sobie ten pocałunek a teraz nie mogłam się poruszyć. Nie tylko na początku - aż do chwili, gdy poczuł, że mu ten pocałunek odwzajemniam i że nie ucieknę albo nie zaprotestuję. Jego dłoń pieściła moją twarz, a potem zajęła się rozpuszczaniem włosów, których gęstwina osłoniła nas przed całym światem. Uniósł mnie do góry. Moje zaskoczenie, gdy nagle wziął mnie na ręce - kobiety mojego wzrostu rzadko ktoś podnosi - ustąpiło miejsca zdumieniu, że jest taki silny.

Nasze twarze zgubiły się w moich włosach; ustami rozgniał moje wargi i wtedy właśnie, w krzakach leszczyny za nami, usłyszałam jakiś szelest. Dwa ciche stąpienia, jak bicie serca ziemi. Wiedziałam, nawet nie patrząc, że podglądał nas jeleń.

Udo miałam zimne, kiedy, przytrzymując mnie jedną ręką, uniósł mi spódnicę i oplótł się moją nogą. Poczułam się niepewnie.

- Zaufaj mi. Rozluźnij się - szepnął. Usłuchałam. Wiedziałam, że i tak mnie nie puści, bo we mnie wszedł. Potem ten miłosny akt został dopełniony jednym pocałunkiem.

W którymś momencie nasze ciała musiały znaleźć się na ziemi, gdyż pamiętam, jak gałązki leszczyny łaskotały mnie w plecy, oraz pas ciemniejszego nieba, widoczny pomiędzy zdziwionymi konarami drzew.

- Czy teraz za mnie wyjdiesz? - zapytał wtedy, jakbym wcześniej już sto razy mu odmówiła.

Zaprowadził mnie do końca swojej ścieżki, gdzie rozpościerał się zupełnie nowy widok na jezioro. Każda para ludzi, których uwertura miłości była tak akrobatyczna i jednocześnie obopólnie satysfakcjonująca, musiała zostać razem.

Przynajmniej według Francisca.

Zamieszkaliśmy w Londynie, w jego dużym domu. Podczas naszego krótkiego narzeczeństwa nie zauważyłam u niego aż takich potrzeb towarzyskich, tych mas ludzi, które przychodziły całymi dniami i długimi wieczorami.

Egzotyczni, żywi, należeli do świata Francisca, a on - do ich świata. Zmaterializowali się podczas naszego miodowego miesiąca w domu na Abacos, gdzie Francis się urodził i wychował. Ciągłe zmieniający się tłum, który nas otaczał, słodki, nie-

uchwytny, wolny, żyjący pod samym słońcem. Ich wdzięk ujawniał się w zawodach pływackich, skokach, narciarstwie wodnym, tańcu, i pozostawał żywy aż do chwili, kiedy jeden za drugim ucinali sobie drzemkę gdziekolwiek: na wolnym łóżku, podłodze, sofie albo ciepłej, drewnianej ławie, razem lub pojedynczo, jak zwierzęta.

Kiedy byliśmy w Sleet, starym zwyczajem wstawałam z łóżka tuż po brzasku i szłam na spacer z psami, a potem do biura, aby trochę popracować.

Wracając zastawałam go w jadalni, stojącego przy oknie. Przeglądał gazety. Opierał ciężar ciała na jednej nodze, nieświadomy własnej zmysłowości. Światło uwydatniało rysy jego twarzy, zapadnięte policzki, czarne brwi przedzielone zmarszczką skupienia - która miała się stać pierwszą prawdziwą zmarszczką - i oczy. Jedyne kolor, który widziałam, a który mógłby oddać tę barwę, to kolor wnętrza muszli. Czas stopniowo znaczył jego twarz swoim piętnem, co z biegiem lat tylko dodawało mu urody. Już od samych drzwi radowałam się jego widokiem, nie wierząc, że jesteśmy razem. Udawał, że mnie nie widzi i, nadal czytając, unosił głowę z ustami złożonymi do pocałunku. Zapraszającym gestem wyciągał do mnie rękę.

Pamiętam tę scenę tak dokładnie, ponieważ miała ona miejsce codziennie przez jakiś czas. Pewnie niezbyt długi, ale w trakcie naszego wędrownego życia wydawał się wiecznością. Te kilka chwil zlało się w całość. Dawaliśmy sobie nawzajem coś niezbędnego. Przez całe lata po tym, jak Francis przestał przyjeżdżać do Sleet, nadal zdarzało mi się wejść do tego pokoju i patrzeć na miejsce pod oknem, na niego.

Wieczory w Sleet. Kiedy tatuś kładł się wcześniej spać, znosiliśmy poduszki przed kominek, kochaliśmy się, czytaliśmy i gapiliśmy się w telewizor. Czasami Francis mnie rozbierał. Leżałam naga, próbując zdjąć z niego koszulę, ale on mnie powstrzymywał.

- Więc tylko ja mam być goła? - pytałam.

- Tak. Teraz. Spójrz, jaka jesteś piękna. Teraz oddam cześć twojej urodzie.

Tak też robił. Dłońmi i ustami, zanim pozwolił mi wreszcie, bym ja go rozebrała. Przy takiej okazji położył mi kiedyś głowę na ramieniu i tonem, jakiego zwykle używał poruszając ważne sprawy (na przykład mówiąc „Chodź teraz do mnie” w gąszczu leszczyny), powiedział:

- Twój ojciec nie czuje się dobrze, prawda?

- Skąd. Jest trochę ekscentryczny, to wszystko.

- Ale jest też zmęczony, powiedział mi. Opowiedział, jak sprawy stoją. Nie jest dobrze, maleńka. Chodzi mi o Sleet. Nie da sobie dłużej z nim rady. Dom ma finansowe kłopoty. Musisz o tym wiedzieć, przecież się tym zajmujesz.

- Nie wiem wszystkiego. Nie mam pojęcia o jego lokatach.

- Nie ma żadnych lokat. Wszystkie przepadły.

Prawdę mówiąc, od kilku miesięcy nawet o tym nie myślałam. W bawialni zawsze wisiał jakiś obraz, który można było sprzedać. Zawsze.

- Posłuchaj mnie - powiedział Francis. - Słuchasz? Kupię to miejsce od twojego taty. Oddam je w ręce dobrych prawników i księgowych, w przeciwnym razie nic się nie zmieni. On tutaj będzie, a ty zajmiesz się prowadzeniem gospodarstwa. Dobrze? Powiedz, że dobrze. Powiedz, że mam rację.

Rację? No cóż, tak właśnie zrobił. Myślałam, że odkąd wzięłam Sleet w swoje ręce, wszystko idzie dobrze. Nagle wszystko stało się dla mnie tak jasne.

- Kochanie - mówił Francis - razem sprawimy, że to miejsce stanie się piękne. Potrzeba jedynie pieniędzy.

Potrzeba jedynie pieniędzy. Tak mówił mój mąż. Właściwie, myślałam sobie, czy może być coś wspanialszego niż szczodrość ukochanego mężczyzny?

Jego znajomi byli wszędzie, gdzie pojechaliśmy. W Kenii na safari; w Norwegii, gdzie łowiliśmy łososie. Pojawiali się w Paryżu, chociaż myślałam, że będziemy tam sami. Potem w Szwajcarii - przyjeżdżali bez uprzedzenia, przygnani wiatrem. Stojąc na niższym stoku patrzyłam, jak nadlatują - niczym jaskółki na tle stalowoszarych gór. Pędziliśmy także całą paczką do Londynu: Francis, jego znajomi i ja; wycieczki gocarzem, wrotki i tańce, tańce, tańce. Tylko w Sleet czuli się tak zdezorientowani, jak kolibry na Hybrydach.

Co się ze mną działo, dlaczego nie mogłam robić tych wszystkich rzeczy, latać jak oni? Czy jakiś szok przy urodzeniu, jakiś niezauważalny wcześniej uraz kazał mi widzieć zbyt wiele i nie móc utrzymać równowagi na motorze? Przeszkody udają, że ich nie ma, do czasu, kiedy znajdziesz się w towarzystwie, z którym są związane.

Byli zazdrośni o swojego dawnego błękitnego ptaka, nie dzielili ze mną rozmów i żartów. Brakowało mi wyrobienia, abym mogła się

w tym wszystkim znaleźć. Byłam nietaktowna? Nie na miejscu? Bez wątplenia. Wszyscy mieli dla siebie jakieś przezwiska. Kiedy ochrzcili mnie mianem Dużej Czarnej Di, myślałam, że zostałam przyjęta.

Myśląc, że wiąże się z jednym mężczyzną, poślubiłam całą społeczność. Społeczność, która ceniła elegancję i dobrą zabawę. A na nią nie przygotowały mnie ani moja własna natura, ani cienie Sleet. Jednak czasami, przy niezwykle rzadkich okazjach, kiedy byliśmy sami, Francis kładł mi głowę na ramieniu i mówił: „Jestem słabym człowiekiem. Nie opuszczaj mnie, chociaż o tym wiesz”. Francis i słaby? On był najbystrzejszy, najsilniejszy i najlepszy. Raz spytałam, dlaczego tak rzadko mówi do mnie po imieniu. Nazywał mnie „maleństwem”, „skarbem”, „kochaniem”. Wołał do mnie Delia tylko w towarzystwie, oficjalnie.

- Naprawdę? - Golił się i odpowiadał z roztargnieniem. - Może rzeczywiście. Chyba za bardzo go nie lubię. Jesteś dla mnie Heleną, Catheriną albo Sophią. Sophia to cudne imię. Nie jesteś Delią.

Równie dobrze mógłby powiedzieć, że nie cierpi mego nosa. Od tego czasu wszystkie jego czułe słówka tylko przypominały mi o moim nieszczęsnym imieniu. Nonsensowne utrapienie.

Kiedy zaczął mi proponować, bym zmieniła rzeczy, które dawniej, jak przysięgał, były dla niego czarujące, np: „Dlaczego nie obetniesz włosów, są takie rozczochrane”, albo: „dlaczego się chociaż trochę nie umalujesz?” - wiedziałam, że tracę grunt pod nogami i będę częściej przyjeżdżać do Sleet.

- Już jesteś, staruszek - rzucił tatuś z fotela przy kominku, jakbym była nieobecna tylko przez krótką chwilę.

Był jakiś dzień powszedni. Przypuszczam, że od mego ślubu minęło wtedy chyba z dziesięć miesięcy.

Przyjechałam z wymówką, że rozpocznę przygotowania do weekendu, podczas którego miał przyjechać Francis ze swoją paczką. Właśnie wchodziłam po schodach, gdy tatuś, bardzo podekscytowany, wyszedł z salonu.

- Delio, stój. To zdumiewające... -Co?

- Chodź, to ci powiem. Bardzo dziwne. Bardzo miłe. Cofnął się i wskazał na podłogę.

- Stałem tutaj, właśnie tutaj, przed kominkiem. O tak. Nie, nieprawda. O tak. - Usiadł w swoim fotelu. - Czekał. Jak to było? Niech pomyślę. Na pewno stałem. - Wstał, uniósł ręce, uważnie odtwarzając scenę.

- No i co, tatusiu? I co?

- Chyba dokładałem do ognia, o tak - powtórzył ruchy - odwróciłem się, o tak. I wtedy ją zobaczyłem. Stała tam, prawie tu, gdzie ty teraz.

- Kto?

- Julia. Tutaj stała, mówię ci.

- Och, no cóż. Boże...

- Taka młoda i świeża... W swoim służbowym kostiumie, taka sama, jak wtedy, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz. Palnęłam wówczas najgłupszą rzecz. Może z zakłopotania.

- Wciąż na nią pasował?

- Co? Co?

Ponieważ tak naprawdę nie mówił do mnie, moja odpowiedź nie miała znaczenia.

- Coś mówiła?

- Mówiła. Coś mi podała, w białej kopercie, tak mi się przynajmniej wydawało. Powiedziała „Mam bilety do teatru, i nie pójdę tam bez ciebie”.

Po chwili, gdy się już odprężył i uspokojony mruczał pod nosem „dokładnie tutaj, tu stała... nie zamierza iść beze mnie”. Ukłękłam obok niego.

- Tatusiu, dobrze się czujesz? Dobrze? Spojrzał na mnie niewidzącym wzrokiem.

- Tutaj tutaj. Tutaj.

Później, opróżniając kufer z szufladami, który stał w naszej sypialni (chciałam zastąpić go większym), wśród pulowerów Francisa znalazłam płaskie pudełko. W środku, pomiędzy chusteczkami, leżała apaszka. Cudna jak wszystkie inne, które dostałam od Francisa. Zanurzyłam w niej twarz, szczęśliwa, że wkrótce przyjedzie, i złożyłam ją z powrotem, aby nic nie zauważył i mógł mi zrobić niespodziankę.

To było zaraz potem, jak Muriel i Tom sprowadzili się do przepięknego domu Królowej Anny, niedaleko nas. Spotkałam ją w szkole, którą przejęłam po tacie jako dyrektor. Muriel przyszła w odwiedziny, ponieważ chciała tam zapisać swoją pięcioletnią córkę. Aż tak popularna była wtedy szkoła St Mary. Tom i Muriel zostali chyba zaproszeni na kolację, tak, zrobiłam to, kiedy Francis poprosił o przyjęcie swoich znajomych. Polubiłam Muriel od pierwszego wejrzenia, ufałam jej, a moje uczucia nigdy się nie zmieniają.

Wśród przybyłych był ktoś, kogo nie znałam. Drobną dziewczyną o czarnych włosach, młodsza ode mnie. Była nieśmiała, bała się mnie. Podeszłam do niej. Zwróciła się do mnie „pani Sutherland”, z czego zaczęłam się śmiać. Przed kolacją udałyśmy się we dwie na spacer i opowiedziała mi, że zdała na akademię sztuk pięknych, mieszka w wynajętym pokoju, ponieważ jej rodzina pochodzi z Kornwalii, i że jest samotna, że nie dojada, bo jej na to nie stać. Patricia. Nazywała się Patricia. Na przyjęciu poprzedniego wieczora Francis przyłapał ją, jak chowa kanapki do torby, i najpierw jej dokuczał, a potem postawił kolację. Była mu bardzo wdzięczna, to miło z jego strony, jest taki hojny. Po kolacji znowu rozmawiałyśmy, siedząc na kanapie w bawialni (choć Francis twierdził, że jest zimna i nieprzyjemna, korzystaliśmy z niej, bo było nas dużo). Bardzo ją polubiłam. Byłyśmy do siebie podobne, wiedziałam o tym. Kiedy poszłam spać i zostawiłam ich, była o wiele pogodniejsza, rozmawiała z innymi. Następnego ranka, pojawiwszy się na śniadaniu - po codziennym obchodzie z psami - zastałam ich wszystkich razem: Francisę, przyjaciół i Patricię. Miała na szyi apaszkę. Puste pudełko leżało w koszu na śmieci w sypialni. Przez cały poranek patrzyłam, jak mój mąż pochyla głowę, kiedy ona coś mówi, jak wyciąga do niej rękę, nie dotykając jej, choć bardzo by chciał. Po południu wszyscy poszli na spacer. Ciekawe, jak też oni się nazywali? Przypuszczam, że kiedyś wiedziałam, musiałam wiedzieć. Zanim wyszli, zawiązała tę apaszkę na szyi, to znaczy Patricia zawiązała, a Francis rozwiązał, a potem ułożył ją inaczej. „Tak lepiej” - powiedział. Podziękowała, i przejrawszy się w lustrze nad stolikiem stwierdziła, że miał rację. Nie poszłam z nimi. Zostałam w domu, biegając z pokoju do pokoju i poszukując dziewczyny, którą miałam być, którą chciałam być. Salon zostawiłam sobie na koniec.

Był tam tatuś, spał głębokim snem. Usiadłam naprzeciw z nadzieją, że kiedy się obudzi, usłyszę na swój widok znajome: „Tu jesteś, staruszek”. Być może gdybym to usłyszała, po powrocie tamtych mogłabym zacząć wszystko od nowa.

Kochany staruszek, taki właśnie był. Głowa opadła mu na lewą stronę, usta miał szeroko otwarte, pomiędzy pożółkłych od palenia wąsów wystawał niedopałek papierosa; kilka sklejonych pasm włosów miał zaczesane na bok, tak samo jak na starych szkolnych foto-

grafiach, które wisiały na dole w łazience. Wiedziałam, co zrobi, jeśli go obudzę: rozejrzy się dookoła, oblize obeschnięte wargi, pomaca kieszeń swetra w poszukiwaniu fifki i uda, że wcale nie spał, tylko cały czas na mnie czekał. Powie to.

Nie mogłam się doczekać i podeszłam. Położyłam mu rękę na ramieniu i potrząsnęłam nim, ale nie mocno. Nie potrząsnęłam nim mocno.

Po tym wszystkim jeszcze nikogo nie było w domu. Poszłam więc z Gertie do ogrodu i w stronę zrujnowanej szopy, długiego, ceglanego budynku, który przylegał do kuchенно-ogrodowej ściany domu. Kroczyłyśmy wąską alejką, przedzierając się przez zarośla, mijając drewniane półki z sekatorami oraz kłębkami sznurka i sitek, puszkami po herbatnikach, stopy gazet i puste butelki po szampanie; szłyśmy obok motyk, grabi i łopat, ustawionych pod ścianą, nożyc na niej wiszących, aż wreszcie padłyśmy na jej odległym końcu. Usiadłyśmy, i ja, i Gertie, na stosie poplątanej siatki do tenisa. Przytuliłam ją mocno, wdychając zapach psa, kreozotu i gliny.

W tym momencie usłyszałam głos Francisa; wchodził do szopy, ciągnąc za sobą Patricię i zatraskując kopniakiem drzwi.

- Wszystko tutaj takie zapuszczone, w ruinie. Dlaczego na to pozwalacie?

- Nie miałem jak dotąd czasu. Będzie pięknie. Chodź tutaj.

Chwytał ją tak mocno, że zdołałam dojrzeć jedynie jej ręce na jego plecach. Oświetliło ich słabe zimowe światło, wpadające przez szybkę w dachu. Całowali się i ściskali, on dotykał jej piersi. Zobaczyłam, jak się pochyla i sięga pod sukienkę, jak jego dłonie prześlizgują się po długich, wełnianych podkolanówkach, które ode mnie pożyczyła, i docierają do ud, w mroku niemal zielonych. Podniósł ją i oplótł się jej nogą. Trzymała ją wysoko, podczas gdy on jej pomagał.

Nie słyszeli, jak krew wrze w moich żyłach? Ani tego, jak zimny pot wystąpił mi na plecy? Zawsze potem tak robił, tak samo, jak za pierwszym razem. Jak chciał. Jakbym patrzyła na samą siebie z nim. Było dziwnie, podniecająco i strasznie. Strasznie. Jak ja i nie ja.

Gertie wyrwała się z moich objęć. Pognęła pomiędzy narzędziami, workami ziemniaków i dopadła Francisa, sapiąc mu w nogi, merdając ogonem, skamląc i dysząc, jak to psy, kiedy się cieszą. Ludzie uprawiający miłość to była ostatnio rzadkość w jej długim życiu; zawsze ją to bawiło, chciała się przyłączyć.

- Jasna cholera, Gertie. Co tu robisz? - stęknął Francis, i dodał już innym głosem: - To znaczy, że Delia jest w pobliżu.

- Ależ ona nadbiegła stamtąd. - Patricia wskazała w moim kierunku.

Francis ruszył w tę stronę. Wyteżając wzrok usiłował dojrzeć, czy to naprawdę jestem ja, i dociec, czy coś widziałam. Jakbym była kilometry stąd. Skulił się.

- Jezus, Delia. Co ty tutaj robisz? Co się stało?

- Wydaje mi się, że tatuś umarł.

Nigdy mu nie powiedziałam, że widziałam, że wiem. To nie miało znaczenia.

Łatwość, z jaką kłamał, dowodziła, że ona nie była pierwsza, i z pewnością nie ostatnia. Pamiętam jednak tylko jej imię. Zaufanie zniknęło i nie było sposobu, aby je odbudować. Moja miłość nie umarła, to zrozumiałe, ale się wypaliła, jej płomień wygasł. Staralam się odzyskać stracone poczucie bezpieczeństwa, rzucając się w wir codziennych zajęć, wśród jakże kojących niewygód Sleet. Francis pozwalał mi na to, nigdy nie nadużywając swojego prawa własności, pamiętając, kto tak naprawdę jest posiadaczem majątku. W sprawach finansowych był bardzo taktowny.

Tematem dnia, omawianym podczas kolacji, stało się ogrzewanie budynku. Odsuwał talerz, odwracał się wraz z krzesłem w moim kierunku, zakładał nogę na nogę, a ręce - za głowę. Przeciągał się, jakby za chwilę miał wziąć udział w przedstawieniu - i chyba tak właśnie było, ponieważ nigdy nic nie odbyło się inaczej. Chociaż wiedziałam, co za chwilę nastąpi, lubiłam patrzeć, jak się rusza. Z taką lekkością. Zaczynał od zdania: „W takiej temperaturze nie sposób żyć po ludzku”. O to się sprzeczałyśmy, bardziej ja niż on. Nigdy nie miał specjalnych życzeń, a na pewno nie w sprawie ogrzewania, założenia podwójnych okien czy malowania. Nie porywał się na nic takiego, po prostu był to tylko jeden z kilku tematów, na jakie mógł rozmawiać. W tym czasie mógł mnie wybadać, dowiedzieć się, jakie mam zamiary i jak wiele wiem. Usta miał ściągnięte, zmęczone kłamstwami, naszymi kłamstwami, błagające o jakiś znak, żeby powiedzieć „przepraszam”. Pozostał wciąż niepewny, czy w tym, co wiem, jest coś, za co powinien przeproszać. Dojrzała kobieta pozwoliłaby na przeprosiny, aby mógł zdjąć z siebie ciężar starej winy, i zrobić miejsce dla nowej. Wiedziałam o tym, ale nie byłam dojrzałą kobietą.

Nadal sypialiśmy razem. Czasami czułam, że leżąc obok nadśluchuje, czy śpię, zastanawiając się, dokąd odpłynęłam. Co by się stało, gdybym się odwróciła i powiedziała: „W porządku, Francis, jestem z powrotem, zacznijmy od nowa”. Co by było?

Po pewnym czasie zaczął robić aluzje do rodziny, dzieci. Dlaczego nie zaszłam w ciążę? Nie zawsze dyskretnie sugerował, żebym się „przebadala”, jak to określał. Mimo pozorów, jakie zachowywał, była to moja sprawa. Potajemnie umawiałam się na wizyty u ginekologów. Dziwnym trafem za każdym takim spotkaniem stał kolejny trop, na jaki wpadłam. Jeszcze jedna apaszka, która dawała Francisowi okazję do następnych kłamstw. Jak zawsze udawałam i nigdy nie zdołałam być dostatecznie chłodna, odległa, nieczuła. Za strachu i urazy odwoływałam spotkanie.

W lecie 1967 roku pojechałam jak zwykle na Royal Show. Królewskie Stowarzyszenie Rolnicze zaprosiło mnie na kolację w uznaniu dla dokonań tatusia, kiedy jeszcze działał jako aktywny farmer i wiceprzewodniczący. Było to dużo wcześniej i czasy te skończyły się na długo przed jego śmiercią. Zarezerwowałam pokój na dwie doby w hotelu w uzdrowisku Leamington; kolacja odbyła się pierwszego wieczoru w namiocie Stowarzyszenia pod gołym niebem. Miłe było to spotkanie ze starymi kumplami taty, którzy mówili o nim same dobre rzeczy, o tym, jak wkładał wiele wysiłku w działalność farmerów zanim, jak to określali, nastaly dla niego „złe czasy”. „Nigdy nie przyszedł do siebie po śmierci twojej matki”. No tak, wierzyłam, ale też nigdy nie pamiętałam go innego. Opowiadali, jakim był żartownisiem, wesołkiem, naśladowcą Groucho Marksa. Tatus? Mój ojciec? Tak, przyjemnie było z nimi pobyc. Następnego dnia na pokazie wcześniej załatwiłam swoje sprawy. Zamówiłam żniwiarkę Massey Ferguson za tysiąc funtów, obeszałam absolutnie nowoczesne mleczarnie i oglądałam krowy rasy fryzyjskiej, kiedy zaczął padać deszcz. W ciągu godziny plac zamienił się w grzęzawisko, pomyślałam więc, że wolę wracać do domu, niż spędzić w uzdrowisku kolejny wieczór.

Francis, który (rzadkość) został w Sleet sam, powinien się ucieszyć ze żniwiarki tak samo jak ja. Wszystko, co zbliżało Sleet do dwudziestego wieku, sprawiało mu radość. Wyobraziłam sobie, że razemjemy kolację. Jako kto? Mająca wspólny cel para? Przyjaciele? Rodzeństwo? Nie. Do tego nie doszło. Miałam jeszcze nadzieję, że

nastanie czarowna wiosna, wszystko się zacznie od nowa, a my na powrót przeistoczmy się w kochanków, jakimi byliśmy kiedyś.

No cóż, wróciłam do domu i oczywiście Francis nie był sam. Była z nim kobieta. Pamięć podsuwa mi twarz i imię Patricii, ale to nieprawda. Chodzi o to, jak wyglądała - po prostu jeszcze jedna Patricia: szczupła, ciemna, krucha. Zawsze ten sam typ.

Wziął ją do naszej sypialni, do naszego łóżka i tej nocy najwidoczniej zamierzał zrobić to samo. Kiedy otworzyłam drzwi, już stał za mną. Spokojnie wchodził ze mną po schodach, plotąc coś trzy po trzy, przypuszczalnie po to, aby odwrócić moją uwagę. Obok mojego krzesła stały jej buty, na łóżku leżała jej koszula nocna, na mojej toaletce - jej szczotka do włosów i przybory do makijażu. Wszystko to rzucało się w oczy, pełna winy obecność tych przedmiotów zasłaniała wszystko inne.

„Kochanie? Delio?” - powtarzał Francis. W kółko to samo; zaglądał mi w oczy, tak naprawdę zapytując: Co z tym zrobisz? Co teraz powiesz, kiedy nie możesz już dłużej udawać?

Tymczasem zaś zbierał wszystko i nosił do drzwi, niczym nadgorliwa służąca, zapewniając mnie nieustannie: „Ona już sobie idzie, kochanie”. Minęłam go trzymając coś, co musiało być jej kosmetyczką, i zawiesiłam na jego wolnym palcu. Wyszedł.

Wziął ją do naszej sypialni, chociaż miał tyle gościnnych pokoi. Ale był mężczyzną leniwym, lubiącym wygodę. Usłyszałam odjeżdżający samochód: to ta nieszczęsna dziewczyna. Wrócił po chwili.

- Chcesz rozwodu? - zapytałam.

- Nie, Delio, proszę cię. Nie zostawiaj mnie. Nic się nie stało. Przepraszam.

- Nic?! - wykrzyknęłam, zastanawiając się, gdzie wyrzucić krążek dopochwowy, który znalazłam w łazience. Nie mogłam wymyślić nic lepszego, niż cisnąć nim w niego.

- Kochanie, kochanie, wybac mi... - złapał pocisk w powietrzu i, nadal mówiąc, przyglądał mu się. Kiedy zdał sobie sprawę, co to takiego, odrzucił go tak, jakby miał w rękę psie łajno. - Jesteś dla mnie wszystkim.

- Ktoś to musi podnieść - powiedziałam, wskazując na miejsce, gdzie upadł krążek. Pamiętam dokładnie, że chciało mi się wtedy śmiać.

- Bez ciebie nie potrafię być mężczyzną.

- Niewiernym? Nie, oczywiście, wiem doskonale, że beze mnie nie mógłbyś nim być.

- Proszę cię, Delio. Ostrzegalem cię, że jestem słaby. Ale cię kocham. Mógłbym próbować się zmienić, gdybym wiedział, że mogę Kochanie, proszę, wybaczyć mi, a spróbuję. - Okropnie było patrzeć na jego twarz.

Nie, nie mieliśmy dzieci. On był naszym dzieckiem.

Od pierwszego listu, tego, który napisał po naszym tańcu, było ich całe mnóstwo. Pisał listy pojednania: przeprosiny, jeśli nie miał racji; pomoc dla mnie, jeśli byłam zbyt dumna. Zawsze wiedziałam z jakiego powodu. Po tej scenie też przysłał jeden, słodkie słówka, 'bardzo elegancki; coś, co mogłabym zatrzymać, i co będzie mi go przypominać lepiej niż jego obecność.

Tym razem jednak przeniosłam się do sypialni po matce. Pokój ten był najjaśniejszy, miał najładniejszy widok i był najlepszy ze wszystkich w domu. Po tym wszystkim chciałam mieć coś najlepszego. A może raczej szukałam bezpieczeństwa w niedokończonych historii z przeszłości? Ja, duch, zajmujący miejsce zakończonego istnienia? ° Wizyty Francisca w Sleet stały się rzadkie. Zaczął na długo wyjeżdżać z Anglii, pomieszkując w swoim domu na Abacos. Dowiadywałam się o tym, jak żył, z pogłosek i plotek w gazetach; czasami wyłaniała się z nich jego twarz, przerażająca w swoim niedokończonym wyrazie.

Ponieważ sprzedał dom w Londynie, od czasu do czasu spotykaliśmy się u Browna, który zawsze był jego ulubionym hotelem. Jedliśmy wówczas kolację, a ja rozprawiałam o Sleet, które, odkąd je kupił, pod moimi rządami nic go nie kosztowało. Wydawało mi się to oczywiste, tak właśnie powinno być. Nigdy nie sprawdzał tego co mówiłam.

Przerwy pomiędzy tymi spotkaniami stawały się coraz dłuższe miesiące, rok albo więcej, tak więc zauważałam w nim zmiany. Jako czterdziestolatek utył w niezdrowy sposób. Wiek ten nie powinien być dla mężczyzny złym okresem, zawieszony pomiędzy młodością a jej zmierzchem. Zaczął tracić płynność ruchów i mniej dbał o wygląd. Najgorsze ze wszystkiego, co wiedziałam (choć usilnie pragnął to przede mną ukryć), było pograżenie się w nudzie i cynizmie.

- Jak tam? - pytałam. - Jak żyjesz?

A on odpowiadał.

- Świetnie. Naprawdę wspaniale. Dlaczego miałyby być inaczej? - Chciał, abym podała przyczynę. Tę prawdziwą. Jego odwiedziny w Sleet... Zdarzały się. Czasem przyjeżdżał z całą hordą ludzi, do tego dostawców i kwiaciarzy; mówiłam wtedy Curtisowi i pani Files, aby schodzili im z drogi, dopóki nie wyjadą. Ci obcy przybysze zamieniali mój dom w teatr; nic, co się wydarzyło, żadne słowo, wypowiedziane na późnych, dłużących się przyjęciach, nie było szczere ani nawet prawdziwe. Kiedy indziej pojawiał się sam, bez zapowiedzi; nikt poza nim w taki sposób nie przybywał do własnego domu.

Kiedy Francis Sutherland ostatni raz zawitał do Sleet, Delia Sutherland drzemała przy kominku w salonie, z nogami opartymi wyżej niż głowa. Protokół ostatniego zebrania zarządu parafialnego ześlizgnął się jej na brzuch. Otworzyła oczy, aby popatrzeć na przyciszone wieczorne wiadomości w telewizji, po czym zamknęła je znowu, wsłuchując się w mieszaninę różnych dźwięków: trzaskającego ognia, okiennic, stukających na wietrze, deszczu i, tak, jeszcze raz go usłyszała - dzwonek do drzwi. Bez pośpiechu wraz ze swymi dwoma labradorami wstała i opuściła ciepły kącik. Poszła do chłodnego i mrocznego hallu.

Psy, zawiedzione, że dzwonek ucichł, wynagrodziły to sobie warczeniem pod drzwiami. Poza kręgiem światła stał mężczyzna w żółtym sztormiaku i ceratowej czapce.

- Z pogotowia wodnego - wyjaśnił i opowiedział Delii, przekrzykując psy, których hałasu nie starała się uciszyć, że od czterdziestu ośmiu godzin do rzeki sączą się jakieś ścieki, i w końcu doszli, że to z jej nieszczelnego szamba przy oborach. Dlatego musi natychmiast coś zrobić.

Zostawiwszy go w ciemnym hallu, Delia zadzwoniła po stajennego. Zamknęła psy w schowku i ubrała się w strój przeciwdeszczowy. Przez godzinę we troje wdychali odór, idąc brzegiem gnojówki w ciemności, a ich kaganki świeciły na kłębiącą się parę. Zanim zdołali znaleźć wyrwę, kilka razy ześlizgnęli się, brnąc po kostki w gnoju, pochodzącym od dwustu pięćdziesięciu krów. Wtedy pan z wodnego pogotowia poszedł sobie, wciąż przyciskając do nosa chusteczkę.

Stajenny zasypywał słomą rowy, prowadzące z pola do rzeki, podczas gdy Delia pojechała trzy mile po spychacz, i wróciła koparką JCB. Przez trzy godziny spychała ziemię z granicznego pola na

osłabiony brzeg, w tył i w przód, i znowu do tyłu, grzęznąc w koleinach. Światła napotykały ścianę marznącego deszczu, więc była to praca po omacku, i w końcu koparka utknęła, warcząc, na szczycie hałdy, z szuflą w połowie zatopioną w gnoju.

Delia wyskoczyła. Podbiegł do niej stajenny i stali tak razem, prześcigając się nawzajem w pomysłach na to, co należy zrobić. Nagle Delia weszła po pas w cuchnącą ciecz. Stajenny krzyknął, żeby tego nie robiła.

- To tylko gówno, Mike! - usłyszał jej głos, przebijający się przez hałas.

Stało się to zaraz po tym, jak wróciła do salonu, mając nadal na sobie nieprzemakalne spodnie i płaszcz. Podeszła do barku, naląła sobie whisky, wypila, naląła następną.

- Cuchniesz - usłyszała za plecami.

Odstawiła szklanekę, smakując whisky, i odwróciła się do Francisa, siedzącego na tym samym krześle, które opuściła cztery godziny wcześniej.

- Miło cię widzieć, Francis. Jak długo tu jesteś? Zerknął na flaszkę brandy, opartą na swoim brzuchu.

- Od dziesiątej. Szukałem cię. Myślałem, że poszłaś na jakąś imprezę. - Przerywając ciszę, jaka nastąpiła po jego słowach dodał. - Taki wieczorny żarcik, Delio, nic takiego. Taplałaś się w łajnie? To dobre na bezsenność, co?

Zauważyła, że błoto ścieka jej po spodniach.

- Zrobiła się wyrwa w zbiorniku na obornik. Trzeba będzie zapłacić karę. Już drugi raz w tym roku. Fabryki wypuszczają tony ścieków, zanieczyszczając całe kilometry rzeki i uchodzi im to płazem. A mnie? To było tylko małe uszkodzenie, to wszystko. Możemy się założyć, że będę musiała wybulić z pięć tysięcy.

- Sleet na to stać.

- Być może. Ale nie możemy tak dalej ciągnąć. Zbiory są słabe. Mleka mało. Mówią, że mąki też niewiele.

- Ci farmerzy. Zawsze niezadowoleni. Kiedy się rozmawia o poważnych sprawach, i tak nic nie rozumieją. - Położył głowę na oparciu krzesła, strzepnął popiół z papierosa do ognia, ale nie trafił.

- Pójdę się przebrać - powiedziała. Wróciła dwadzieścia minut później, ubrana w szary szlafrok, przewiązany sznurkiem, pasiastą piżamę i kapcie w szkocką kratę. Podeszła do kominka, z rękami w kieszeniach, i Francis Sutherland zakrył twarz dwoma palcami

- Chryste, za kogoś ty się przebrała? Za, niech mnie diabli, wielkiego uczniaka? - Zasłonił ręką oczy.
- A może za tyczkę? Odsłonił oczy.
- Coś ty powiedziała? Tyczkę? Czy nigdy mi tego nie wybaczysz, i nie zapomnisz, Delio?
- Poprzednio ktoś tu wiele wybaczył, może nawet wszystko. Ale nie ostatnio. Ktoś nie ma w zwyczaju. Nie potrafi.
- Żeby zaraz mówić „ktoś”? Dlaczego nie powiesz, ja nie potrafię”? Z obawy, że to zbyt duża zażyłość?

Nagle zapragnęła być inną kobietą. Taką, która wie, jak postępować z mężczyznami, z własnym mężem. Powiną była wziąć jego twarz w swoje ręce i powiedzieć: „Kochanie, co się z tobą dzieje? No chodź już, chodź”, ale to wymagałoby czegoś, czego sama nigdy nie otrzymała ani jej nie nauczono, nie wiedziała, jak zacząć. Zamiast tego powiedziała:

- Jak ci się żyje? Nie wyglądasz na zbyt szczęśliwego.
- A powinienem? Wracam do domu...
- Po osiemnastu miesiącach.
- Pragnąc towarzystwa swojej żony, która w końcu pojawia się pewnego ranka, najpierw jako inżynier sanitarny, a potem jako kuchta. Nie mam żadnej rodziny, tylko samych interesownych przyjaciół...
- Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu lat, Francis...
- Od dwudziestu jeden.
- Masz rację. I nigdy dotąd nie skarżyłeś się na swoje życie. Coś się stało? - Nadal patrzył w płonący ogień, z rękami zwieszonymi po obu stronach krzesła. Poza wymijającym skinieniem głową nie zamierzał odpowiedzieć, więc ciągnęła dalej: - Myślałam, że wszystko, co jest między nami, było tak, jak chciałeś. Myślałam, że to twój wybór. Czulałam się z tym bezpiecznie.
- Nie śpimy ze sobą od szesnastu lat.
- Jestem zdziwiona, że masz czas na takie wyliczenia.
- Całe mnóstwo.
- Czulałam się bezpiecznie, ponieważ w chwilach załamania tylko to pozwalało mi wierzyć, że nie jestem tylko złą, starą tyczką. Chodzi mi o to, że nie robię awantur jak inne żony. Z męskiego punktu widzenia masz wszystko. Żyjesz dokładnie tak, jak chcesz, masz pieniądze, słońce, gdzieś z boku żonę, która cię chroni przed zobowią-

zianami, i możesz unieszczęśliwiać całe mnóstwo innych kobiet. Czy mężczyzna może chcieć czegoś więcej?

- Może.

- Na przykład?

Coś wymamrotał. Białka oczu miał przekrwione, usta spierzchnięte i wilgotne w kącikach. Słońce i alkohol wymazały żywotność z jego twarzy. Była porwana zmarszczkami.

- Powiedziałeś to, co mi się wydawało? Oczy zaszły mu mgłą.

- Powiedziałem „miłości”, do cholery.

- Ach. Tego. Tak mi się wydawało. - Wstała i zaczęła rozwiązywać szlafrok, jak gdyby to słowo zaplątało się w fałdach i przeszkadzało. - Niespodzianka, co? Przyjechać tutaj po tylu latach i mówić o „miłości”. Cóż, nie wiem, co ci powiedzieć. Przez ten czas zakochiwało się w tobie wiele kobiet.

- A ty?

- O nieba, co za pytanie. Nawet nie pamiętam, jak to było z nami na początku, jeśli to masz na myśli.

- Ale kochałaś mnie? Dlaczego nie możesz tego powiedzieć? Nie mówiłaś mi, że mnie kochasz, odkąd minął pierwszy rok od naszego ślubu.

- Nie?

- Kochałem cię. Nie udawałem. Przez z górą dziesięć lat, zanim się spotkaliśmy, były w moim życiu piękne kobiety i myślałem, że je kocham. Aż do czasu, kiedy poznałem ciebie. Odległą, zbuntowaną ekscentryczną. Pociągałaś mnie. Pragnąłem się z tobą ożenić. Nadal cię kocham. - Rzucił się do niej, ale spadł z krzesła. Aby upozorować, że upadek był celowy, upadł przed nią na kolana i chciał ukryć twarz na jej łonie, ale się odsunęła. Odchrząknęła, aby coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

- Jesteś zimna.

- A ty pijany. .

- Odtrącasz mnie tak jak kiedyś. Nigdy nie wiedziałem dlaczego. - Podpierając się łokciami o kratę skulił głowę w ramionach, oceniając odległość, jaka dzieliła go od krzesła.

- Nigdy nie pytałeś - odparła.

Porzucił zamiar dostania się z powrotem na krzesło, i zamiast tego gapił się w ogień.

- Więc to był powód? Wiedziałem, że nie chodzi tylko o tę dziewczynę-

czynę, no tę, którą tu przyprowadziłem. Robiłaś tak już wcześniej. Odtrącałaś mnie. Co złego zrobiłem? Albo czego nie zrobiłem?

Bardzo wolno zbliżył do niej twarz. Malował się na niej wyraz bolesnego przerażenia i jawnej irytacji mężczyzny, stojącego oko w oko z kobietą, co do której się pomylił.

- Mówię do ciebie, Delio, naprawdę mówię, a ty tak mi to utrudniasz. Nie jestem dobry w mówieniu, a ty jeszcze tak odpowiadasz. Dlaczego nie możesz mi udzielić jakiejś prostszej odpowiedzi? Do cholery, powiedz to! Powiedz coś, co mężczyzna może zrozumieć.

Z kolanami pod brodą i splecionymi dłońmi, zsunęła kraciaste kapcie.

- Patricia.

Zdarzało się im już tak rozmawiać, jedno pijane, a drugie zmęczone, ale nigdy nie tak blisko, i nie tak cierpko, a przede wszystkim nigdy, przynigdy nie wspomniała Patricii ani żadnej innej, o której wiedziała.

- Kto to jest Patricia? - zapytał.

Wtedy to zrobiła. Odrzuciła głowę i roześmiała się. Popatrzył na nią z uśmiechem i powiedział:

- Och, Delio, mogłabyś być taka piękna. Mogłoby być nam tak dobrze.

- Naprawdę jej nie pamiętasz, co? Wiedziałaś wtedy, że nie będziesz pamiętać, ale to nie przestało... no, nie mogłam o tym nie myśleć.

- Gdyby nie Sleet, wszystko potoczyłoby się inaczej.

- O tak. Gdyby nie Sleet. Było dla mnie wszystkim. Dziękuję za nie Bogu. Właściwie tobie dziękuję. Nie zapominam, jak sam zauważyłeś, więc czasami działa to w drugą stronę.

- Nie masz racji. Gdyby nie Sleet, zrobilibyśmy coś razem. Ale ty wróciłaś tu natychmiast, jak zaczęło się nam gorzej układać. Dla mnie Sleet jest „innym mężczyzną”, i nigdy sobie nie wybaczę, że sam je zaprosiłem do naszego życia. Powinienem je zostawić takim, jakim było, kiedy cię spotkałem, zepsutym od środka. I tutaj jesteś ty, tu, gdzie zawsze byłaś, osobno, odległa i niezależna. Nigdy nie czułaś się samotna?

- Zabawne, ktoś jeszcze raz mnie o to zapytał.

- Nocą, w łóżku? Sama? Zawsze sama. Jak mogłaś to wytrzymać? Czy twoje ciało nie chciało czegoś więcej? Nie byłaś kobietą oziębłą.

- Dobranoc, Francis.
- Przepraszam. To zabrzmiało głupio. Nie chciałem tego powiedzieć.
- Muszę iść... spać.
- Słuchaj, posłuchaj. Poczekaj. Proszę, porozmawiajmy.
- Dobranoc. Zobaczymy się rano. - Powiedziała to tak łagodnie, jak potrafiła.
- Czym jest chwila dłużej, Delio? Zostań ze mną. Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie tym razem samego.

Poszła. Przez chwilę stała pod drzwiami. Gdyby jeszcze raz zawołał. Gdyby podszedł do drzwi i znalazł ją i całą jej głupotę. Może gdyby nie był aż tak pijany albo powiedział to wszystko jutro. Po tylu latach nie było łatwo.

Leżąc w zimnej, bawełnianej pościeli w swojej sypialni, która znajdowała się dokładnie nad salonem, zdała sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie powiedział do niej „Nie odchodź”. Może będzie dobrze. Może to znów podziąła.

Rano.

Rano wyjechał. Prawdopodobnie nawet nie położył się do łóżka. Przypuszczenia te potwierdziły się w jego pokoju. Czekala na list, który, jeśli go napisze swoim zwyczajem, powinien nadejść. Nadal do niej pisał, w ten sam sposób, żalując win, jeśli doszło między nimi do jakiejś kłótni.

Błękitna koperta przyszła trzy dni później. Identyczna jak ta, w której dostała od niego pierwszy list. Zamiast go otworzyć, najpierw odnalazła inicjały. Pragnęła przywołać tamte świeże uczucia i nadzieje, odnaleźć w tym ostatnim liście coś, co mogłoby je odbudować. Pamiętając, jak poszła nad jezioro z Gertie, która zdechła już dawno temu, postanowiła zrobić to samo z dwoma obecnymi labradorami. Wetknęła list do kieszeni kurtki. Później spotkała się z majstrem, z którym obgadała sprawę wzmocnienia zbiornika. Kiedy przyjechał, kurtkę i płaszcz odwiesiła do schowka, zostawiając tam psy.

Po powrocie dowiedziała się od Curtisa, że narobiły straszego rabanu. Otworzył drzwi, aby zobaczyć, co się stało, a one uciekły i zgubiły się gdzieś w domu. Ostatnią godzinę spędził na odwieszaniu płaszczy i szalików, które pozrzucały z wieszaków, oraz ścieraniu wody, powylewanej z misek. Teraz próbował ocenić, czy niektóre z ubrań warto naprawiać. Pokazał jej kurtkę. Była zniszczona. List przepadł.

Przeszukała schowek, kosz na śmieci, napełniony przez Curtisa, i każdy kąt w domu, który psy mogły przypuszczalnie odwiedzić. Zadzwoiła do Muriel Fuller, aby pomogła jej szukać. Szesnaście dni później, sprząając budę psów - jeden z nich wypił mleko z bańki, pozostawionej na podłodze w kuchni, a potem zapaskudził sobie sypialnię - znalazła list.

Po godzinie oględzin zdołała wyodrębnić pojedyncze słowa: „upokorzenie”, „niewybaczanie”, „zaszczyt”, „Kennedy”, „Sleet”, „egzystencja”, „Leon”; dwa razem: „z przeznaczeniem”; oraz dwa słowa na końcu „czekaj tydzień”.

Delia zadzwoniła do Francisa, do jego domu na Abacos, i zapytała, kiedy znów przyjedzie do Anglii. Powiedział, że za dwa miesiące, ale że nie odwiedzi Sleet. Wyglądało, że oczekuje, aby coś powiedziała. Nie mogła przyznać mu się do listu, nie przez telefon.

- W takim razie hotel Browna - rzuciła, i wyznaczyła spotkanie. Dwa dni przed umówioną kolacją w hotelu Browna, z okazji

otwarcia klubu nocnego w Paryżu w gazecie zamieszczono zdjęcie Francisa, stojącego w grupie innych osób.

Opierała się o niego dziewczyna, która nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat; obejmował ją. Miała zamknięte oczy, a on patrzył na nią z uśmiechem.

Zawsze to samo, pomyślała Delia. Nigdy się nie zmieni i, uczciwie mówiąc, to jest naprawdę bolesne.

- Nadal otwierasz nocne kluby? - zaczęła rozmowę.

- Też to widziałem. Niezłe zdjęcie, co? - wyglądał na chorego.

- Piękna dziewczyna. Ktoś szczególny?

- Zamówmy coś.

Na początku mówiła o tym, co zawsze, czyli o Sleet. Francis był nawet mniej zainteresowany niż dawniej. Kiedy wtrącił: „Więc dalej to ciągniesz?”, nie zrozumiała, ale przestała mówić. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu.

- Dużo czasu zajęła ci odpowiedź. Ale taka właśnie jest, prawda? Ta twoja odpowiedź. Zawsze mi mówisz o tym, jak się czujesz, nic nie mówiąc. Myślałem po prostu, że ten jeden raz, jedyny raz, dasz sobie spokój.

- Jestem teraz tutaj - ze zdenerwowania mówiła za szybko.

- Nie, nie jesteś. Jesteś w Sleet. Tak jak zwykle.

- Dziękuję za list. - Mówiąc to nie była w stanie na niego spojrzeć. Kiedy już to zrobiła, przyglądał się jej tak dziwnie, że z zakłopotania zaczęła oglądać swoją obrączkę.

- Czytałaś go? - Kiwnęła głową z nadzieją, że on uzna to za potwierdzenie. - Oczywiście że tak, wiesz dobrze, co tam napisałem.

- Nie wiem - warknęła. Teraz była zirytowana.

- To dowodzi, że czytałaś, maleńka. - Jego głos był uprzejmy. Znowu mówił smutnym, czułym tonem, którego nie używał od lat.

- Nie czytałam go, Francis.

- Nie potrafisz się pogodzić z niczym, co tam przeczytałaś? - Był przekonany, że wie o wszystkim. Był miły i dyskretny, jak gdyby rozmawiali o jakiejś koszarnej chorobie, na którą zapadła, i nikt nie potrafił jej wyleczyć.

- Nic nie szkodzi, nie przejmuj się. Jestem już co prawda za stary, aby młodo umrzeć, ale to mało prawdopodobne. Rodzina Su-therlandów jest długowieczna.

- List zjadły psy. Kiedy zamknęłam je w schowku, coś im odbiło, chociaż zwykle zachowują się normalnie. Nie wiem, co się im stało! Nie przeczytałam go, Francis.

- Jezu, Delia - zacisnął palce na blacie stołu, kiwając się na krześle. Przestał być uprzejmy; stał się chłodny. - Czy nie wystarczy ci to, że go zignorowałaś? Nie wystarczy udawanie, że go nie czytałaś? Ale ty mówisz, że twoje pieprzone psy go zjadły. Dlaczego mi to robisz?

- Zawiodłeś moje zaufanie i sprawiłeś, że jestem brzydka - wymknęło się jej. Nie zdawała sobie sprawy, że tak myśli. Jakby mówiła za nią inna kobieta. Patrzyli na siebie.

- Tak - powiedział w końcu. - Wybacz mi. - Zanim zdążyła się zastanowić, co odpowiedzieć, wstał. - Pójdę już, jeśli nie masz nic przeciwko temu. - Wyszedł, nie dając jej czasu na odpowiedź.

Potem nie otrzymała już od niego żadnego listu. Nie zobaczyła go nigdy więcej.

Część druga

VI

Sierpień, ten cholerny sierpień, niedzielne popołudnie, długie jak cały rok; mordercza godzina, która trwa miesiąc. Tkwiłam przy oknie swojej sypialni, oszołomiona wiadomością od Davida Rosena, raczej „smutną” niż „złą”.

Francis nie żyje? Utopił się w swoim basenie?

Płakałam, podczas gdy na zewnątrz dzień ustępował miejsca nocy. Umrzeć po tym wszystkim? Moja miłość, pozbawiona obiektu, dała o sobie znać z całym zrozumieniem, potrzebnym do tego, abyśmy znowu mogli być razem. Łagodność, słowa i drobne gesty, które sprawiają, że ludzie otwierają się przed sobą i mogą razem żyć. Mogliśmy być razem dopiero teraz, gdy ucichł ten cały harmider. Byliśmy dostatecznie starzy, aby wiedzieć w końcu, czego chcemy.

W noc poprzedzającą moje pójście do biura Davida Rosena, gdzie miałam usłyszeć testament Francisca, obudził mnie sen. W tym śnie byłam niewidzialnym obserwatorem na tarasie domu Francisca na Abacos. W środku odbywało się przyjęcie. Jego odgłosy przebijały się przez szklane drzwi i tonęły w wilgotnej nocy wyspy. Ubrany na białą służący postawił świece na stolikach pomiędzy kolumnami, porośniętymi bungewillą. W ich cieniu siedziały dwie postacie, niewidoczne, ale, jak to bywa w snach, znajome.

Ciszę zakłócił radosny zgiełk. Elegancyjny ludzie przywykli do beczynności tańczyli tylko dlatego, że była to świetna okazja do okazywania wulgarnej czułości. Jednym z nich był Francis. Ścisnął w objęciach jakąś gibką dziewczynę, przytłaczając jej kruchość swoją podstarzałą sylwetką; lizał jej szyję, obmacywał krótką, błyszczącą sukienkę, dotykał miejsc pomiędzy pośladkami i udami. Sięgnął do suwaka; ramiączka opadły. Dziewczyna spojrzała błagalnie na innych gości, którzy się uśmiechali i odwracali wzrok. Sukienka zsunęła się do jej wąskich bioder, gdzie podtrzymała ją rękami. Odsunął je i wtedy opadła na ziemię, odsłaniając lśniące nagie ciało. Podbiegła

do szklanych drzwi, ale Francis zastąpił jej drogę; uciekała tarasem aż do balustrady, wspięła się na nią i przygotowała do skoku. Teraz i on znalazł się obok, również nagi, i przed skokiem w ciemność uklonił się w milczeniu swoim gościom. Śmiejąc się dziewczyna wróciła na taras. Teraz wszyscy się śmieli, wyglądając przez balustradę; ich głowy były ciemne na tle jasnego światła.

Nagle taras opustoszał i weszli ci dwoje, z cienia, niewidoczni, ale znani. Ich namacalne postacie przeszły po lśniących kafelkach do miejsca, gdzie Francis wykonał swój skok i tak jak pozostali wychylili się za balustradę. Tyle, że się nie śmieli. Tam, na dole leżało jego zmiażdżone ciało, pomimo ciemności bardzo wyraźne; rozrzucone koszmarnie członki, odgięta do tyłu głowa. Plama krwi zbrukała biały marmur basenu.

Nawet światło nocnej lampki nie pomogło mi otrząsnąć się z tego ostatniego obrazu, więc ją wyłączyłam. Chciałam sprawdzić, czy świt naprawdę już nadszedł, i tak, rzeczywiście, mieliśmy kolejny dzień. Za późno na spanie, wyjadę do Londynu o szóstej, aby uniknąć korków. Jak bardzo był samotny, pomimo późnej pory i tego, że się upił? Jak samotny? *Nie odchodź, Delio. Nie zostawiaj mnie tym razem.* Nigdy go nie zostawiłam. Zawsze byłam, czekając, aby mnie zdemaskował. Gdyby mnie poprosił, przyjechałabym do niego na Abacos, ot, krótkie wakacje od czasu do czasu.

Wracał, zaczął wracać; tyle lat nas dzieliło. Otrzymał ode mnie prezent w postaci wolności, wolności bez słowa skargi; pozbawionej złudzeń. Miał zamiar wrócić. A teraz? Biedny, biedny Francis, nie żyje.

David Rosen był niewysokim czterdziestolatkiem o wyblakłych włosach i rzęsach, rzucających rudawy cień na jasną skórę, przyprószoną piegami, które przy pewnym oświetleniu wydawały się drgać.

Kiedy po jego telefonie Delia Sutherland przybyła punktualnie rano, Rosen stał w drzwiach biura, rozmawiając z młodszym współpracownikiem. Była wciąż dość daleko od niego, gdy podał jej lewą rękę. Nie pozwolił się jej bardziej zbliżyć. Została usadzona przy jego biurku i dopiero wtedy do niej podszedł; oparł się o blat z tej samej strony, co ona. Całą tę strategię opracował po to, aby zatuszować różnicę wzrostu. Nie zamienili ze sobą słowa, dopóki nie zajęli upatrzonych pozycji. Przez trzynaście lat, odkąd przeszedł na emeryturę jego poprzednik (któremu Francis Sutherland przekazał księgowość

Sleet), poznali się na tyle dobrze, aby zaczynać bez powitania; lubili, kiedy odbywało się to w ten sposób.

Światło dzienne nie docierało w głąb pokoju, a na biurku stała jedynie zapalona lampka.

Rosen poczekał, aż Delia położy torebkę i rękawiczki na biurku, po czym poczęstował ją papierosem. Od dawna nie paliła. Podsunął jej ogień.

- Ohydnie, co? - powiedział wskazując deszcz za oknem, kiedy nachyliła głowę do marmurowej zapalniczki.

Pozwoliła, aby przyjrzał się badawczo jej twarzy (bez względu na to, czego oczekiwał), i powiedziała:

- Tak, ale wieczory w domu są piękne, sam wiesz. Od szóstej świeci słońce. To oczywiście za późno, żeby kukurydza wyschła, i żeby wysłać w pole ciągniki. - Udając powagę mrugnęła do niego. - Bądź co bądź i tak ostatnie dni były dobre.

Zaśmiał się i zaraz spoważniał. Znów się przyglądał. Zupełnie jak lekarz, pomyślała, szuka symptomów. Pozwoliła mu na to, wiedząc, że w ten sposób przynajmniej częściowo wyraża swój żal. Trzeba ułatwiać ludziom takie rzeczy dla ich własnego dobra.

Była tam, z potarganymi jak zwykle włosami, ubrana w dopasowany kostium, który podkreślał jej chłopięcą figurę, spowita zapachem tych swoich perfum; jedynych, jakich kiedykolwiek używała, jeśli w ogóle. Rosen wiedział, jak się nazywają, ponieważ takie same miała jego matka. Arpege. Oczywiście, na każdej kobiecie ten sam zapach jest inny. W przypadku Delii Sutherland różnica polegała na dodatku ledwie wyczuwalnej woni psa. Delia była upudrowana i wyglądała na wyczerpaną.

- Tak mi przykro, Delio - powiedział Rosen i natychmiast w myślach się przeklął. Przypomniawszy sobie jej chłodną reakcję na jego współczucie, kiedy zadzwonił do niej poprzedniego wieczora. Nie musiał przed nią udawać.

- Cóż, zdarza się - zmarszczyła brwi i odwróciła wzrok, po czym spojrzała na niego ponownie, już z normalnym wyrazem twarzy. - Prognozy się sprawdzają. Jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, najpóźniej dzisiaj zaczniemy żniwa.

- Dobrze.

- Nawet bardzo.

Nadal oparty o biurko przyglądał się jej, jakby na coś czekał.

- Chciałabyś znać szczegóły? - zapytał. - Kilka do mnie dotarło.

- Mówiłeś, że utonął.
 - Tak. Są jeszcze inne. Skoczył z tarasu. Widocznie basen znajdował się...
 - Wiem, gdzie był basen.
 - Ze zdjęć? -Nie.
 - Byłaś tam?
 - Podczas miodowego miesiąca.
 - Nigdy nie wspominałaś. Starał się ukryć irytację.
 - Więc wiesz o wszystkim, o jego skokach, imprezach i tak dalej?
 - Tak. - Nie wiedziała, ale chciała być żoną świadomą tych bolesnych spraw; na przykład rodzaju zabaw, w których brał udział.
 - Cóż, wygląda na to, że skacząc z tarasu, uderzył się w głowę. Nikt niczego nie zauważył. Kiedy uderzył w wodę, był już nieprzytomny. Zaczęli go cucić, ale za późno.
 - Zabawne - powiedziała.
 - Co takiego?
 - Nie chcę słyszeć nic więcej.
 - Ależ Delio...
 - Czy zabierze nam to dużo czasu?
- Odwrócił głowę. Bał się jej, odkąd zaczął pracować dla Sleet. Stopniowo, w czasie odwiedzin zaczął się ośmielać i mówić, jak bardzo ich wyczekuje; na zawsze zapamiętał te ich „patrole” (bo tak Delia Sutherland nazywała oględziny posiadłości) i przesiadywanie do późna w nocy, z popijaniem brandy i obgadywaniem planów. Był pierwszym,, który zadał jej to pytanie. Było niedyskretne i nieoczekiwane, chociaż planował je od miesięcy.
- Czy czujesz się czasem samotna?
 - Samotna? - powtórzyła, jak gdyby pierwszy raz usłyszała to słowo. To samo pytanie zadał jej po latach Francis.
 - Nie brak ci towarzystwa? - spytał Rosen.
 - Mam psy.
 - Miałem na myśli mężczyznę, Delio. Jej oczy dojrzały sedno tego pytania.
 - Chodzi ci o seks, Davidzie? Czemu od razu nie powiesz? Przełknął głośno brandy.
- Teraz podszedł do okna w swoim biurze i stał plecami do niej, kręcąc obrączkę na małym palcu.

- Testament Francisa pisałem dwanaście lat temu, według jego instrukcji. Zwrócił mi podpisany dokument, wszystko było w porządku.

- Wiem. - Tym razem naprawdę wiedziała.

- Pamiętasz, jak kiedyś mówiliśmy o nim we trójkę? Jak uważałem, że powinnaś znać swoją sytuację na wypadek, gdyby zdarzyło się coś takiego jak teraz?

- Tak, pamiętam. Od tamtego czasu dyskutowaliśmy o tym z Francisem. Rozmawialiśmy ze sobą, Davidzie. Mieliśmy czas dla siebie. Pomiedzy nami była nic porozumienia, której ludzie nawet nie podejrzewali. - Na tak dziecinną przechwałkę Rosen musiał odwrócić wzrok. Ciągnęła: - Właśnie dziś rano, w łóżku, rozmyślałam o tym, że inni tak naprawdę nigdy nie wiedzieli, co nas łączyło. Nie, nie było to konwencjonalne małżeństwo, ale potrafiliśmy dać sobie to, czego normalne pary sobie nie dają: wolność. Wiesz, zanosilo się na to, że znowu będziemy razem. No, nie mogłeś wiedzieć, ale to prawda. Było to tylko kwestią czasu.

- Naprawdę?

- Och, tak. - Strzepnęła popiół z papierosa i zaciągnęła się dymem.

- W takim razie - zaproponował z ożywieniem - zajmijmy się testamentem i tym, co prawo zapewnia żonie zmarłego. Jeśli chodzi o podział majątku, jest tak samo, jak w przypadku rozwodu. Gdy żonie dostanie się za mało, może wnieść skargę. Wygraną ma prawie pewną.

Delia była niecierpliwa; czy zawsze musi tracić czas na tę swoją pedanterię? Potrząsnęła zegarkiem na nadgarstku, dyskretnie na niego zerkając. Zauważył.

- Czy ty mnie słuchasz?

- Tak, tak.

- Francis zapisał ci ponad dwa razy więcej, niż w tym przypadku stanowiłoby minimum.

- Wiem, Davidzie. Znam ten testament. - Teraz mówiła uprzejmie, usiłując powstrzymać go od zbędnych wyjaśnień. To wszystko po prostu nie było potrzebne.

- Chyba nie do końca. Delio. Rzecz w tym, że Francis ma syna, Leona Kennedy'ego.

Delia wstała i przeszła przez pokój, udając, że strzepuje coś z dłoni.

- Wiem.

- Tak? Rozumiem. Ale nigdy go nie wspominałaś.

- Nie, nie wspominałam wyjazdu na Abacos i nie wspominałam chłopca. Co się dzisiaj z tobą dzieje, Davidzie? Dlaczego uważasz, że powinnam chcieć albo potrzebować, albo rozmawiać z tobą o takich sprawach? Powinnam? Dla mnie ten człowiek nie istnieje.

Rosen zamknął oczy i powiedział:

- Bądź cierpliwa, Delio, bądź cierpliwa. - Otworzył oczy. - Francis wspomniał o nim w kodycyli, dopisanym w Nassau. Jego treść znam od niedawna, chociaż leżał u mnie parę lat. Dostałem polecenie, aby go nie otwierać przed jego śmiercią. Tak więc zrobiłem, 0 ósmej trzydzieści dzisiaj rano.

Delia Sutherland przeniosła swoje zainteresowanie na drugą dłoń.

- A więc został wymieniony. Spodziewam się w takim razie, że jego matka także. Niczego im nie żałuję. - Rosen nadal się nie odezwał, więc Delia dodała: - Tak? Wymienił jego matkę?

- Nie. Na jej temat nie ma nic.

- To niedobrze, bo powinno być. Powinien był jej coś zapisać. Rosen usiadł wreszcie za biurkiem.

- Delio, Francis zapisał temu młodemu człowiekowi Sleet. - Podrapał się w czoło.

- Nie, nie, nie. Dajże mi to, no wiesz co, aneks. - Zanim jeszcze skończył mówić, wyciągnęła rękę po dokument.

Spoglądała przy tym już otwarcie na zegarek, jak gdyby nie wiedziała, czy ma wystarczająco dużo czasu.

Podał jej testament. Przeczytała go, za pierwszym razem szybko, potem drugi raz, już powoli. Odsunęła go od siebie i nie spuszczać z niego wzroku powiedziała:

- Nie całkiem rozumiem. To jest, rzecz jasna... co to właściwie jest? Co to oznacza? No, mów, Davidzie.

- To znaczy że Sleet, czyli dom, farma i cały majątek przechodzi na własność Leona Kennedy'ego.

Jej spojrzenie prześlizgnęło się ponad jego ramieniem. Popatrzyła w okno. Podeszła do niego i wyjrzała.

Gołębie. Gołębie na parapecie. Przepychają się i kłócą o miejsce. Jednego wypchnęły. Zamachał skrzydłami, odleciał, zrobił kółko

i wrócił, wypychając innego. Deszcz przestał padać.

- Będziemy mieli piękny dzień - orzekła. - Kombajny dojadą na Papieski Dołek.

- Stary, poczciwy Papięski Dołek - próbował się roześmiać, ale umilkł.
 - Tak, właśnie. - Usiadła z powrotem na krześle i nachyliła się do niego. - Jak więc zaczniemy walkę?
 - Nie zaczniemy. Możesz wszcząć kosztowne dochodzenie, poszukać wszystkich „przeciw”, ale koniec będzie taki sam. Posiadasz centrum handlowe w Richmond i w Clapham. Działkę budowlaną na Wyspie Psów, akcje zakupione w roku 1974 i 1983.
 - On nie może legalnie dziedziczyć. Jest nieślubnym dzieckiem i nie jest nawet Brytyjczykiem.
 - Dziedziczy najzupełniej legalnie. Francis uznał Leona Kennedyego za swojego syna, a poza tym może zapisać swoją własność komu tylko zechce. Młody pan Kennedy jest w takim samym stopniu Brytyjczykiem, jak jego ojciec, jeśli tak zdecydował, ponieważ Francis, jak wiesz, miał zawsze obywatelstwo brytyjskie. Z imigracją nie będzie problemu, szczególnie że istnieje małe prawdopodobieństwo, aby chciał się przenieść do Stanów.
 - Przestań, nie chcę tego słuchać - przerwała. Podrapała się po głowie. Był wdzięczny, że może skończyć. - Chodzi o to, że Sleet jest moje. To mój dom. Dom mojej rodziny od stu sześćdziesięciu lat. Nigdy nie mieszkałam gdzie indziej. Dlatego przestań. Co teraz zrobimy? - Nie odpowiedział, więc powtórzyła łagodnie - Davidzie? Chcąc zapomnieć o tonie, jakiego nie słyszał u niej nigdy przedtem, odpowiedział pośpiesznie:
 - Francis zezwolił na współlokatorstwo.
 - To znaczy?
 - Możesz mieszkać w Sleet tak długo, jak zechcesz. Wraz z nowym właścicielem, jeśli zechce tam rezydować. To absurd, rzecz jasna.
 - Niedorzeczność. Co zrobimy?
- Zrobił jakiś nic nie znaczący gest i zakrył twarz.
- Obawiam się, że nie będzie już dłużej żadnego „my”.
 - Jak to? Jesteś moim prawnikiem.
- Rozłożył ręce i przykrył władczy gestem kilka stosów dokumentów na biurku.
- Jestem prawnikiem Sleet.
 - A Sleet jest moje.
 - Jestem także powiernikiem i wykonawcą testamentu Francisa.
 - Francis nie żyje.

- I o to chodzi. - Z czarnych czeluści rękawa wyciągnął mankiet, spięty złotą spinką. Przesunął dokumenty najpierw w lewo, potem w prawo. - W tym tkwi źródło konfliktu. Mógłbym zrezygnować z powiernictwa i wykonania testamentu, odmówić, ponieważ testament jest dla ciebie niekorzystny... I tak właśnie myślę, Delio, uważam, że jest bardzo niekorzystny.

- A więc zrób tak.

- Nie mogę. Zawsze byłem zdania, że trzeba szanować wolę zmarłych. Taka jest zasada. Francis kupił Sleet od twojego ojca, a teraz chce, aby właścicielem zostało jego jedyne dziecko. Gdyby żył, powiedziałbym mu, że uważam testament za nieuczciwy. Rozmawiałem z nim kiedyś, aby przekazał posiadłość tobie. Nie wiem, czy mnie wtedy słuchał. Sugerowałem, aby przynajmniej za twojego życia miejsce należało do ciebie; aby młody człowiek dostał je po twojej śmierci. Ale Francis więcej nic o tym nie mówił...

- Za to zrobił, co zamierzał. - Jej głos dobiegł z drugiego końca pokoju. Rosen jej nie widział, kiedy kończył swoją przemowę.

- Jestem zmuszony wypełnić jego wolę. - Nie powiedziała ani słowa, więc dodał poważnym tonem, wyraźnie akcentując: - Delio, muszę.

Słysząc było odległe hałasy, jakiś odkurzacz, stukanie maszyny do pisania i rury kanalizacyjne.

- Spotkałeś się z nim? - wyszeptła, tuż przy jego twarzy.

- Z Kennedym? Nie.

- Jest czarny. - Starła ślad kredy ze spódnicy, strzepnęła palce, zdjęła jakąś nitkę z rękawa i podniosła ją do góry.

Rosen wybuchnął śmiechem. Zbyt głośnym, ale spowodowanym ulgą, że ma się jeszcze z czego śmiać.

- Och Delio, jesteś wspaniała...

- Jest czarny, mówię ci. Jego matka była dziewczyną z plemienia Exuma. One są najładniejsze ze wszystkich. Kiedy ją znalazł, była dziwką w Nassau. Lubił szczupłe, ciemne i kruche. A ona, no cóż, była najszczuplejsza, najciemniejsza i najkruchsza.

Rosen nabrał głęboko powietrza i, zapominając o naturalnym rytmie, powstrzymał wydech. Kiedy je wreszcie wypuścił, usłyszała:

- Nic dziwnego, nic dziwnego. Delia spytała niewyraźnie:

- Ze nie mnie? - Jej oczy wypełniły się łzami, które jednak nie spłynęły. Prawda znów stanęła jej przed oczami. -

Naprawdę próbo-

wałam być choć trochę taka, jaką mnie chciał, naprawdę. Na początku. - Rozpłaszczyła palce na powierzchni biurka.

- Ale nie leży w mojej naturze zmieniać się dla kogoś. W tym względzie uważaj też i na siebie, Davidzie.

- Nie. Masz rację. Będę uważał.

Nacisnęła skronie, jakby chciała w ten sposób powstrzymać wspomnienia.

- W jego życiu było tak wiele kobiet. Kiedy z nimi nie flirtował, same to robiły, przed moim nosem. Nie oponował. -

Po czym ze zdziwieniem w głosie dokończyła: - Właściwie to boli.

David Rosen obszedł biurko dookoła i stanął obok. Przytulił ją do siebie w taki sposób, że jej głowa znajdowała się na wysokości jego pasa, jakoś niezgrabnie, ponieważ nie poddała się uściskowi. Nie oczekiwał, że to zrobi. Nigdy wcześniej nie był tak blisko niej i wbrew sobie cieszył się z tej chwili.

- Co z pogrzebem, Delio? Czy chcesz, abym poprosił Freemana Tuckera, prawnika Francisa, aby wszystkim się zajął, czy może raczej...

- Nie. Jego.

- Tak będzie dobrze, jestem pewien. Francis i on byli dobrymi przyjaciółmi. Czy mam mu powiedzieć, że tam będziesz?

- Powiedz, że nie będę.

Wstała bez uprzedzenia. Zanim zdążył się cofnąć, aby mogła spokojnie wziąć rękawiczki i torebkę, stwierdził, że jego wzrok znajduje się na poziomie jej piersi.

Znalazła się przy drzwiach tak szybko, że nie miał czasu zrobić nawet jednego kroku. Przy wyjściu zawołała swoim normalnym głosem:

- Nie fatyguj się, Davidzie! - Nie widział jej; szary londyński półmrok był rozświetlony jedynie bursztynowym snopem biurowej lampki..

- Tak mi przykro, Delio. - Cholera, pomyślał, cholera.

- Cóż, z pewnością, ale przynajmniej masz coś z głowy, Davidzie. Zadzwoń do ciebie w tygodniu.

Deszcz przestał padać; mokre ulice lśniły. Słońce odbijało się w asfalcie, szybach samochodów i sklepowych witrynach. Blask raził w oczy i Delia Sutherland zasłoniła je dużą brązową kopertą, którą dostała od Rosena. Zanim dotarła do skrzyżowania Charing, trzy

razy nieoczekiwanie się zatrzymywała, tamując ruch przechodniów, którzy gapili się na nią zdziwieni. „Nie” - mówiła na głos, zawracając w stronę, z której przyszła, tylko po to, aby po chwili znowu się cofnąć. Na końcu wąskiej uliczki wiodącej na nadbrzeże stał budynek, na którego wystawie wisiał szyld ze złotym napisem „Wines from the Wood”. Przed wejściem do środka powstrzymał Delię tłum ludzi, wychodzący z baru w suterenie. „Dlaczego wszyscy muszą iść w przeciwną stronę niż ja? Czy to koniec pory obiadowej, czy też początek godzin szczytu?”

Straciła rachubę czasu. Zresztą nie tylko ona nie potrafiła zgadnąć, która jest godzina; światło, liście na drzewach, łoskot przejeżdżających tramwajów i uliczny hałas nie wskazywały na żadną szczególną porę dnia. Nic już nie było proste jak dawniej. Ani dzień dzisiejszy, ani te, które miały nadejść.

Osobnik stojący przy osmalonym wózku ze zniszczonym daszkiem pstrykał palcami i kiwał głową w rytm muzyki, której słuchał przez słuchawki. Na widok Delii uniósł brwi, biorąc jej spojrzenie do siebie, otworzył wieczko i zanurkował szczypcami w głąb pojemnika. Patrzyła, jak wyciąga z niego hot doga i umieszcza go w bułce. Nie odezwała się, kiedy po raz drugi pytająco uniósł brwi, więc do parówki dołączyła cebula, musztarda i keczup. Wręczył jej ciekący pakunek, wycierając palce w podkoszulek, na którym widniał napis „Szczęście jest ciepłutkim kotkiem”, cofnął rękę i znudzony spojrzał w innym kierunku.

W małym pobliskim parku znajdował się letni teatr; był zamknięty. Fotele dla widowni wznosiły się ku górze, oddzielone od siebie kałużami wody. Pod kloszami ulicznych latarni chowały się mewy. Delia Sutherland usiadła na ławce, gdzie widok na rzekę zasłaniała publiczna toaleta. Postawiła torebkę na ziemi, pomiędzy stopami, a hot dog upadł jej na kolana.

David nie uwierzył, kiedy powiedziałam, że on jest czarny. Myślał, że się zagalopowałam w tych swoich tłumaczeniach. Ale ja go widziałam. Bawił się u stóp matki przed domem na Abacos. Kiedy przyjechałam pierwszy raz, wjechałam samochodem przez bramę. Jej nie wpuszczono; ani jej, ani dziecka. Zawróciłam i patrzyłam, jak nosi je na biodrze i coś tam gada, wygrażając pięścią, aż wreszcie zniknęła w chmurze kurzu, wzbijanego przez koła samochodu. Zachowywała się jak doświadczona dwudziestolatka, a musiała mieć

z siedemnaście, może osiemnaście lat. Czasami, kiedy wstawałam wcześniej rano i szłam do lasu, natrafiałam na sarnę, która nieruchomiała na mój widok, a jej niepokój i czujność przypominały mi tamtą kobietę. Intuicja i zmysłowość. Wdzięk; ona była tak pełna wdzięku.

Pojechaliśmy tam, ja i Francis, spędzić część przedłużającego się miodowego miesiąca, aby się do siebie „dostroić” i jakoś zacząć to wspólne życie, które, jak wtedy twierdził Francis, miało trwać i trwać. Droga na tyłach domu jechaliśmy tylko raz, na początku; potem wydostawaliśmy się stamtąd łodzią, z portu. Drugi raz zobaczyłam ją następnego dnia po przyjeździe. Spacerowałam po ogrodzie, po twardej trawie, która wcale nie była trawą, tylko jakimś prymitywnym chwastem. Ominęłam grządki, porośnięte jaskrawymi, skórzastymi kwiatami i wybrałam piaszczystą, obsadzoną oleandrem ścieżkę. Zobaczyłyśmy siebie w tym samym momencie, ona po swojej stronie bramy, ja po swojej. Chyba powiedziałam jej dzień dobry. Tak, powiedziałam. Nie odpowiedziała. Nigdy się do mnie nie odezwała.

Następnego dnia znowu poszłam, nie po to, aby ją spotkać, ale zwyczajnie, jak ktoś, kto ma dom z ogrodem i nic do roboty. Spacerowałam codziennie o tej samej porze, właściwie przez cały mój krótki pobyt. Ona zawsze tam była i za każdym razem próbowałam z nią rozmawiać. „Ładny dzień”, mówiłam, pytałam o imię dziecka i tak dalej.

Reagowała tak samo: zabierała dziecko i odchodziła, odwracając delikatnie główkę małego, i zasłaniając ją piersią, abym nie mogła go zobaczyć. Nie znosiłam tego. Czułam się jak ktoś, czyj widok może kalać, może zaszkodzić dziecku.

Gdy zapytałam Francis, kim jest dziewczyna przy bramie, odpowiedział lekko:

- To tylko Jeanne Kennedy. Jest w porządku.

- Wariatka? - spytałam. Śmiał się ze mnie i powiedział, że ona mieszka w szałasie. Nazwałam jej dziecko

Kurczaczkiem i przed wyjazdem kupiłam dla niego ubranka w sklepie w Nassau. Było wczesne popołudnie; drzemała pod drzewem coccoloba. Chłopczyk nie spał, siedział przy drodze prosto niczym struna, jak to zwykle robią małe dzieci. Bawił się, wkładając piąstki do szklanego słoika, uderzając nim o ziemię a potem liżąc.

Przestraszyłam się, że ta zabawa może być dla niego niebezpieczna. Przestał, kiedy się zbliżyłam, i patrzył na mnie wyzywająco swoimi żółtymi oczyma.

Był solidnej budowy, tak charakterystycznej dla czarnoskórych, i różnej niż nasza. Zmierzwione, kręcone włosy miały taki sam przygaszony kolor jak jego skóra; jakby zrobiono je z pyłu, w którym się bawił. Tylko oczy były inne - lśniące i tygrysie.

Jego matka się nie obudziła; smukła ręka spoczywała na kwiecistej sukience, a zgięte kolano było leniwie odchylone w bok. Szyja odgięła się w lewą stronę pod ciężarem idealnie okrągłej głowy o krótko ostrzyżonych włosach.

Podszedłszy bliżej mogłam się jej lepiej przyjrzeć. Długi, spłaszczony nos kończył się małym trójkącikiem tuż ponad górną wargą. Kości policzkowe wyglądały jak ukryte pod skórą śliwki, a na zamkniętych oczach, tam gdzie powieki stykały się ze sobą, znaczył się naturalny cień. Pełne wargi były bezwiednie, dumnie wydęte. Jej skóra nie miała przygaszonej barwy - była lśniaca i czarna jak smoła.

Musiał obudzić ją bezruch, jaki towarzyszył tej scenie: dziecku, obserwującemu, jak patrzę na jego matkę. Powoli otworzyła oczy, jakby z niedowierzaniem. Położyłam obok niej paczkę z małymi ubrankami i odsunęłam się o krok. Czy się potknęłam? Byłam niezdarna? Oczekiwałam cudu? Jak musiałam wyglądać, cholerna, wielka Angielka? Gapa.

Jej usta wydęły się jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle było możliwe. Policzki poruszały się przez chwilę, aż wreszcie, przy lekkim drżeniu całej reszty ciała, wyrzuciła z siebie misternie utoczoną plwocinę, która poleciała prosto na moje usta i ześlizgnęła się z warg. Zanim się zorientowałam, co mnie spotkało, językiem oblizałam ciepły, ohydny śluz.

Uciekłam. Chciałam tylko być miła dla Kurczaczka. A teraz? Dobry Boże, co teraz?

Ze wspomnień o ciepłych i słonecznych Wyspach Bahama wyrwał ją jakiś facet o ponurej twarzy. Jego masywną głowę otaczała aureola rudych włosów, które łączyły się z brodą i opadały na klatkę piersiową. Usiadł obok, patrząc jej nachalnie w twarz, a następnie na kolana. Palce o zapuszczonych paznokciach zacisnęły się mocno; tweed spódnicy, jedwab podszewki i nylon majtek - poczuła, jak to wszystko dotyka jej ud.

- Mogę? - wyszeptał. - Mogę? - Zmieszana zmarszczyła brwi. - I już sobie idę - dodał. - Tak będzie dobrze?

Ujrzała, że hot dog opuszcza miejsce na jej kolanach. Trzymając go oburącz mężczyzna ugryzł i powoli przeżuwał, delektując się tym,

że za chwilę będzie mógł połknąć drugi kęs. Odszedł, nie spuszczać wzroku z kanapki; brzuchem popychał trzykołowy wózek, naładowany po brzegi stertą gazet i tektury. Delia Sutherland spojrzała na swoją spódnicę, poplamioną musztardą i keczupem.

Twoja podświadomość wie, kiedy spotykasz kogoś, kto będzie miał wpływ na twoje życie, na twoją miłość. Zwraca uwagę i zmienia atmosferę. Aha, powiada, zobaczmy... I czeka chwilę, aż życie potoczy się dalej, a ty w mówisz sobie, że to szczególnie uczucie podejrzliwości jest czymś normalnym.

Wspomnienie spotkania z Jeanne Kennedy i mojej ucieczki utkwilo mi w pamięci na długo. Myślałam, że z powodu wstydu. Dopiero pewna przyjaciółka Francisa powiedziała mi prawdę. Pamiętam tę kobietę, choć nie z twarzy. To była Gaby Muir, tak jak Patricia była po prostu Patricia. Jedną z wielu, które siedziały obok mnie w modnej włoskiej restauracji; kobieta mocno uperfumowana, obwieszona kosztownościami. Tyle z niej zapamiętałam; ten zapach, głos i odrobinę złośliwości. Był to ten moment naszego małżeństwa, kiedy nieobecności Francisa w Anglii stawały się coraz częstsze.

Kiedy po zabaglione czekaliśmy na kawę, zapytała:

- Czy ty w ogóle wiesz coś o Jeanne Kennedy?

- Tak - odpowiedziałam. Od razu wiedziałam, co chce mi powiedzieć.

- Ach tak? No, minęło przecież dobrych parę lat. Mówię o tym dlatego, że Francis jest bardzo zainteresowany jej synkiem. Wydaje się, że odkał rozkręciła własny interes, trochę go rozpuściła. Nie chcę nawet myśleć, czym się mogła zajmować. Podobno chłopak został złapany przez policję. Okradał samochody wraz z gangiem innych chłopców. Ma dopiero siedem lat. Francis uruchomił swoje znajomości, wyciągnął go z kłopotów i posłał do swojej starej szkoły, St coś tam...

- St Andrew.

- Och! Wiedziałaś?

- Że tam pojechał?

- Aha. No i teraz chłopiec tam uczęszcza. Jest jednym z pierwszych kolorowych. Wywołało to niemałe poruszenie i dyskusję w Lyford Cay Club. Nie będzie mu łatwo, biednemu małemu prostaczki. Mam nadzieję, że nie razi cię to, co mówię. Pomyślałam tylko, że powinnaś o tym wiedzieć.

Gratulacje dla podświadomości. Zapytałam Francisa i nie jestem pewna, czy moja nonszalancja była jedynie udawana.

- Pamiętasz tę dziewczynę z Abacos, tę, o której myślałam, że jest szalona? Co się z nią stało?

- Miewa się dobrze. Otworzyła w Nassau własny bar. Mądra dziewczyna.

- A jej dzieciak, ten Kurczaczek, też ma się dobrze?

- Idę o zakład, że tak. Jest bystrym młodym człowiekiem. - Tak właśnie powiedział.

- Jest twoim synem, tak? - Zadałam to ostatnie, jedynie ważne pytanie, długo później. Takie wzajemne docinki wyglądały zawsze w ten sam sposób, poprzedzielane długimi przerwami. To nic, że jedno pytanie padało jednego roku, a następne dwa lata później. - Jest wobec tego twoim synem, tak?

- Och, no tak - odparł, nie odrywając wzroku od jadłospisu. - Zawsze mają tutaj dobrą pieczeń.

Pragnęłam mieć dziecko. Chociaż jedno. Jednak po tym wszystkim, co zaszło, Francis miał rację: to była moja sprawa, mój kłopot.

VII

Zielony pickup zjechał w pole, podążając za kombajnem oraz ciągnikiem z przyczepą, który jechał obok. Kombajn bez zatrzymywania przerzucał do przyczepy ziemię.

Delia Sutherland sięgnęła do stosu puszek na siedzeniu obok. W kombajnie siedział Tom, a traktorem kierował Alec. Dla Toma miała heinekena, a dla Aleca lilta albo inne lekkie piwo. Zatrzymała samochód i pobiegła za uciekającym kombajnem. Złapała za poręcz i wskoczyła na strome stopnie pojazdu. Kierowca otworzył jej drzwi, zza których dobiegł ją śpiew Boba Marleya „No woman, no ery...”; poczuła woń naftaliny, używanej przeciwko myszom, które przegryzały kable.

- Dzięki! - krzyknął, biorąc od niej piwo.

Podwinęła rękawy koszuli i przykucnęła, przekrzykując hałas silnika i głos Marleya.

- Właśnie sprawdziłam dokumenty. Mamy największe plony od trzech lat.

- Tak też myślałem. Już dawno nie widziałem tak dużych zbiorów.

- Jak obliczasz, wyrobisz się w godzinę?

- Chyba tak, jak nie dłużej.

- Prognozy mówią, że pogoda powinna się utrzymać do wtorku. Potem znów popada. Dlatego jak tylko skończycie tutaj, zaprowadź kombajn na Papieski Dołek, żeby był gotowy na rano, dobrze?

- Zgoda - odparł niechętnie, myśląc w duchu, że godzinę zajął mu sam przejazd na miejsce.

Klepnęła go po plecach. Skinął głową, nie odrywając jednak wzroku od pracujących ostrzy. Kiedy wysiadła, spojrzął na zegarek i syknął. W bocznym lusterku zobaczył Delię, machającą nad głową dwiema puszkami; zabrała je ręka, która wychyliła się z kabiny traktora.

Siedząc w swoim pickupie nie pamiętała o zbożowym pyłe, oblepiającym tablicę rozdzielczą, klejącym się do otwartych okien i przedniej szyby (z wyjątkiem dwóch czystych miejsc, do których docierały wycieraczki). Kiedy wrzucała pierwszy bieg, dźwignia znów wyslizgnęła się jej z ręki.

- Te cholerne zagraniczne samochody - mruknęła pod nosem, łapiąc za gałkę i wrzucając bieg na siłę. Jakiś lis wypadł pomiędzy drzew i psy zawarczały gniewnie. - Spokój! - krzyknęła przez ramię. Uciszył ją trzask składanej strzelby. Zatrzymała się obok mężczyzny, ubranego w T-shirt, pumpy, pas z nabojami i czapkę baseballową, założoną daszkiem do tyłu. Odjął strzelbę od twarzy.

- Trafiłeś?

- No. Dwa przed obiadem - wepchnął do kieszeni po jednej puszcze piwa. - Dzięki, będzie na potem.

- A tak przy okazji: wczoraj wieczorem znalazłam to na Kobzowej Drodze - otworzyła tylnie drzwi pickupa. - Jakiś kretyn musiał go zastrzelić - cofnęła się, aby mógł zobaczyć jelonka.

- Na to wygląda. W porządku, proszę pani, pozbędę się tego. Ugotuję dla psów. Zbyt poszarpany, żeby sprzedać. - Z ciałem zwierzęcia przewieszonym przez ramię podszedł do zużytego land rovera. Język jelonka zwisał bezwładnie z poszarpanego pyska.

Delia wepchnęła ręce głęboko do kieszeni. Dozorca niedbale trzymał strzelbę. W ciszy rozglądali się po polu.

Rozorana ziemia jak okiem sięgnąć porośnięta była pszenicą, z której w każdej chwili mógł wyskoczyć zając albo jeszcze jeden lis. Dalej nie uporządkowany łąn kukurydzy dzieliła na dwie części zaorana ziemia, upstrzona na białą kredą. Na sąsiednim polu pasły się zgodnie białe-czarne krowy. Teren wznosił się i opadał jak oddychające ciało, a pomiędzy fałd widać było zarośla, drzewa iglaste, domy i fabryki o szklanych dachach. Wszystko rozmywało się w deszczu.

- Widziałeś jakieś pisklęta? - zapytała.

- Jest całe mnóstwo bażantów, ale nie ma kuropatw. Chociaż widziałem kuropatwę na wzgórzu Cocky.

- To wspaniale.

- Ptactwo w Lesie Crendal ma silne potomstwo. Teraz tylko trzeba trzymać lisy z daleka od nich.

- Przyjdę tu później. Miej oczy szeroko otwarte. Za godzinę powinni skończyć.

Nie spojrzął na zegarek. Nie miał żadnego zegarka. Frank Grimwood nie troszczył się o czas.

Jadąc przez Sleet Delia Sutherland przyglądała się leśnym połaciom, oddzielonym linią piachu. Wyglądały porządnie; niższe gałęzie poprzycinano. Otworzywszy drzwi pickupa sprawdziła pierwszy rząd drzew. Kora była poodrywana; zostały po niej jasne, świeże ślady. Dotknęła jednego. Mnóstwo innych drzew miało to samo. Pomimo malowania pni na biało i pułapek wiewiórki nadal siały spustoszenie, robiąc znacznie więcej szkód niż jelenie.

Postanowiła, że zastosuje nowy środek. Tym razem warfarin.

- Muriel, to ja.

- Delio, nie poznałam cię po głosie. Jak się masz, kochana?

- Co robisz?

- Byłam w ogrodzie. Cóż innego mogłabym robić w taki wieczór? To nagroda za lata ciężkiej pracy. Pamiętasz, jakie tu było bagno, kiedy się wprowadziliśmy?

- Tak.

- Chcesz, żebym przyszła, czy wolisz jeszcze trochę pobyć sama?

- Przyjdź, dobrze?

Muriel przybyła, z rękami uwalanymi ziemią. Usiadły na schodkach, w ostatnich promieniach słońca.

Ponieważ Delia nic nie mówiła, Muriel zaczęła:

- Jak tam David? Wszystko wczoraj dobrze poszło? - Patrzyła na profil Delii. Jej usta ściągnęły się w sposób, którego Muriel nie widziała u niej od lat. Od czasów, kiedy to Francis pojawiał się w Sleet z całą zgrają znajomych.

- Zapisał Sleet Leonowi Kennedy'emu. Wiesz, o kim mówię, prawda? Jasne, że wiesz.

- Delio? - Muriel była poważna; chciała dać do zrozumienia, że nie czas na żarty.

- Naprawdę.

Pełny niedowierzania jęk Muriel urwał się w połowie.

- Mimo to wszystko będzie dobrze. - Delia zmrużonymi oczami patrzyła na pole, gdzie hasało stadko saren.

- No cóż, musi być. W końcu to twój dom, do licha.

Delia uśmiechnęła się. Krzepiące było usłyszeć to, co sama sobie powtarzała.

- Wiem, co powinnam zrobić. Co Francis chciał, żebym zrobiła.

Muszę od niego odkupić Sleet, rozumiesz? Na Boga, zostawił mnie wystarczająco bogatą. Zrobię tak, że będzie dobrze, zobaczysz. -Sarny podniosły głowy, coś wywęszyły i czmychnęły w las. Ich białe zadki zaśniły na tle zielonego pola.

- Francis nie był człowiekiem prostolinijnym.

- Na pewno nie był.

David Rosen nie miał od Delii Sutherland żadnych wieści. Zadzwońiwszy do niej w tygodniu nie dowiedział się nic więcej, chociaż sama poleciła mu to zrobić. Poprzekładał różne sprawy, aby wyjść naprzeciw jej oczekiwaniom, ale nie telefonowała.

Wiedział, co będzie robiła, i dlaczego do niego nie dzwoni. Zostanie w domu jak dawniej. Poza wszystkim - nie była realistką, mocno stąpającą po ziemi. Jeszcze nie zdołała zaakceptować rzeczywistości.

Skontaktował się z Freemanem Tuckerem, Higglesem i Kellym, prawnikami z Nassau. Potwierdzili, że Leon Kennedy został powiadomiony o testamencie. Poza tym nie było nic więcej do gadania. Rosen miał cichą nadzieję, którą zachował dla siebie do czasu, kiedy otrzyma od Kennedy'ego odpowiedź.

Delia zadzwoniła w końcu trzy tygodnie po ich spotkaniu, miał więc rację. Cała rozmowa dotyczyła ładnej pogody, rekordowych zbiorów i końca żniw - istnej sielanki. Powiedziała nawet:

- Sęk w tym, co zrobić, żeby w przyszłym roku było jeszcze lepiej? - i zaczęła się śmiać.

Ale Rosen jej nie zawtórował. Nie chciał się poddać tej niebezpiecznie optymistycznej atmosferze. Dopiero gdy rozmowa zbliżała się do końca i wszystko wskazywało na to, że po raz pierwszy, odkąd ją znał, dzwoni bez powodu, z ulgą usłyszał:

- No dobrze, Davidzie, miałeś od niego jakieś wieści?

- Jeszcze nie, ale zna testament.

- Dobrze. W takim razie to nie potrwa długo. Speszył go jej beztroski i stanowczy ton.

- Co masz na myśli?

- Cóż, na początku byłam przerażona. Szok. Wracając do domu pomyślałam sobie jednak, że mogło być gorzej.

Rozumiesz, o co mi chodzi? Prawie o tym zapomniałam, ale potem pojęłam. Widzisz, ten chłopak nie zechce Sleet. To oczywiste. Jest prostym człowiekiem z wysp. Tam takie, jak by to najlepiej określić, nieślubne dzieci, nie są wcale rzadkością. Raz Francis opowiedział mi, że jego ojciec,

Scott, sam miał dwoje czy troje. A stary Wallace Sutherland, o ile mi wiadomo, z tuzin. Co taki chłopak mógłby robić na angielskiej ziemi? Zapewniam cię, że będzie chciał, abym ją od niego odkupiła, a to mogę zrobić z łatwością. Inaczej zrobiłby się za duży szum wokół całej sprawy. Francis o tym wiedział, inaczej nigdy by tak nie postąpił. Dlaczego przeprowadził to wszystko w ten sposób? Nie wiem. Może dla żartu? Chciał mnie przestraszyć, żebym potem wykupiła chłopaka. I tak właśnie zrobię. To proste.

- Przyznaję, że sam mam podobną nadzieję, Delio. Ale podjąłem pewne, oczywiście dyskretne, dochodzenie u Tuckera z Nassau. Nie wygląda na to, byśmy mieli do czynienia z prostym chłopakiem z wysp. Nie zapominaj, że ukończył Uniwersytet Columbia. Socjologię. Mogłaś o tym nie wiedzieć, ale to prawda. W zeszłym roku. Ma już dwadzieścia pięć lat, tak mi powiedział Tucker, i mieszka wraz z matką w Nassau.

- Być może. Ja po prostu nie chcę, aby to trwało zbyt długo. To zbyt denerwująca sprawa, żeby ją tak zostawić. Chyba mnie rozumiesz. Wytlumacz mi wszystko tak szybko, jak się da. A przy okazji, musisz do mnie wpaść. Zawsze lubiłam twoje wizyty.

Sam zobaczysz, pomyślała; na miejscu przyznasz mi rację. Moja obecność tam jest oczywista dla każdego, kto tam mieszka, pracuje czy przychodzi w odwiedzin.

Od czasu, gdy się o wszystkim dowiedziała, przez te trzy tygodnie miała wizje. Wizje, które potwierdzały, że nie tylko mieszka w Sleet, ale że sama niejako stała się tym miejscem.

Sprawdzając postępy w żniwach na Psiej Pułapce - czyli siedemdziesięciu sześciu akrach urodzajnej gleby rozciągającej się pomiędzy lasem norweskich świerków a jodłami Douglasa - przeszła na środek pola, gdzie znajdowała się naturalnie ukształtowana dolinka, zacieniona powykreślaną szkocką sosną. Płasko ukształtowane skałki były porośnięte mchem i paprocią, a obok iskrzyła się mała sadzawka. U jej brzegów siedziało troje ludzi: młody mężczyzna, kobieta i mała dziewczynka. Dziewczynka miała włosy niczym zwęglony krzak i baraszkowała z łagodnym labradorem. Pozostała dwójka zanosila się śmiechem. Kobieta przekreśliła się na brzuch, sięgnęła po butelkę wina i podała ją mężczyźnie. Ten wstał, wziął do ręki lśniący złoty saksofon i zaczął na nim grać. Kobieta pochyliła głowę, a wszystkie jej włosy opadły na jedną stronę. Dziewczynka oderwała się od psa i usiadła po turecku, zasłuchana. „Co za brzydactwo z tego dziecka

- pomyślała Delia Sutherland - w przeciwieństwie do tych zakochanych. Do diabła, przecież to ja".

Jęczący kombajn w polu, ciągnik i przyczepa z sypiącym się z niej ziarnem, falujący łąn jęczmienia, który nadal żęto - to wszystko pograżyło się w cieniu, ponieważ słońce zasnuły chmury. Jednak tam, w dolince, świeciło nadal, a Delia Sutherland przyglądała się swemu ojcu, matce i samej sobie.

W oddali ujrzała mężczyznę z dzieckiem na ręku. Nadchodził od strony Zagajnika Nadziei. Trzymał małego na jednej ręce, a drugą ręką machał w powietrzu dębom, piaszczystym łachom, jesionowi. Delia nie musiała podchodzić bliżej, aby się przekonać, kim są - zjawami jej samej i jej ojca. Także inni Caldwellowie siedzieli niewątpliwie w każdym zacienionym miejscu, na każdym pniu, króliczej norze i rowie Sleet.

Po każdym popołudniowym dojeniu odwiedzała obory. W boksie zobaczyła Mike'a - tego samego Mike'a, który przed laty pomagał jej naprawiać nieszczelny zbiornik na gnojówkę. Klepnęła jedną z krów w bok i zamknęła oczy, wdychając powietrze, przesycone zapachem ciepłego mleka, wymion i krowich wyziewów. Ogarnęła ją całkowita i trwała pewność. Pewność tego, co posiada, do czego należy oraz tego, że ten związek jest trwały.

Gdy jednak zadzwoniła do Rosena i dowiedziała się, że Kennedy zna testament, ale nie odezwał się słowem, była zirytowana. Trzeba było ustalić pewne szczegóły.

Zatelefonowała ponownie.

- Davidzie, czy poprosiłeś tego człowieka, aby powtórzył chłopcu moją ofertę?

- Kennedy'emu?

- A komuż by innemu?

- Tak, poprosiłem. Nadal czekamy. Tucker chce wiedzieć, kto ma się zająć rzeczami osobistymi Francisa.

Chciałabyś tego dopilnować?

- Zastanowię się.

Kolejny tydzień przerwy. To czysty nonsens, że cała ta sprawa nie może szybciej dojść do skutku.

- Co słysząc, Davidzie? Czy już wie?

- Od dwóch tygodni, Delio; przefaksowałem wiadomość Tuckerowi zaraz po naszej rozmowie i zadzwoniłem do niego następnego dnia. Przekazał ją. Pan Kennedy wie, co chciałabyś zrobić.

- i?

- Zadzwoń do mnie jutro po południu. Powiadomię cię.

Kiedy Delia Sutherland wykręciła numer następnego dnia o piątej, została poinformowana, że David Rosen właśnie rozmawia przez drugi aparat. Odłożyła słuchawkę, ale trzymała na niej rękę, dopóki Rosen nie oddzwonił.

- Tak? No i co?

W głosie Rosena słyhać było rozbawienie, które wszakże zniknęło, gdy tylko powiedział: „Dzień dobry, Delio”.

- Bardzo dobry. Więc?

- Tucker powiedział, że Kennedy nie przyjmie od ciebie żadnej oferty. Nie jest zainteresowany sprzedażą Sleet.

- Zabawne. Nawet nie wie, za ile chcę je kupić. Zapłacę mu. Wie o tym?

- Jest nieugięty.

- Och, Davidzie, no naprawdę. On wie doskonale, że sprzeda, kiedy pozna cenę. Mówimy o naprawdę olbrzymich pieniądzech.

- Nie o tym mówił Tucker.

- Ale ja mówię. Naprawdę. Wiem, że powinnam porozmawiać z chłopcem sama.

- On nie jest chłopcem, Delio. Ma dwadzieścia pięć lat i Tucker twierdzi, że zdecydowanie odmawia. Nie chce się z tobą kontaktować.

Zachichotała, jakby to był żart, i powiedziała:

- No nie, nie oczekuję przecież, że będzie chciał.

Potem usiadła na schodkach, prowadzących do salonu, i patrzyła, jak nad horyzontem pola Starych Marchwi zaczyna zmierzchać. Po raz pierwszy tego roku poczuła zapach jesieni.

Spożywszy w samotności połówkę grejpfruta, którą podał jej w jadalni Curtis, wzięła z kredensu rybę w cieście, przygotowaną przez panią Files. Potem obejrzała wieczorne wiadomości i zamknęła psy w budzie. Nakręciła zegar, stojący w hallu na stoliku i marmurowy zegar nad kominkiem w wyjątkowo zimnej bawialni - rozbijała wahadło i wsłuchiwała się w tykanie, rozbrzmiewające w głębokiej ciszy. W salonie nakręciła zegar francuski, ten z całującymi się ptaszkami. Jak zwykle nie udało się jej zsynchronizować kuranta z godziną. Na górze otworzyła wysoką szafkę starego czasomierza, chociaż dobrze wiedziała, że jest popsuty, odważniki nie były naciągane od lat,

a wskazówki pokazywały za dwadzieścia pierwszą. Był jednak czwartek wieczór, a w każdy czwartek o tej porze nakręcała zegary. Usiadła na łóżku i przez kilka minut czyściła sobie paznokcie. Chwilę po dziesiątej trzydzieści zgasiła światło.

Dziewięć i pół godziny później zadzwoniła do domu Davida Ro-sena.

- Jadę tam, Davidzie. Porozmawiam z prawnikami Francisa. A potem sama spotkam się z chłopcem, wytłumaczę mu. Nie możemy tak dłużej czekać.

Muszę to wszystko na chwilę zostawić. Muszę odłożyć omawianie mojej klęski na później, to dla mnie za dużo, za dużo na raz. Nigdy mnie nie zawiodłeś. Powiem ci to teraz - nigdy. Miałeś klasę, mój kochany.

Zamiast tego opiszę mój pokój hotelowy, tutaj, w Marsylii, który, chociaż duży, niczym się nie wyróżnia. Taki bezosobowy styl mi odpowiada. Kiedy przyjdzie czas, łatwo będzie go opuścić. Kiedy ty przyjdiesz.

Nazwali go apartamentem. Chyba dlatego, że stoi w nim kanapa zresztą niezbyt ładna. Nie postarano się, żeby go jakoś ozdobić, choć na ścianach wiszą raczej przypadkowo dobrane trzy małe reprodukcje. „Kąpiąca się” Seurata, kobieta czesząca włosy Degasa i inna kobieta w kąpielni Bonnarda. Ktoś miał specyficzny gust, prawda? Ale to moje mieszkanie, było nim przez prawie cztery miesiące. Mój Boże, jak wiele czasu zajmuje opisanie tego wszystkiego, mojego życia. Zastanawiam się, czy tak powinno być? Wyrażam się jasno? Zrozumiesz?

Najważniejszym punktem dnia jest wycieczka do pewnej pięknej kwiaciarni. Codziennie opuszczam mój Nowy Jork i idę na Rue de la Republique; sklep jest piąty po prawej. Zawsze coś stamtąd przynoszę - dzisiaj był to irys przybrany czymś białym i bardzo pachnącym. Dwa razy pytałam sprzedawczynię, jak się ten kwiat nazywa, ale nie mogłam zrozumieć, co powiedziała. Zaraz po przyjeździe ułożyłam wiązanekę w wazonie.

Mój hotel to ten jednopiętrowy budynek na Vieux Port. Do recepcji prowadzą wąskie schodki. Ma dwa okna, otwierane pionowo, ze składanymi żelaznymi kratami. Opieram się o nie. Przelatuję wzrokiem po ruchliwej ulicy, która okrąża port i jest podzielona wielkim, owalnym klombem, barwnie ukwieconym. Patrzę na bazar

rybny, nieco oddalony. Widzę go także z mojego miejsca w kawiarence Nowy Jork, która jest niżej, po prawej stronie; o, tam gdzie brązowe markizy. Przekupki zbierają się już na obiad. Około dwunastej trzydzieści składają podpórki wąskich drewnianych wózków -straganów, pomalowanych na niebiesko, czerwono lub żółto, z nazwiskami właścicieli koślawo nabazgranymi na froncie, i o drugiej po bazarku nie ma ani śladu. Do następnego dnia. Może z wyjątkiem wszechobecnego zapachu. Tak więc, jak widzisz, znalazłam się tutaj, tak bardzo jak mogłam - na mojej kartce pocztowej. Jestem jej częścią. Jestem tutaj. Nie wyjeżdżam.

VIII

Delia Sutherland stała w kolejce do odprawy paszportowej na lotnisku w Nassau. Miała na sobie kostium safari i kapelusz w kolorze khaki, wciśnięty na przylizane włosy.

Przygnębiała ją nieprzyjemna jaskrawość tropików. Nigdy jej nie lubiła, ani przedtem, ani teraz. Irytował ją tłum turystów, kłębiących się dookoła, ubranych w workowate, kwieciste szorty, obwieszonych aparatami fotograficznymi i plecakami, oraz jednostajny rytm, wybijany przez dwóch bębniarzy i gitarzystę, grających gdzieś pod ścianą hali.

Ponieważ nie dostrzegła swojego nazwiska na żadnym z transparentów w poczekalni, wycofała się pod ścianę po przeciwnej stronie hali przylotów. Samochód w końcu przyjechał. Wsiadł z niego gruby facet i z nieoczekiwaną przy jego tuszy zwinnością przebiegł przez ulicę. Miał wysoko podciągnięte spodnie i pasek. Wszedł do hali, po czym zawrócił i stanął. Złapał się jedną ręką pod bok i zasłoniwszy drugą rażące światło rozejrzał się w prawo, a potem w lewo, tam, gdzie na swojej walizce siedziała Delia Sutherland. Z nie wyjaśnionych powodów patrzył na nią jak na powietrze.

- Czy to pan, panie Tucker? - zawołała. Obrócił się na pięcie i przyglądził ręką tłuste, jasne włosy.

- Pani Sutherland, to pani! - wyciągnął krótką rękę. Na jego twarzy malowała się ulga, ale kiedy Delia wstała, zastąpiło ją zdumienie.

- Ja... Ja... - zamruczał pod nosem, uklonił się i oznajmił: - Freeman Tucker. Tucker, Higgs & Kelly. Witamy na wyspach.

Dwadzieścia minut później Tucker wystartował cieżką Higgs & Kelly z autostrady na Wielkiej Wyspie Bahama, sto sześć mil na północ od Abacos, małej wysepki należącej od 1789 roku do Sutherlandów. Po latach prześladowań w niepodległej Ameryce porzucili dużą

plantację w Karolinie, zabierając ze sobą swoich niewolników i wierząc święcie, że Wyspy Bahama są angielskie, bogate i urodzajne. Wszystko, co tam było, było brytyjskie. W ciągu kilku lat na skutek plagi robactwa plantacja bawełny uległa zniszczeniu i Sutherlandowie pogodzili się ze skromnymi dochodami z rolnictwa. Stopniowo nauczyli się szkutnictwa; początkowo robili łodzie ratunkowe i łajby, potem jachty, aż w końcu przerzucili się na duże frachtowce.

Podczas wojny secesyjnej, kiedy Jankesi zajęli południowe porty, Sutherlandowie zbili fortunę. Omijając blokady, dostarczali broń i amunicję z Anglii i Francji oraz zajmowali się eksportem bawełny, która przychodziła z Wilmington, Charlestonu i Savannah. Zainwestowali pieniądze za granicą, unikając dzięki temu biedy, która po zakończeniu wojny dotknęła większość wyspiarzy.

- Tak więc na Abacos nie ma już więcej Sutherlandów! - wrzeszczał Tucker, przekrzykując ryk samolotu, którym sam pilotował. - Po tym, jak odszedł Francis. Szkoda, nie sądzi pani? - Nie patrzył na nią, więc nie widział, że nic ją to nie obchodzi.

- Tak to z rodzinami bywa. Wymierają i tyle - odpowiedziała, nie podnosząc głosu i nie przestając patrzeć na kłębiące się chmury.

- Pani coś mówiła? - Tucker odsunął jedną słuchawkę i pochylił się, aby ją lepiej słyszeć. Nie odwróciła się, więc potrząsnął głową, przypuszczalnie w jej imieniu.

Po półgodzinnym locie nastąpiła dwudziestominutowa przejażdżka ciężarówką do walącego się portu, gdzie czarnoskóry mężczyzna holował motorówkę do dziurawego drewnianego doku.

- Hej tam! Co słyhać?! - zawołał Tucker.

- Dzień dobry panu! Wszystko gra!

- To dobrze, to dobrze. To jest pani Sutherland. Uśmiechając się i spuszczać wzrok chłopak wyciągnął rękę, a potem stłumił ziewnięcie.

- Miło mi panią poznać. Jestem Fwinky - uśmiechnął się sztucznie.

- Bardzo mi miło. - Od jego uścisku zatrzęsła się jej cała ręka.

- Kilka lat temu pracowałeś dla pani Sutherland, prawda? Może pięć, albo siedem, chyba nawet więcej - orzekł Tucker. Odpowiedział mu pomruk, który nie był bynajmniej przytaknięciem. - Dobry z niego człowiek. Haitańczyk. Ciężko pracuje, solidny - ciągnął.

Później, już w łodzi, znowu krzycząc, gdyż woda hałasowała nie mniej niż pracujący motor, Tucker powiedział:

- Mogliśmy pojechać łodem, ale ta droga jest przyjemniejsza. Na pobliskiej wyspie mam mały domek. Pięknie, co? - dumnie wskazał różowy piasek i sosny, kołyszące się nad brzegiem morza, które migotało turkusem i błękitem. Zamknęła oczy; zamknęła, po czym znów otworzyła, aby tym razem zobaczyć jedynie horyzont. Tucker to zauważył. Domyślił się, z jaką kobietą ma do czynienia.

Brzeg opadał nisko, zielony, z nieregularnie porozrzucanymi domami, z których każdy stanowił inną interpretację tego samego: słonecznego lata nad morzem. Wszystkie miały własne doki i mniejsze lub większe statki. Dok Francisca Sutherlanda był większy niż pozostałe, i lepiej od nich utrzymany. Przycumowano w nim dwie motorówki, kuter i specjalnie wyposażoną łajbę na dalekomorskie połowy.

Podawszy walizkę Tuckerowi wygramoliła się na brzeg i zabrała ją z powrotem. Ruszyła szybko naprzód, z opuszczoną głową. Nie chciała widzieć cuchnącego ropą i konopiami hangaru, gdzie kiedyś całowała się z Francisem, ani pary płóciennych butów, wciśniętych na paliki, aby wyschły - była pewna, że należały do Francisca. Jak długo już tak schną? Umarł pięć tygodni temu. Nadal nie doszła jeszcze do końca doku. Trzeba było jeszcze ominąć zbiornik wodny. Pływał w nim delfin, jakaś muszla, homar i plankton. Ostatni połów Francisca? Sam nie przeżył, a jego ofiary tak? W białej plastikowej torebce, która wisiała na ostatnim słupku, znajdowały się dwa bochenki chleba. Ich widok przyniósł jej ulgę - były czymś żywym, dzisiejszym. Pewnie należą do Fwinky'ego, pomyślała. Teraz nie miała już wyboru - musiała podnieść wzrok i spojrzeć na dom.

Wykonano go w całości z miejscowej sosny. Stromy, kryty gontem dach mienił się różnymi odcieniami szarości. Przy wejściu znajdował się taras. Basen okalały przywiezione tu głazy. Zanim wspięła się po szerokich, drewnianych schodach, których poręcze porosły gąszczem boungewilli, obejrzała się za siebie, na brzeg. Tucker został przy łodzi i patrzył na nią. Fwinky, niosąc kanister na benzynę, zmierzał boso w stronę hangaru.

- No i co? - zawołała. - Chyba pan wejdzie, prawda?

- Już idę - ukłonił się i zniknął.

Lewa strona domu wychodziła na zadaszony na całą długość taras, z trzech stron osłonięty okiennicami. Stały na nim ciemne wiklinowe fotele, wymoszczone poduszkami. Trzy wentylatory o złotych wiatraczkach obracały się koślawo i chłodziły powietrze.

Kiedy nadszedł Tucker, Delia stała z podniesionymi rękami, tyłem do niego.

- George? Czy to prawda? Przez cały czas? - Zrobiła krok do przodu, opuściła rękę i nachyliła się zatroskana. - Mów do mnie, kochany.

Przemawiała w ten sposób do dużej krzykliwej papugi, siedzącej w kącie i przyglądającej się jej podejrzliwie.

- Wszystko dobrze, malutki. Więc to ty. Coś takiego! Po tylu latach... Pamiętasz „białego grubasa”? No powiedz „biały grubas”.

- Biała gruba pani nikogo nie kocha. Ara, ara, ara! - zaskrzeczało ptaszysko.

- Niesamowite. Panie Tucker, to jest George; jesteśmy starymi przyjaciółmi. Niektórzy już zapomnieli, nieszczęśni, jak się kiedyś żyło.

- A tak, oczywiście, często się widzimy. - Tucker skrepowany wyłamywał sobie palce. Wcześniej nie zauważył, że ptak jest istotą ludzką.

- Najprawdopodobniej to ojciec Francisa nauczył go starogrec-kich poematów. Zna jeszcze inny, ten o śmierci Heraklesa, zna go pan?

Ta trudna kobieta nareszcie się ożywiła i aby podtrzymać jej nastrój, Tucker z entuzjazmem wskazał na klatkę, stojącą w przeciwległym kącie.

- Tutaj też są papugi, proszę pani. Proszę zobaczyć. Ledwie spojrzała na barwne stworzenia.

- Tak, wiem, proszę pana. Ale te nie są już ludźmi, prawda? Nie takimi, jak nasz George.

Kiedy Tucker przyłapał się na tym, że skruszony kłania się papudze, wiedział, że stracił grunt pod nogami.

Przewiesił sobie kurtkę przez ramię i, ocierając palce o kieszeń na przodzie koszuli, wycofał się dyskretnie do głównej części domu.

W wielkim, mrocznym pokoju leżała porozrzucana pościel. Zajmował całe pierwsze piętro. Goście nocowali w domku w ogrodzie. Gotowanie, jedzenie i całe życie toczyło się właśnie tutaj, pod tym spadzistym dachem ze świetlikami, wokół centralnie stojącego kominka, na wapiennej podłodze pobrudzonej sadzą. Tuląca George^ Delia usłyszała, że Tucker coś krzyczy.

- Luney!

- Słucham? - wkroczyła do chłodnego pomieszczenia.

- Pani Sutherland, to jest Luney. Luney, to jest pani Sutherland. - Tucker wyciągnął rękę w stronę nieruchomej postaci i białej plamy światła w głębi pokoju, tuż nieopodal kuchni.

Delia podała rękę młodej dziewczynie w fartuchu. Dziewczyna była niskiego wzrostu i miała skórę ciemną jak marynarz - czyli bardziej brązową niż sami tubylcy. Włosy upięła perłowymi spinkami w kok, przytrzymywany na czubku głowy plastikową opaską. Odwzajemniła uścisk Delii, szepcząc kątem ust „Luney” i jednocześnie zasłaniając je ręką tak, że słowo stało się ledwie słyszalne.

- Czarująca. Luney. Jak się to literuje?

Nabierając powietrza dziewczyna odpowiedziała z przydechem:

- Tego się nie literuje, proszę pani, to się mówi.

- Ach tak. Dziękuję, Luney. - Delia zdjęła kapelusz, aby ukryć rozbawienie. Dziewczyna zniknęła, nie wykonując przedtem żadnego ruchu. Słychać było, jak zmywa garnki i coś kroi. Delia opadła na kremową kanapę. Ręce założyła za głowę, wyprostowała nogi i wybuchnęła nieopanowanym śmiechem. - O Boże mój, Boże, tak mi przykro, proszę pana! - skuliła się, usiłując stłumić śmiech. - Zawsze muszę to im robić, wygadywać śmieszne rzeczy.

- Im, to znaczy komu?

-No im. Czarnym. „Tego się nie literuje, proszę pani, to się mówi”. Świetne. Nawet nie wiedziała, że ma rację. Śmiała się coraz bardziej i Tucker też się uśmiechnął, nie mogąc się powstrzymać. Kanapa cała się trzęsła, objijając się o ścianę. Papugi zaczęły skrzeczeć. Delia uspokajała się powoli. Tucker, także chichocząc, kiwał do niej głową.

- Ależ pani wesoło! - powiedział.

Naraz zasłoniła ręką usta, które zacisnęły się tak szybko, jakby równie gwałtownie zamierzała się rozplakać.

- O nie - powiedziała zdławionym głosem. - Nie ma pan racji. Całe lata było mi ciężko i nawet pan nie wie, co dla mnie znaczy być tu z powrotem. Tutaj, gdzie mogłabym się lepiej starać, gdybym tylko wiedziała jak, gdyby on mi pomógł. Gdyby to, gdyby tamto. Boże, co ja wygaduję? Muszę być przemęczona.

Położył jej rękę na ramieniu.

- Proszę pani? Jest tu też ogrodnik. Piele działkę przy drodze, w Yamacraw. To także Haitańczyk, jak cała reszta. Imigranci, rozumie pani. Tutaj mają lepsze życie, są szczęśliwsi, mogą tu przyjeżdżać. I dobrze pracują. Czy mogę zanieść pani torbę na górę?

- Dziękuję, sama sobie poradzę. Znam drogę.

Zawołał za nią, kiedy była w połowie schodów, prowadzących do sypialni, w której spała z Francisem. Do sypialni Francisa.

- Proszę się nie gniewać, że to mówię, ale rozumiem, że nie jest pani łatwo. Jednocześnie cieszę się, że przyjechaliśmy tu po jego osobiste rzeczy. Widzi pani, Francis był oczywiście moim klientem, ale i przyjacielem - dlatego wydaje mi się, że właśnie pani, jako jego żona, powinna po nim posprzątać.

Ogromne łoże z ciemnym, rzeźbionym zagłówkiem, wysokim na pół ściany, komódki przysunięte do lustra w mosiężnych ramach, otwarty sekretarzyk z przyborami do pisania i szufladkami pełnymi papierów - wszystkie te posępne, wypolerowane przedmioty nie pasowały do reszty domu, uwięzione w szczelnej ciszy pokoju, którego zasłonięte okna nie przepuszczały w ogóle światła. Delia Sutherland postawiła walizkę i zamknęła drzwi.

Nie było tam jak w zwykłym pokoju - raczej jakbym weszła do wnętrza samego Francisa, jakiejś nieśmiertelnej pozostałości po nim. Nie młodego Francisa, którego wspominam najmilej, lecz tego starszego; smakował papierosami lucky strickes, wieczorną whisky i przygnębieniem, czyli tak zwaną *joie de vivre*. Śladem jego skrupulatności był stosik świeżo upranych koszul oraz chusteczek do nosa, leżący w nogach łóżka. Wkładanie ich do szafy nie należało do niczyich obowiązków. W jego życiu każda rzecz miała swoje miejsce; koszule z długim rękawem zawsze po lewej, z krótkim - po prawej, paski musiały wisieć tak, a nie tak, ten obraz, ta kobieta, ta skarpetka, każda rzecz - i tylko on wiedział jak.

Spod poduszki wystawał rąbek nocnej koszuli, bardzo cienkiej, w której zwykł sypiać, odkąd go znałam. Lustro na komódce było przechylone, odbijając miseczkę ze spinkami do koszul, stojak na ołówki, zmiętą kartę graniczną, drobne pieniądze, szczotki do włosów z kości słoniowej, których nigdy nie używał, i plastikowy grzebień, którym się cesał, bo był wygodniejszy. Skąd o tym wszystkim wiedziałam? Takie rzeczy obserwuje każdy kochanek. Albo kochająca żona. Wyciągnęłam włosy spomiędzy zębów grzebienia. Nie były tak siwe jak moje. Pachniały cierpko, jego ciałem, życiem. Przeglądając papiery na biurku pocierałam sobie tymi włosami policzek.

Jedna z kartek, zapisana jego charakterem pisma, zaczynała się tak:

Kochana, kochana, tutaj jestem, znowu z Tobą. Pisanie do Ciebie jest jak bycie przy Tobie. Najbliżej, jak się da w tej chwili. To się zmieni. Będziemy mieli więcej, o wiele więcej...

Dalej nie czytałam. Zawsze tak było. Kiedy już mi się zdawało, że coś jest dla mnie, adresatem okazywał się ktoś inny. Kim była ona w tamtych dniach? Którą czynił piękną? Nawet zza grobu ranił mnie po staremu, tyle że tym razem nie musiałam wiedzieć. Później, kiedy Tucker sobie poszedł i zostałam sama, spaliłam wszystkie papiery, nawet ich nie oglądając.

Moje zdjęcie - chyba nie starsze niż sprzed pięciu lat. Jestem na polu Starych Marchwi, idę w stronę domu, z kijem w jednej ręce, drugą odgarniając włosy. Jestem sama. Moja twarz nosi ślady skupienia samotnego wędrowca, ale mimo to wyglądam na szczęśliwą. Nie. To raczej spokój i opanowanie. Lecz czy nie są one w końcu kwintesencją szczęścia? Zrobił mi to zdjęcie ukradkiem, nie ma wątpliwości, z okna na piętrze, jakimś sprytnym obiektywem. Ostatnimi laty często targał ze sobą aparaty fotograficzne z całą masą urządzeń. Nigdy nie widziałam tych fotografii. A teraz ta. Czułam, że patrzył na nią leżąc w łóżku - z rękami pod głową przyglądał się swojej słomianej wdowie.

- Cześć, Francis - powiedziałam, aby usłyszeć swój głos. Sprawił, że jego obecność stała się pełniejsza.

Dotknęłam mankietów bawełnianej marynarki, leżącej na komodzie, pogładziłam niechlujnie złożone spodnie. W łazience otworzyłam jego brzytwę, zdejmując palcami odrobinki zarostu, i zastanawiałam się, czy nadal rośnie na jego martwej twarzy. Potrzymałam szczoteczkę do zębów - w lewej ręce, tak jak on - otworzyłam pojemnik na waciki, wyciągnęłam nić dentystyczną, sprawdziłam buteleczkę z kroplami do uszu.

- Tak szybko, pani Sutherland? O mój Boże. Proszę, proszę, niech się pani czegoś napije.

Jedli lunch na tarasie, a fioletoworóżowe światło zachodzącego słońca padało na ich twarze, na stół i podłogę. Delia patrzyła, jak bosa stopy Luney biegają w tę i z powrotem; dziewczyna podawała przygotowane przez siebie jedzenie. Tucker chciał powiedzieć coś, co by rozbawiło panią Sutherland. Martwił się, że przestała się śmiać. Ale dlaczego miałaby się śmiać, przecież to przykra sprawa.

- Przykra sprawa.

- Słucham?

- Bardzo smutna. Taki człowiek jak Francis. Co za głupi wypadek.

- Był pana przyjacielem? Zawsze mnie ciekawiło, kim byli jego przyjaciele płci męskiej. Miał jeszcze innych?

- Niezbyt wielu. Stał się odludkiem. Wyprawiał przyjęcia, ponieważ do nich przywykł. Zdziczał ostatnimi czasy, jakby się do czegoś przygotowywał. Najszczęśliwszy był łowiąc ryby. Tego dnia, kiedy zginął, cały czas wędkowaliśmy, tylko my dwaj. Miał urodziny i postanowiłem zrobić mu niespodziankę, organizując przyjęcie. Chciałem, by przyszli sami starzy znajomi. Widywał się tylko z kilkoma z nich. Zabrałem go z domu, aby zdążyli wszystko przygotować i aby goście zjawili się na czas. Wróciliśmy prosto na przyjęcie. Myślę, że był zadowolony. Lubię tak myśleć.

Czy była na tym przyjęciu ta „ukochana” z listu? Czy była czyjąś żoną? Czy pisanie do niej było jedyną rzeczą, jaką mógł zrobić? Nie doczytałam. Nie musiałam wiedzieć.

Tucker mówił dalej:

- Ostatnimi laty spędzał na wyspach więcej czasu niż kiedykolwiek wcześniej. Jak jego ojciec. Scott Sutherland był tutaj grubą rybą - zajmował się polityką. Ale nie mam żalu do Francisa, że nie poszedł tą samą drogą. Przestało być tak łatwo jak kiedyś. Od czasów Pindlinga i reszty sprawy mają się inaczej. - Tucker objął się krótkimi rękami, jakby był swoim własnym dzieckiem. - Lubiliśmy się z Francisem. Był szczodry, a w dzisiejszych czasach do rzadkość. I, jak już mówiłem, cieszę się, że to pani porządkuje jego rzeczy. Jak pani wiadomo, to miejsce odziedziczyła jego siostra. Mieszka w Atlancie i jest chyba dużo starsza od Francisa, prawda? Jakies piętnaście lat? Nie zajęła się także pogrzebem. Co prawda, nie przyszło na niego zbyt wiele osób. Chciałbym wiedzieć, gdzie są ci wszyscy ludzie, którzy korzystali z jego gościnności? Widziałem zdjęcia z polowania na kaczki, na Andros. Był na nich z jakimiś dziewczynami w bikini i całą bandą. Przepraszam, pani pewnie nie chce o tym wiedzieć.

To prawda, nie chcę; i nie muszę. Płomień małego ogniska w ogrodzie strawi zawartość jego biurka.

- Czy w pobliżu jest jakiś cmentarz?

- Na wzgórzu za miastem. Tam właśnie leży, wraz z innymi Su-

therlandami. Zleciłem zrobienie pięknego grobowca. Musiałem im zapłacić od razu, bo nie chciałem, aby grób mego przyjaciela był przysypany samą ziemią dłużej, niż potrzeba. Jeśli pani sobie życzy, możemy tam iść.

- Jeszcze nie jestem gotowa, ale dziękuję za wszystko, co pan zrobił. Nie przyjechałam na pogrzeb, ponieważ byłam zbyt zła. Nie rozumiałam tego, co się stało.

- Oczywiście, oczywiście. - Przyglądał się własnym rękóm, kręcąc młynka palcami. - Czego pani nie rozumiała?

- Ze Francis chciał, abym odkupiła Sleet od Leona.

- O nie, to chyba przesada. Nie o to przecież chodzi.

- Pan wybaczy, ale mimo wszystko uważam, że lepiej niż pan rozumiem mego męża.

- Tak, oczywiście. Chociaż mam nadzieję, że zrozumie pani także, iż Leon nie ma ochoty sprzedawać swojej posiadłości, zwanej Sleet. Jest nieugięty.

- Przystanie być, kiedy usłyszysz moją ofertę.

- Nie chodzi o pieniądze. Jest upartym młodym człowiekiem.

- Zna go pan dobrze?

- Poznałem przez tyle lat... Francis polecił mi zajmować się nim, kiedy był jeszcze dzieckiem, a jego matka nie dawała sobie z nim rady. Wpadł w jakieś tarapaty w wiosce Jumby.

- Coś słyszałam.

- Wiedziała pani, że matka chłopca poprosiła Francis'a, aby zabrał dziecko, kiedy skończyło siedem lat, ponieważ, jak to określiła, była „zbyt zajęta prowadzeniem baru”?

- Nie.

-No cóż, tak się właśnie stało. To właśnie ja zabierałem go od niej i nie była to przyjemna scena. Za nic nie chciałbym przeżyć tego ponownie. Chociaż znalazłem miłą kobietę, która się nim zajęła. Aldinę Simmonds. Nadal mieszka na Lisim Wzgórzu. W Nassau. Miała wtedy sześćdziesiąt lat, była czarna i pobożna; opiekowała się jeszcze innymi chłopcami i dziewczynkami, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji. Widzi pani, on sobie z tym poradził i został jednym z pierwszych kolorowych w szkole St Andrews. Nie było mu łatwo, oj, nie było. Wszystko to czegoś chłopca nauczyło. Przede wszystkim nieustępliwości. Aby wyciągnąć go z kłopotów, Francis wysłał go na wakacje do pracy w klubie Lyford Cay. Wiedziała pani o tym?

- Co nieco.

- Leon jest bystry, jak jego matka. Wiele się nauczył od chłopaków, noszących za graczami kije golfowe. Ambitna sztuka. Dlaczego, chyba pani wie. Słyszałem nawet, że trochę gada po francusku. -Tucker uśmiechnął się do siebie. - Zawsze był mądrym dzieciakiem. I smutnym.

- Dlaczego smutnym?

- Pani wybaczy, ale jak to dlaczego? Dziecko bez matki i bez ojca, którzy żyją, mieszkają tuż obok i są na dodatek bogaci, dziecko, którym zajmuje się obca kobieta, choćby nie wiadomo jak miła, ale robiąca to za pieniądze. I praca w wakacje? Nie mówię, że to nietypowe, ale smutne i trudne.

- Jego matka jest bogata?

- Odniosła wielki sukces. Ma głowę do interesów. Założyła klub Big Bamboo na Wulf Road. Hazard, dyskoteka. Nazwany tak po poprzednim miejscu, które spłonęło.

Czy to była Jeanne? Ta „ukochana”? Ognisko. Ognisko na plaży, dziś wieczorem na plaży. Będzie zbyt ciemno, aby moje oko mogło dostrzec jakieś miłosne wyznania.

- Jest pan żonaty?

- Nie. Żyję samotnie. Dawno temu rozstałem się z żoną. Latem przyjeżdża do mnie córka z dziećmi. Podoba się im tutaj.

Delia otworzyła szerzej okiennicę. Słońce padło jej na twarz i odsłonięta szyję.

- Widziałam ją kiedyś - Jeanne.

- Jeanne? - zmarszczył brwi. - Ach, Turpie. Mówił na nią Jeanne. Zapomniałem. Raz go spytałem, dlaczego tak ją nazywa. Powiedział, że to ładniejsze imię. Ale Euturpia też jest ładne - tak się naprawdę nazywa. Nie używa już Jeanne. Dziewczyny Exuma nieczęsto nazywają się Jeanne. - Tucker ułamał kawałek chleba i wytarł nim talerz, po czym zjadł go z lubością. Na koniec wziął serwetkę, otarł nią usta i palce.

- Nadal jest taka piękna?

Tucker przez chwilę masował sobie kolana, wpatrując się w sałatkę z owoców morza. Wziąłby jej trochę więcej, ale nie wypadało. Nie teraz.

-Tak.

- Chciałabym z nią pomówić.

- Nie czas na to, proszę pani.

Patrzyła na swój nadgarstek.

- Nie mogłabym...

- Coś się pani zrobiło? - przerwał. - Jakieś podrażnienie? A może wysypka? To z gorąca. Mam dobry spray.

- Nie, dziękuję. Dlaczego Jeanne, to znaczy Euturpia, nie mogła przejrzeć jego rzeczy? Dlaczego jej pan nie poprosił? - Zaczerwieniła się z wysiłku, aby zachować obojętność.

- Niby dlaczego? To by było niestosowne. Pani jest żoną. Poza tym ona by tego nie zrobiła. Nie Turpie, i nie teraz.

- To pan przygotował kodycył do testamentu?

Palce Tuckera poszukiwały przez chwilę miejsca, gdzie mogłyby się zatrzymać, i w końcu spoczęły na kieszonce koszuli. Przytaknął: -Ja.

Butelka wina została już w połowie opróżniona. Na stole leżały owoce mango i sapodilla. Tucker pośpiesznie wstał od stołu, całą uwagę poświęcając wygładzaniu nogawki.

- Proszę pana, ja muszę wyperswadować chłopcu...

- Leonowi, droga pani. Nazywa się Leon.

- ...Leonowi, aby pozwolił mi odkupić Sleet. Zna pan okoliczności tej sprawy?

- Tak, zapoznałem się z nimi. Nawet gdyby zmienił zdanie, a nie zmieni, nie spodobałoby się to jego matce.

Rozmawiałem z nią. Chce Sleet dla niego.

- Ma na niego taki wpływ? Są sobie bliscy?

- Na temat bliskości nic mi nie wiadomo. Odnaleźli się jakoś. Po tym, jak go zabrałem do Aldiny Simmonds, a był wtedy małym brzdącem, nigdy się z matką nie spotkał. Dopiero w zeszłym roku, kiedy wrócił z college'u, zamieszkał z nią. Po siedemnastu latach. Teraz ona ma tę swoją wymarzoną rezydencję w Delaporte. Duży dom w hiszpańskim stylu, który zbudowała za wszystkie pieniądze. On skończył college. Jak już powiedziałem, odnaleźli się nawzajem. Delia złapała go za łokieć w taki sposób, jak gdyby zamierzała go objąć, ale wiedział, że nie o to jej chodzi.

- Proszę pana, ja muszę się spotkać z Leonem. Muszę z nim porozmawiać. Chcę mu przedstawić wspaniałą propozycję w zamian za Sleet. Taką, której nie odmówi. Gdzie go mogę znaleźć?

- W tej chwili nie ma go na wyspach.

- Unika mnie.

- Niekoniecznie. Ale nie sprzeda pani Sleet. Jak już powiedziałem, nie ma go tutaj.
- W takim razie spotkam się z nią. Jest kobietą interesu. Nalegam, aby zaaranżował pan spotkanie. Podążył wzrokiem za jej ręką. Była ciepła. Potem spojrzał na jej twarz, zastygła w wyrazie wyczekiwania.
- Ma tu pani coś do zrobienia, prawda?
- Czy to oznacza „tak”?
- Odsunął talerz, aby położyć swoją aktówkę, otworzył ją, zamknął i zaczął schodzić po drewnianych schodach.
- Proszę pana! Czy to znaczy „tak”?
- Tak, proszę pani - odpowiedział, lekko przemierzając stopnie. Jak balon w baletkach.
- W ostatniej chwili coś się jej przypomniało. Pośpieszyła za nim. Wsiadł już do łódki.
- Proszę pana, chciałam podziękować. Podziękować za wszystko. - Marynarz odcumowywał łódź. - Fwinky? Opiekuj się panem Tuckerem, dobrze?
- Tak, proszę pani.

Tak było lepiej. Tak. Teraz czuła się dobrze. Gdy Tucker przysunął się, poufale kiwając na nią palcem, była tak zadowolona, że nadstawiła ucha, przechylając się niebezpiecznie nad wodą.

- On ma na imię Franky, ale nie potrafi wymówić „r”. Zauważyła to pani u haitańczyków? - wyszeptał. Zapalki znalazła w kuchni. Luney patrzyła bez słowa, kiedy je zabierała. Zamknęła drzwi sypialni, odsunęła zasłony i otworzyła okiennice. Popołudniową ciszę zakłócił warkot odpływającej motorówki, która odwoziła Tuckera. Na dole trzasnęły drzwi. Usiadła przy biurku. Z okna widać było sylwetkę Luney, powoli oddalającą się w głąb ogrodu. Nie spuszczać oczu z idącej postaci zebrała kartki z sześciu przegródek i wysunęła małe szufladki, aby znaleźć więcej. Zebrała się tego cała sterta. Może nie wszystkie były listami miłosnymi? Może nie miała racji? Przeleciała wzrokiem po słowach, których nie zakrywały jej palce: „godziny”, „być z tobą”, „twoje imię”, „kocham”, „ostatniej nocy”.

Przed snem

Kochana, kochana. Tu jestem, znowu z Tobą. Pisanie do Ciebie jest jak bycie z Tobą. Najbliżej, jak się w tej chwili da. To się zmieni.

Będziemy mieć więcej czasu dla siebie. O wiele więcej. Byłem dzisiaj w Nassau załatwiać sprawy, ale nie mogłem się na nich skupić, ponieważ już wcześniej postanowiłem, że wrócę tu wieczorem i będę z Tobą. Kiedy postanawiam z Tobą porozmawiać w ten sposób, czas mi się dłuży, jak gdybyśmy naprawdę mieli się spotkać. Pisałem te słowa wczoraj w nocy i poddałem się przy czterdziestej drugiej stronie. Powtarzam twoje imię i udaję, że jesteś ze mną. Zadzwoń do Ciebie. Naprawdę zadzwonię.

Dobranoc, ukochana.

Następnego dnia, wtorek

Znów patrzyłem na Twoje zdjęcie. Patrzę na rysy twojej twarzy, surowe, piękniejsze niż kiedykolwiek. Chciałbym trzymać cię w objęciach. Dotykać cię. Robię to z innymi kobietami. Nadal, czasami. Nie chodzi mi o to, żeby to robić. Po prostu chciałbym to robić z Tobą. To tyle.

Po obiedzie

Po chleb chodzę głównie do Ulricha. Jak wtedy, gdy byłem chłopcem. Klepał mnie po policzku i dawał cynamonowe ciasteczko. I robi tak nadal, jak gdyby nic się nie zmieniło. Jakbym wciąż był chłopcem. Dlaczego nie potrafię wykryć Twojego numeru i poprosić, abyś przyjechała? Chyba dlatego, że gdybym usłyszał „nie”, pozbyłbym się marzeń. Nie należę do tych, którzy porzucają marzenia. Muszą się ziścić. Co się ze mną stało?

Później

Jestem słaby. Muszę siadać. Tak po prostu w środku jakiejś czynności muszę usiąść. Mój umysł jest mętny i pełen smutku. Boję się ciemności. Widzę w niej rzeczy, których naprawdę nie ma. I boję się światła, które nadchodzi, bo w nim dostrzegam to, co jest naprawdę. Na przykład swoją postarzałą twarz.

Niedziela

Ostatniej nocy byłem u Jeanne. To mnie zaspokaja. Wypełnia czas. Sprawia, że przez chwilę czuję się dobry, a potem zły. Taka jest prawda. Widziałem chłopca. Czasami, kiedy wychodzę, stoi w korytarzu. Mówię cześć, on odpowiada to samo. Chciałbym go poznać. To tak, jakbym widział samego siebie. Tak, myślę, że to zrobię. Zabiorę go gdzieś. Pojedziemy na ryby. Mam syna. Mam syna.

Pierwsza sprawa

Obudziłem się w środku nocy i nagle przypomniałem sobie, jak kiedyś podnosiłaś mnie z łóżka wcześniej rano, abym zobaczył kaczkę. Co robiliśmy? Do śniadania siedzieliśmy w krzakach. Kiedy sobie to przypomniałem, wystraszyłem się. A gdybym o tym zapomniał, nawet na chwilę? O czym jeszcze nie pamiętam albo czego nie wiem? Udaję, że jesteś tutaj. Kiedy wczoraj wróciłem z ryb, byłaś przy mnie, w szalasię. To coś, co by Ci się spodobało. Światło lampy padało na Twe włosy. Ile czasu minęło, odkąd widziałem je rozpuszczone? Pierwszy raz. To był zaszczyt. Mogłabyś obdzielić nimi kilka kobiet, tak są bujne. Pamiętam, jak obudziłem się twarzą w nich po pierwszej nocy, którą spędziliśmy razem. Otworzyłem oczy w czarnym gąszczu. Pomyślałem wtedy: żaden inny mężczyzna w nich nie spał. Miałem je oraz przywilej słuchania Twojego śmiechu przez całe życie. I spieprzyłem to.

Ostatnia sprawa, piątek

Przywilej słuchania Twojego śmiechu. Napisałem to raz do Ciebie, a Ty udawałaś, że nie przeczytałaś tego listu. Czy to z powodu moich igraszek z losem? Leona, dziedziczącego Sleet po mojej śmierci? Czy tego nie mogłaś znieść? Nie sądzę. Poza tym, dlaczego miałbym umierać, najdroższa? Ludzie nie umierają, zwłaszcza gdy mają dość i nie sprawia im to różnicy. Prawdopodobnie to on umrze pierwszy, gdyż kocha żyć, tak mówi jego matka. A może udawałaś, że go nie przeczytałaś, z powodu mojego zaproszenia do prawdziwego życia razem? W to wierzę. Że nie ma szans. Dlatego przestałem dzwonić. Ale pewnego dnia zatelefonuję. Będę tym samym mężczyzną, którym byłem wcześniej. Nadal słyszę twój śmiech, kiedy spytałem: „Kim jest Patricia?” i do dziś nie wiem, co Cię tak rozśmieszyło, ale, dobry Boże, tak pięknie wyglądałaś.

Wieczorem

Dzisiaj cztery razy wziąłem kąpiel, dla zabicia czasu, i wyobrażałem sobie Ciebie. Siedzieliśmy z George'em i patrzyliśmy na morze. Nie zapaliłem światła. Te gwiazdy, Boże, tutejsze noce. Przez całe życie wzbudzały mój zachwyt. Wpatrywałem się w nie wszystkie i myślałem: ciężki frajer z niego, tego Boga, ale z pewnością nie postawił na mnie kreski. Chcę, abyś wiedziała, że nie jesteś dla mnie jedynie fantazją. Znam Cię i wiem, jaką wartość mógł mieć nasz związek. To ja jestem bezsilny. Co może robić mężczyzna z kobietą taką jak Ty? Gdy-

bym wiedział, że więcej mi tego nie zrobisz, nie upokorzysz mnie znowu, wysłałbym do Ciebie wszystkie listy, jakie napisałem od naszego ostatniego spotkania. Sleet nie jest dla Ciebie dobre, ukochana. Nie wiesz o tym i może nigdy się nie dowiesz.

Nie wiem, jaki to dzień Nigdy nie będę tego wiedział

Właśnie do Ciebie zadzwoniłem i zrobiłaś to, co zrobiłaś. Nie odezwałaś się. Słuchałem, jak Ty słuchasz, aż do chwili, kiedy odłożyłaś słuchawkę. Masz rację. Rana, którą Ci zadałem, zagoiła się w brzydki sposób. Czy gdybym ją otworzył, moglibyśmy razem zająć się jej uleczeniem? Zaszyć ją ładniej? Zadzwonię znów jutro. Po prostu podniosę słuchawkę i zacznę. Tak, ja. Powiem „Delia?”. A ty: „Francis? Co się stało?”. Ale zabrzmi to jak wyrzut. Będę musiał o tym pamiętać i nie odłożyć słuchawki. Powiem „Jak tam?”. Będzie to znak, że chcę porozmawiać.

„Dobrze”, odpowiesz. Pomyślisz, że nie zadzwoniłem po to, aby porozmawiać, że to tylko taki wstęp. Tak. Wstęp do tego, co powiem. Że chcę, abyś do mnie wróciła. Że Cię kocham. Będę czekał, żeby to wszystko powiedzieć, zanim zaczniemy mówić coś więcej. Powiesz: „Jak żyjesz?”. A ja na to: „Wspaniale, jakże by inaczej?”. I to będzie kłamstwo, pierwsze co prawda, ale właśnie przez nie, jak przypuszczam, powiemy sobie po chwili: „Do widzenia”.

Wieczór przed moimi urodzinami

Jutro idę na ryby z Freemanem. Kochany facet z niego. Chce popłynąć na Wyspę Dwugarbną. Wiem, dlaczego. Płyniemy tak daleko, ponieważ zaplanowano przyjęcie z okazji moich urodzin. Kiedy wrócimy, oni będą już na miejscu - ci wszyscy, których nie chcę więcej widzieć. Ale Freeman robi to z przyjaźni, co więc mam począć? O przyjęciu powiedziała mi Luney. Ona wie, że ta niespodzianka nie jest dobrym pomysłem. Stare czasy minęły. Co by się stało, gdyby ktoś zaprosił Ciebie? Nikt nie wie, ile by to dla mnie znaczyło, więc tak się nie stanie. Ale mogłoby. Mogłabyś tutaj być. Gdybyś przyjechała, byłbym dla Ciebie tak dobry, że zostałabyś. Nazajutrz powiedziałbym: Chodźmy do Joy, na chwilę, zobaczymy, co wyrosło. Podobałoby Ci się. Codziennie do niego chodzę i udaję, że jesteś ze mną. I będziesz. Dobranoc, ukochana.

IX

Czytałam całą noc, spoglądając raz po raz na łóżko, z którego kilka dni wcześniej patrzył na mnie Francis. Nigdy już nie będzie patrzył. Pokój był pusty. Po nim nie został nawet ślad. Próbowałam jakiś odnaleźć; przecież kiedy tu weszłam, jego obecność była prawie namacalna. Jeszcze raz zanurzyłam twarz w jego ubraniach i nie czułam zapachu. Grzebień, brzytwa, wszystko, czego przedtem dotykałam, stało się bezosobowe. To, co go naprawdę przypominało, znajdowało się na kartkach - w słowach zawiedzionych nadziei.

Zalety, dzięki którym udało mi się przez to wszystko przejść - pilność, godność, opanowanie - okazały się obosiecznym mieczem. Odizolowały mnie i uczyniły obmierzłą. Zmarnowałam życie Francisa i swoje. Zadowolona z jego upokorzenia, usatysfakcjonowana rozczarowaniem byłam zbyt samolubna, aby wyciągnąć rękę.

Usłyszałam, że przyszła Luney; rozmawiała z Frankym; łódź odpłynęła. Godziny wlokły się w nieskończoność, powietrze wrzało, aż wreszcie spadł deszcz.

Położyłam się z koszulą nocną Francisa w rękach. Luney mi nie przeszkadzała. Być może, przyzwyczajona do Francisa, nie była ciekawa, jak żyją inni.

Znalazłam przeszło sto listów, napisanych w ciągu dwóch lat, jakie minęły od naszego spotkania u Browna. Niektóre miały wiele stron, nieczytelnych, inne nie więcej niż linijkę. Chociaż pisał, że nie jestem jego wymysłem, śnił o mnie, opisując kobietę o wiele słabszą, niż kiedykolwiek byłam. Ale starałabym się być kimkolwiek, żeby tylko do mnie wrócił. Powiedziałabym: „Popatrz, wróciłam. Co prawda już po przyjęciu, ale wróciłam”.

Drugiej nocy od czytania powstrzymał mnie ból głowy. W jego szafie znalazłam płócienną torbę, do której zapakowałam listy, tak delikatnie, jak gdyby były żywe i obolałe. Jak gdyby były Francisem. I tak było naprawdę.

Kiedy otworzyłam drzwi, zastałam dom tonący w ciemnościach. Szłam z trudem, zmarzły mi nogi, chociaż panował upał. Na schodach poczułam, że jest mi niedobrze i na miękkich nogach dotarłam do łazienki. Klęcząc nad muszlą klozetową zdałam sobie sprawę, że nie uda mi się pozbyć mdłości. Wstałam. Zeszłam po schodach i na dole nagle uderzyłam się w rękę o poręcz. Mocno. To był szok. Podniosłam rękę do oczu zastanawiając się, jak mogłam się tak silnie uderzyć. Walnęłam jeszcze raz, tym razem specjalnie. I znowu, i znowu. Stałam tak, usiłując rozwalić sobie prawą dłoń. Trzymając się ściany powoli obeszłam cały budynek, często przystając; uciskałam rękami skronie, aby powstrzymać zawroty głowy.

Nie ma Francisa. Nigdzie. Wiedziałam, że jestem sama. Że śmierć jest śmiercią. Kiedy opadłam na kanapę, podfrunął do mnie George. Zanurzyłam twarz w gęstwinie piór i puchu. Jego słodki zapach koił w osobliwy sposób. Na tarasie, w miejscu, skąd zwykle skakał Francis, i skąd wykonał śmiertelny skok, spojrzałam w dół, na basen zalany księżycową poświatą. Stałam się współbohaterką własnego snu. Nie wiał wiatr i wszystko zamarło w bezruchu; jedynie ciemne kadłuby łodzi uderzały o ściany doku. Odgłos moich ciężkich kroków rozbrzmiewał głucho na pomoście i poruszył gładką taflę wody. Przez brudne okienka kajuty zobaczyłam postarzałą w nocnym świetle twarz śpiącego Franky'ego.

Wróciwszy do domu znalazłam liścik, przyczepiony do klamki drzwi balkonowych. Moje obłąkanie kazało mi w pierwszej chwili pomyśleć, że i on może być od Francisa. Litery były koślawe i niewyraźne:

Proszę szanownej pani, chciałaby pożyczyć od pani 14 \$, aby pojechać do Haiti. Proszę, na miesiąc październik.

Proszę pani, oddam dolara tygodniowo. Chcę się zobaczyć z moim dzieckiem.

L.

Zamierzałam pozostać na Wyspach tylko kilka dni. Pakowanie rzeczy Francisa było jedynie wygodnym wytłumaczeniem; w rzeczywistości pragnęłam się spotkać z Leonem Kennedym i zawrzeć z nim ostateczną umowę. Taką, dzięki której on stanie się bogaczem, a ja zostanę w swoim Sleet. Teraz zrozumiałam, że testament Francisa naprawdę nie jest taki prosty. Myślał, że go znam. Wszystko, co zro-

bił, zrobił z nadzieją na to, iż pewnego dnia będziemy znów razem. Nie mogłam tak po prostu wyjechać. Pragnęłam żyć wśród tych, którzy byli częścią jego dzieciństwa i ostatnich lat życia. Chciałam zostać udając, że on tutaj jest. Tak jak on udawał, że jestem z nim ja.

Trzeciego dnia po południu Delia Sutherland po raz pierwszy opuściła dom. Powoli przeszła aleją oleandrów i dotarła tam, gdzie kończyła się droga, do morskiej winorośli. W ciągu dwudziestu czterech lat rozrosła się tak, że jej gałęzie sięgały ziemi. Nie było już pod nią miejsca dla Jeanne Kennedy, Euturpii czy Turpie, w którym mogłaby leżeć z bawiącym się obok dzieckiem. W poszukiwaniu Joya Dalia przeszła cały Yamacraw - pięćdziesiąt akrów drzew owocowych cudem rosnących w jałowej glebie.

Ścieżka wiodła poprzez rzadko rozsianą roślinność na polanę, gdzie stały trzy pochylone chałupki, obudowane wapienną podmurówką. Drewniane ściany połatano blachą falistą, a dachy były pokryte dachówkami z cynowych puszek. Otwory okienne zasłonięto zatłuszczoną gazą. Płot stanowiły pnie drzew, patyki, trzy kije golfowe i jakieś połamane narzędzia, omotane kolczastym drutem, na tyle jednak niskie, że z łatwością można było je przekroczyć. Stojącego na podpórkach, pozbawionego kół cadillaca porosło jakieś pnącze. Toster, dziecienny wózek oraz barek na kółkach spoczywały w wianuszku chwastów. Wybieg dla kurcząt ogrodzony był siatką z łóżka, powiązaną szpagatem, a kury gnieździły się w stojącej wewnątrz lodówce. Ich ciche gdakanie, dźwięk telewizora, dobiegający z jednej chałupki i warkot odległego samolotu zlewały się z ciszą zapadającego zmroku.

Pod drzewem spał mężczyzna o skórze koloru starego owocu passiflory. W jego otwartej dłoni leżała maczeta. Kiedy cień Delii zasłonił mu słońce, skoczył na równe nogi i zaczął się drapać. Naga, koścista klatka piersiowa zafalowała. Dolną część ciała miał przyodzianą w wojskowe szorty, ocalałe jeszcze ze szkolnych czasów Francisa. Wyciągnął czapkę z niebieskim napisem „Bahama” na przodzie, strzepnął ją, wcisnął na głowę i spojrzał półprzymkniętymi oczyma.

- Joy?

- Ano. Joy. Uciałem sobie drzemkę - powiedział niemrawo i spojrzał za siebie, jakby chcąc się upewnić, czy jego ciało także podniosło się z ziemi. - Kiedy pani przyszła, myślałem, że to jakaś zjawą czy duch.

- Nie, jestem Delia Sutherland. Bardzo mi miło. - Podał jej rękę, bezwiednie otwierając bezzębne usta. - Czy mógłby mnie pan oprowadzić? Chciałabym zobaczyć, co pan uprawia.

- Ma się rozumieć, Joy opłowadzi. - Ruszył dumnie przed siebie, tnąc maczetą powietrze. - Pan Fłancis zawsze ze mną chadzał. Zawsze to lubił, odkąd był małym brzdącem. Pani patrzy, tu są sapo-dille, tu limety, mango. Całe mnóstwo owoców. Mawiajom o mnie „owocowy kłól”.

- Zwierzęta kradną?

- Nie. Kładną, jak nie widzą mnie, ale Joy jest tutaj zawsze. Joy płacuje tutaj, odkąd Fłancis był małym chłopcem, jeszcze za pana Scotta.

- To już ponad czterdzieści lat, prawda?

- Mhmm. - Jeszcze jeden wymijający pomruk, taki jak u Fran-ky'ego. Co za różnica, czterdzieści czy pięćdziesiąt, pomyślała.

- Byłam tu przed laty - powiedziała na głos - ale niezbyt długo, i nigdy nie przeszłam się na Yamacraw. Nie wiedziałam, że pan tu mieszka.

- Ale jadła pani moje owoce. Wiele ludzi nie wie, że zjada owoce Joya. Pan Fłancis długo nie przychodził, a sam zjadł ich wiele, zanim umiał.

Joy zerwał awokado i jabłko i podając jej na swej podobnej do skorupy żółwia dłoni pokazał, jak uprawia młode drzewka - w brzdach, gdzie ziemia jest żyźniejsza. Roślinność wcale nie rosła przypadkowo, jak się jej wydawało wcześniej; porządkowała ją symetria rzeczywistych potrzeb. Nachyliła się razem z nim, oglądając płataninę korzeni, nakrapiane liście, obłupaną korę. Kiedy dotarli z powrotem do drzewa, pod którym Joy wcześniej spał, pokazał jej biały grzyb, porastający pień. Potrzęsnęła głową.

- Nie wydaje mi się, aby się rozrastał. Tak uważasz, naprawdę? W takim razie spodziewaj się najgorszego.

On także pokręcił przecząco głową, i stali tak przez chwilę nic nie mówiąc. Dotknął jej ramienia, nakłaniając, aby spojrziała w jego roziskrzone oczy, i spytał szeptem:

- Pani szanowna chciałaby zobaczyć koguta Joya? - Wyprostowała się gwałtownie, niemal go potrącając.

- Chyba już mi wystarczy, dziękuję. Z przyjemnością obejrzałam owoce.

- Joy kupił pięknego koguta. Pan Fłancis dał mi pieniądze. I kupiłem.

- Koguta do walk, tak?

Usta miał zaciśnięte, ale śmiały mu się oczy.

- Szatana, nie koguta.

Po otwarciu drzwi jednej z chatek omal się nie udusiła od smrodu kurzych odchodów. Wewnątrz, w przeciwległych kątach, siedziały dwa kogutki, wyłysiałe, pokryte wrzodami i resztką piór. Kiedy Delia weszła do środka, odskoczyły skrzeczając i wzbijając w powietrze chmurę kurzu oraz słomy, uwiązane na swoich krótkich pętach. Na ścianach, zasnutych płataniną pajęczyn, widać było malunki: chmury, masywne aniołki i postaci z filmów Disneya.

- Czy dawniej był to pokój dziecienny?

- Kiedyś tak. Pan Scott dał chatę Joyowi, jak Flancis podłósł. -Złapał koguta za łapy i wepchnął sobie pod pachę. Na zewnątrz pozwolił jej popatrzeć na ptaka.

- Okrutny biznes. Te walki kogutów.

- Kałmię je przecież - powiedział, przyglądając się swoim stopom.

- No tak, oczywiście, to jest dobre, prawda? - odpowiedziała, patrząc na własne. - Masz dzieci?

Joy machnął ręką w taki sam sposób, jak to robili Luney i Franky. Tym razem pojęła. Nie należało pytać.

- Wszystkie wyjechały. Dołosłe panny. Zwykła kolej rzeczy.

- No cóż, dziękuję za owoce.

- Przyjdzie pani jeszcze do Joya?

- Jeśli będę mogła, wpadnę jutro.

Następnego poranka udała się do miasta drogą poprzerastaną korzeniami drzew. W ciągu pół godziny minęła ją tylko jedna ciężarówka, z kołyszącą się z tyłu anteną satelitarną.

Miasto zaczynało się nagle, nie miało peryferii; schludne płaszczyzny pastelowych parterowych budynków, ścieżki w przydomowych ogródkach, dopasowane kolorami do reszty, na każdym podwórku antena satelitarna. Rzędy domów oddzielono betonowymi uliczkami, jak w miasteczku z klocków. Jedyne drogi, przeznaczone dla samochodów, ciągnęły się pomiędzy budynkami oraz wybrzeżem.

Na werandach kołysały się ludzkie sylwetki, na schodach inne, przygarbione. Żadnych czarnych twarzy, same białe, patrzące na nią bez słowa pozdrowienia. Nawet między sobą się nie witają ani nie gawędzą. Skromni potomkowie lojalistów i żeglarzy, którzy tym

pierwszym towarzyszyli w drodze z Ameryki. Dwie lub trzy rodziny, przybyłe tutaj bez żadnych pieniędzy i niewolników, trzymały się z dala od kilku czarnych, których zastały na wyspie i nadal unikały nowo przybyłych. Brak dopływu świeżej krwi nadwątlił ich energię i psychikę. Blade twarze znaczyła melancholia. Tu i ówdzie widać było ślady rzemiosła skutniczego. Teraz utrzymywano się z łowienia ryb i sprzedaży pamiątek turystycznych made in Taiwan.

Delia Sutherland przestała przysyłać nie odwzajemnione słowa powitania i próbowała ignorować spojrzenia zmęczonych słońcem oczu, rzucane zza zielonkawych szkieł, jakby mierzyły odległość, która ją dzieli od kościoła, ratusza, straży pożarnej i gospody.

Przyczepiła się do niej jakaś mała dziewczynka, do której dołączył chłopiec, a następnie, cały czas w pewnej odległości, grupa cichych, rozczochranych dzieci. Kiedy się obejrzała, zniknęły za rogiem, ale co chwila wychylały się i zerkwały na nią lśnącymi, błękitnymi oczami.

Miasto zataczało tu pętlę, więc zaczęła brnąć przez wydmy i ostre jak brzytwa trawy. Tutaj znów zaczynało się morze, niezmordowane po tej wietrznej stronie wyspy.

Zdjęła pantofle i weszła do wody. Wiatr niósł jakieś głosy, jak to wiatr - nie słowa, ale głosy. Kiedy przycupnęła na wydmie, otrzepując piach ze stóp, słyszała ich nalegania, mimo że teraz była osłonięta od powiewów: idź do domu, idź do domu. *Francis nie żyje.*

Nie. Za wcześnie. Dziś jeszcze za wcześnie. Zeszła na plażę. Głosy za nią: idź do domu, idź do domu, Francis nie żyje. Delia pobiegła w stronę miasta.

Na schodach ratusza zbierała się młodzież - dobrze zbudowani, beczynni chłopcy i dziewczęta o włosach blond, o urodzie eterycznej i jednocześnie zmysłowej. Z grupy nie dochodził żaden dźwięk -nie było przytupywania, poszturchiwań, żartów, flirtów ani uśmiechów. Młodzi ludzie mieli na uszach słuchawki walkmanów.

Podeszła do nich, z włosami w nieładzie, i zdyszana zapytała:

- Czy któreś z was znało mojego męża? Francis Sutherlanda? Jestem pewna, że tak. Może załatwialiście dla niego jakieś sprawy albo chodziliście razem na ryby? - Opuszczone powieki, obojętne spojrzenia. Najniżej stał chłopiec z kręconymi włosami i zbyt małymi oczyma. - Znałeś go? - powoli odwrócił głowę. Rozejrzała się. Stała o kilka stopni wyżej niż na początku. - Co? Czy ktoś do mnie coś mówił?

- Niedaleko hotelu, o tam - chłopak leniwie podniósł długą rękę i wskazał na morze.

Francis zwykł naśladować mowę abakończyków, opuszczając niektóre spółgłoski i wstawiając je tam, gdzie w rzeczywistości być ich nie powinno.

- Dziękuję - odparła, mimo iż to, co powiedział, nie miało żadnego sensu. Poszła do portu. Upał tężał.

- Dzień dobry pani! Właca pani łodzią? Nie wygląda pani dobrze, psze pani!

- I nie czuję się dobrze, Franky. Naprawdę. Skąd wiedziałeś, gdzie byłam?

- Luney mi powiedziała, że pani poszła, więc przyplłynąłem i tak czekam. A gdzie mogłaby pani być, psze pani?

- Faktycznie, gdzie miałabym być? Wracajmy, Franky.

Kiedy łódź odbiła od brzegu, obejrzała się za siebie. Na wydmach biegały dzieci. Machały do niej, jak to dzieci. Pomachała im także i pomyślała: Mają rację. On umarł. Nic nie przeszkadza o tym mówić. I machała dalej, energicznie.

Wróciwszy zastała Luney, siedzącą w kucki tyłem do kuchenki, z twarzą w dłoniach.

- Co tutaj robisz, Luney?

- Czekam.

- Czy coś się piecze?

- Nie, psze pani.

- Więc na co czekasz?

- Na panią, psze pani.

- Aha. Chodź tutaj i usiądź.

Skulona dziewczyna powoli podeszła do Delii. Jedną ręką podpierała się o niewidzialną poręcz, a drugą strzepnęła spódnicę balowej sukni, która była tak rozłożysta, że gdy usiadła na sofie, Delia musiała się odsunąć, aby zrobić miejsce.

- Czy na to czekasz? - pokazała kartkę, którą zdjęła z klamki.

- Mhmm.

- Ile lat ma twoje dziecko?

- Trzy. - A ty?

- Osiemnaście.

- Luney, a teraz musisz mi powiedzieć prawdę. Nie masz się czego obawiać. Nic mnie nie zdenerwuje. Kto jest ojcem, Luney?

Luney przewróciła oczami, zamknęła je. Potem zasłoniła rękami.

- No powiedz, uważam, że powinnam wiedzieć, nie sądzisz? -mówiła spokojnie Delia. - Czy ojcem twojego dziecka jest pan Francis?

Luney odkryła twarz, a jej śmiech zabrzmiał jak skrzypiący zawias.

- Nie, nie. Nie pan Francis, psze pani. Ojcem mojego dziecka jest pastor.

- Dzięki Bogu.

- Nie, psze pani, nie dzięki Bogu, on się ze mną zabawił, tak mówiła moja ciocia.

- Stąd czy z Haiti?

- Z Kansas. Był tam pastorem. Moja ciotka prowadziła im dom, pastorom przyjeżdżającym do Port au Prince. Ja sprzątałam pokoje, usługiwałam. Zmieniałam pościel i takie tam. Moja ciotka mi pokazała, jak się usługuje. On właśnie był pastorem, przyjechał na Haiti. Był dla mnie prawdziwie miły, dopóki nie wrócił do siebie, a ja nie zostałam z dzieckiem. Ciotka trzyma dziecko, a ja zarabiam pieniądze gdzie indziej. Więc pracuję dla pana Francisa. Dawał mi pieniądze na widzenie z dzieckiem. Zawsze tak robił.

- Jak często?

- Za każdym razem, kiedy wyjeżdżał w październiku.

- Czy chcesz tutaj pozostać, teraz, kiedy nie ma pana Francisa?

- Tak, psze pani. Pan Tucker powiedział, że mogę. Powiedział, że jestem tu potrzebna.

- Tak, jesteś. Lubiałaś pracować dla mojego męża; czy był dla ciebie dobry?

- Oczywiście że był, ale czasami strasznie się wściekał. Krzyczał i wrzeszczał na rzeczy, których tu nie ma. Luney się chowała, kiedy był taki. Potem przychodziłam i on spał na podłodze tutaj, jak duże dziecko, i go przykrywałam. - Mówiła śpiewnym głosem, kręcąc na palcu kosmyk włosów, jak gdyby opowiadała o jakimś błahym wydarzeniu.

- To miło z twojej strony. Dam ci pieniądze na wyjazd do dziecka.

- Dobrze, psze pani.

- Luney, on mówił, że tutaj przyjadę, prawda?

- O, wiele razy.

- Co mówił?

- Że pani jest piękna. I dobra. I że pani przyjedzie.

Było to powiedziane z takim przejęciem, że Delia musiała się uśmiechnąć.

- Rozumiem. Coś jeszcze?

- Mówił: Luney, kiedy przyjedzie pani Sutherland, będzie chciała z tobą rozmawiać. Ja się śmiałam i on też.

Powiedział, że muszę być grzeczna, jak pani przyjedzie. Ale pani nie jest taka zła. Coś pani chyba jest, proszę pani.

- Jest mi smutno, Luney, i tyle - wyjaśniła. Zamarzyła, żeby Luney przykryła ją tak samo jak Francisca. Też czuła się jak dziecko. Luney poszła przez ogród do chatki, w której sypiała, po drodze gestykułując do mieszkańców swojego wymyślanego świata. Musiały ją widać otaczać dzieci, a ona głaskała je po główkach. Ale dlaczego by nie? Cóż innego miałyby robić, skoro dzień roztapiał się w straszliwym żarze? A wieczorem? Mogłaby spędzić go z Frankym, ale nie mieliby gdzie iść, aby coś zjeść, wypić i potańczyć. Tak samo musiała się czuć Euturpia, kiedy została odesłana do swojego szałas. I Francis - te samotne, wypełnione pustką popołudnia oraz nadchodzące po nich wieczory. Czy w Sleet nie było podobnie?

- Nie, mój kochany - powiedziała na głos. - Mój kochany, mój kochany - kiedy tak do niego mówiła, napłynęły wspomnienia tamtych dni. - Nie byłeś przypisany do tego miejsca w taki sposób, jak ja byłam przypisana do Sleet. Przez dwanaście dni codziennie po południu Delia Sutherland odwiedzała Joya. Te wizyty stały się rytuałem, tak jak i wycieczki do miasta, w którym dzieci nigdy nie przestawały jej śledzić, wykrzykując różne rzeczy - raz mniej, raz bardziej uprzejme. Raz usłyszała piosenkę: „Mąż smutnej pani umarł, mąż smutnej pani nie żyje...” Kiedy się lepiej przysłuchiwała, nabrała pewności, że piosenka jest o „chudej pani”, a nie o „smutnej”. Niech będzie, pomyślała, chuda pani. To ja.

Kilka godzin poświęciła na sortowanie ubrań Francisca - część przeznaczyła dla Franky'ego, część dla Joya, a jeszcze inne dla chłopców z ratusza. Kiedy postawiła pudełka przed nastolatkami i wyciągnęła jaskrawe podkoszulki oraz wełniane spodnie, pierwsze podeszły dziewczyny. Dopiero wtedy chłopcy ruszyli z miejsca, nie chcąc, aby wszystko trafiło w ręce koleżanek. Podziękowali jej cicho, mówiąc, że ubrania są super, ale żaden nie powiedział, że zna Francisca. Wyjściowe garnitury i jedwabne kremowe marynarki zostawiła dla Franky'ego.

Popołudniami leżała w łóżku. Obok trzymała brezentową torbę. Nie mogąc zasnąć, ani w nocy, ani za dnia; na chybił trafił wyciągała listy. Niektóre znała już na pamięć.

Dzień przed wyjazdem, rano, siedziała jak zwykle za stołem, zastawionym półmiskami z owocami i tostami, które Luney wносиła na taras, i których nie była w stanie zjeść od razu.

Franky opierał się o dok, pogwizdując, a Luney z koszykiem w jednej ręce, poprawiając sztywne włosy drugą, zmierzała w jego stronę. Mamrotała sobie coś pod nosem w jakimś nieznanym języku. Mieli wypłynąć razem łodzią, co robili zawsze rano, aby po pół godzinie wrócić. Chociaż Delia poznała już ten ich zwyczaj, nagle wzbudził on jej ciekawość.

Trzymając się balustrady drewnianych schodów krzyknęła do Luney, która jednak nie usłyszała. Jej głos był ochryply. Luney właśnie wchodziła do łódki, kiedy Franky zobaczył Delię, stojącą w połowie schodów.

- Dzień dobry! Ładny dziś mamy dzień! - Czekał, opierając się o reling. Delia podeszła do łodzi. Tym razem spacer będzie inny niż co dzień, odkąd tutaj przyjechała. Nie upięła też zbyt starannie włosów; kok zaczynał się rozpadać.

Kiedy się zbliżyła i w końcu było ją słychać, spytała:

- Dokąd się oboje wybieracie?

- Zabieram Luney do błodacza. Chce pani płynąć z nami?

- Nazywa się Ulrich?

- Tak, to on.

W drodze wiatr zburzył jej fryzurę do końca. Wiedziała, co się stało, ale nic sobie z tego nie robiła. Franky patrząc przed siebie udawaj że nic nie zauważył, ale z podziwu aż pokręcił głową.

Dom Ulricha Barkera stał na łagodnie opadającym brzegu, porośniętym namorzynem. Jego dok był zarzucony puszkami po piwie, kanistrami po paliwie i sieciami na ryby. Powbijane gwoździe tworzyły napis „Attalus Barker: Wynajem łodzi. Paliwo. Chleb. Woda”. Wokół obłazącego z farby domu rozciągało się poletko z arbuzami i pomidorami. Ziemia wokół roślin pociemniała od ostatniego podlewania. Na Delię skoczyły dwa psy, warcząc i wzbijając kurz. Wiedziała, że nie powinna mówić głośno, aby nie zakłócić panującej ciszy, więc przyklękła na jedno kolano.

- Dobrze pieski, już spokój. Sami swoi.

Zatrzymały się, odwracając głowy. Wywiesiły języki.

Mężczyzna z koślawymi nogami, w słomkowym kapeluszu, patrzył, jak Delia idzie z psami u boku. Jego oczy i usta wydawały się małe w zestawieniu z nosem, podobnym do ziemniaka, a twarz pokrywały blizny po krostach.

- Witam panią.

- Pan Ulrich Barker?

- Tak, to ja.

- Dzień dobry, jestem Delia Sutherland. Nadal patrzył gdzieś ponad jej ramieniem.

- To pani jest żoną Francisa, który popełnił samobójstwo.

- Właśnie. Ale to nieprawda.

- Że umarł?

- Że popełnił samobójstwo. To był wypadek.

- Tak? Chce pani tu zamieszkać?

- Niestety, już jutro wyjeżdżam. - W końcu na nią spojrzał, więc nagrodziła go za ten wysiłek. - Zamieszkałabym.

Nawet próbowałam. - Powiedziała to z naciskiem do kogoś, kogo on nie widział.

- Mówił, że pani przyjedzie. Przyjedzie i tutaj zamieszka. - Chwilę pomyślał. - Teraz już za późno - stwierdził beznamiętnie, jak zwykli mawiać ludzie starzy. - Potrzebujecie chleba, tak?

- Poproszę.

- Ciastka cyrulkowe też są dobre. Proszę spróbować. - Wcisnął jej w rękę lśniący od syropu łać. -

Skosztowała. - Wyśmienite. Wezmę trochę. Znal pan nieźle Francisa, prawda?

- Pięknie mu chleb.

- No tak. Przychodził codziennie?

- Prawie. Biedak, cały czas opowiadał o tym, jak był małym chłopcem. Stare dzieje. Mówił też o swojej żonce.

- To ja - przypomniała.

- Tak - odpowiedział wymijająco. Poczwała się jakby mniej realna.

- Dlaczego nazwał go pan biedakiem?

- Bo nie był szczęśliwym człowiekiem. Niektórzy myśleli, że jest, ale nie był. Kochany był, jak dzieciak.

- A Jeanne, wie pan coś o niej?

- Nie znam żadnej Jeanne.

- A Euturpię?

- Turpie? Jasne, że znam. Przychodziła pomagać Willi Mae wyciągać z pieca chleb. Uśmiełaby się pani z tej Turpie. Wszystkim wymyślała jakieś przezwiska. Patrzyła na kogoś i dawaj go chrzczyć! Te imiona tak dobrze pasowały, że wielu do dziś ich używa, chociaż już dawno jej tutaj nie ma. Willa Mae była „Słoneczkiem”. Nawet po śmierci tak o niej ludzie mawiają. Nie wszystkie przezwiska Turpie były takie miłe. Dawałem jej małemu ciasteczka cynamonowe. Uwielbiał je. Wszystkie dzieci je lubią. A teraz wszystkich diabli wzięli. Francisa, Turpie. I nie ma już małego chłopca.

- Jak to?

- A urósł. Mojego Hattalusa także to spotkało. Jest dorosły.

- To pana syn prowadzi interes z łódkami?

- Prowadził. Umarł. Ożenił się z jakąś panną z Chicago. Nie mogła się tutaj przyzwyczaić. Ciągłe wyjeżdżała i wracała. Zostawiała małego z Willą Mae i ze mną. Kiedy nawet tu była, wychodzili wieczorami i też go zostawiała. Spał razem z nami.

- To pana wnuczek?

Popatrzył na nią, aby się upewnić, czy pyta szczerze, i wyszedł do drugiego pokoju. Wrócił z fotografią, oprawioną w wymyślną starą ramkę. Przysunął ją sobie pod nos i przytrzymując dużymi dłońmi powiedział do zdjęcia:

- Kochany dzieciaczek. Dawaliśmy mu ciastka. Kładliśmy spać. Zebrałem zdjęcia i dawałem mu do łóżka. Oglądał je. Śmiał się, dopóki nie zasnął. Mówiłem mu, kim są ci ludzie na zdjęciach. Teraz wyglądają inaczej. Niektórzy pomarli. Kiedy umarła Willa Mae, Sally pojechała do Chicago, za chlebem, i zabrała chłopca. Hattalus poszedł w ich ślady. Nigdy nie wrócił. Ostatnie wieści od nich dostałem z pięć lat temu. Przesłali mi to zdjęcie - postukał w szybkę, sięgając za nią po fotografię. Oddychał chrapliwie. - Tęsknię za nim, oczywiście że tęsknię. - Umilkł. - Jak dotąd to wszystko, co nam na pocieszenie wysłał.

- Jest pan teraz sam?

- Na to wygląda.

- Ile ma pan lat?

- Dziewięćdziesiąt cztery. Czyją czeka to samo?

Później, kiedy już odwiedziła Joya po raz ostatni, a on obdarował ją owocami, jak co dzień, udała się na cmentarz. Było to ustronne miejsce, owiewane wszechobecnym wiatrem. Pretensjonalne po-

mniki pozapadały się w ziemię, płyty i twarze aniołów nosiły ślady niszczycielskiego działania żywiołu. Proste groby były prawie zrównane z ziemią, napisów na cynowych tabliczkach prawie nie dawało się odczytać, zachowały się natomiast toporne, plastikowe kwiaty oraz pomarszczone fotografie, opakowane w celofan i przybite do drewnianych krzyży. Nawet najnowsze mogiły, przybrane jeszcze świeżymi kwiatami, już zdążył przysypać piasek. Delia nie widziała, że pomiędzy nagrobkami chowają się dzieci. Nie zauważyła tym razem, że dłubiąc w nosach i drapiąc się obserwują jej poczynania z wielu kryjówek. Kiedy skierowała kroki w stronę białego marmurowego sarkofagu, najbardziej śmiało wyszły z ukrycia i patrzyły, co robi. Krzyknęła coś, czego nie zrozumiały, a potem przytuliła twarz do płyty, osłaniając napis:

Francis Sutherland Zasnął w Panu

8 sierpnia 1936-8 sierpnia 1989 „Dzieci piaszczystej krainy”

Dzieci bawiły się w chowanym i ganiały aż do zmroku, który zar padł nie wiadomo kiedy. Dwa odrażające paluchy o poobgryzanych paznokciach połaskotały ją w nogę. Wstała i ujrzała blade, majaczące cienie, przeskakujące przez groby, znikające w otwartej żelaznej bramie.

Ułożyła owoce od Joya w miejscu, gdzie pod płytą spoczywały nogi Francisa, i poszła.

Zostałam na Abacos ponad dwa tygodnie, czekając na jego powrót. Miałam nadzieję, że przyjdzie mnie pocieszyć, dać jakieś wskazówki na przyszłość.

Noc w noc siedziałam na kanapie, wpatrując się w morze, tak jak robił to on. Żyłam wśród ludzi jego dzieciństwa i tych, którzy zajmowali się nim ostatnio, jak Franky i Luney. W ogóle nie sypiałam, aż pewnego ranka o brzasku na kilka godzin straciłam przytomność. Gdy się ocknęłam, uderzyła mnie myśl, że tęsknię, bardzo tęsknię za domem. Jedyne, o czym mogłam myśleć, to Sleet, opuszczone tej jesieni. Zaorane pola; krowy cielące się w zacisznych boksach. Francis odszedł, a ja pozostałam kobietą, którą byłam zawsze. Moja uparta, pożałowania godna natura znów doszła do głosu.

Franky dobrze wyglądał w ubraniach Francisa. Odprowadzał Delię do głównego portu w granatowym garniturze w prążki z dobraną pod kolor kamizelką. Nogawki spodni łopotały tuż nad kostkami i bosymi stopami. Stojąc u steru machał minionej, nędznej przeszłości, rybakowi w łódce z wiosłami i długonogiemu psu, wężącemu na dziobie, surfingowcowi, który właśnie zleciał z deski i trójce dzieci biegających po piasku. Przez cały czas się śmiał, zarówno z dnia, jak i całego życia.

- Piękne miejsce, płoszę pani! - krzyknął przez ramię.

Siedziała na skrzynce z narzędziami, przytrzymując kapelusz, tym razem nie patrząc w morze. Oglądała się za tym, co zostawało z tyłu.

- Słucham?

- Szkoda, że już pani jedzie! Następnym razem musi pani zostać dłużej, a Fłanky zabierze panią na łyby. W jakieś ładne miejsce dobrze!?

- Tak, Franky, to ładne miejsce.

Nie usłyszał, ale zobaczył, że się uśmiechnęła, i był zadowolony. Dwadzieścia minut później zatrzasnął za nią drzwi taksówki i wsadził głowę w okno.

- Następnym razem Fłanky i szanowna pani złapią dużą łybę - zachłystnął się powietrzem i zamachał rękami.

- Dziękuję ci Franky, tak, to będzie fajne. Opiekuj się George'em, kiedy Luney wyjedzie na Haiti, dobrze?

- Jasne. Stałemu George'owi będzie z Fłankym okay. Taksówka odjechała, zanim zdążyli coś jeszcze powiedzieć.

Przez

tylną szybę zobaczyła, jak Franky dumnie kroczy pomostem, trzymając się pod boki i nonszalancko podrzucając klucze. Doskonała imitacja Francisa.

Tucker wysłał po Delię ten sam firmowy samolot, którym dostała się do Nassau. Nie przyszedł po nią osobiście.

Miała jeszcze cały wieczór do nocnego lotu do Londynu i, pomimo ostrzeżeń Tuckera, że pani Kennedy nie zechce się z nią spotkać, udała się taksówką do Big Bamboo na Wulf Road.

- Należy pani do klubu? - Ogromny, czarny facet zagroził jej wejście do kiczowatego hallu.

-Nie.

- Bardzo mi przykro, ale wstęp tylko dla członków.

- Czy w takim razie mogę się zapisać?
- Tylko z polecenia, proszę pani. Dalej na tej samej ulicy jest miły lokal. Pokażę pani drogę - otworzył jej drzwi.
- Czy jest pani Kennedy?
- Pani godność?
- Sutherland.

Pochylił głowę; nie był to ukłon, lecz oględziny.

- Wskażę pani stolik.

Powietrze na sali było rozrzedzone klimatyzacją; wewnątrz wypełniał papierosowy dym, zapach tysiąca różnych perfum i elektroniczny rytm, pulsujący w mroku. Nad barem migotał błękitny neon. Blask świec rozświetlał twarze, rozmowy, toasty i pocałunki. Tancerze, kelnerzy i inne postacie odbijały się bez końca w lustrzanych ścianach. Klientela była elegancka i głównie czarnoskóra; mężczyźni w białych, świetnie skrojonych garniturach, dobrze ubrane kobiety.

Delia zamówiła whisky i czekała. Nie była pewna, czy pozna panią Kennedy. Może to ta w krótkiej spódniczce i obcisłych botkach? Albo ta w przezroczystej, białej szyfonowej bluzce bez niczego pod spodem? A może ta drżąca przy barze, splatająca co chwilę palce, która, zauważywszy, że jest obserwowana, zdjęła ciemne okulary i spojrzała nienawistnie? Nie, żadna z nich. Ani ta w kasynie, mrocznej salce z zielonymi stołami, niezmordowanie żonglująca kośćmi, kartami i papierosami, wzdrygająca się za każdym cichym wezwaniem krupiera.

Wreszcie Delia powróciła do hallu. Wielkiego faceta już nie było, więc otworzyła drzwi z napisem „Prywatne”.

Kanapa z cielej skóry, politurowane biurko zarzucone papierzyskami, poprzewracane plastikowe szklanki, wokół krzywo poustawiane krzesła. Barek na kółkach zawałony puszkami po piwie, talerzami i nie dojedzonymi hamburgerami. Koronkowa bielizna i ranne pantofle oblamowane piórami marabuta leżały na rozłożonej otomanie, w pościeli.

- Traci pani czas.

Głos, przypominający szelest papieru, dobiegał zza drzwi. Delia zamknęła je i przez szybę przeciwległej ściany znów zobaczyła wnętrze klubu. Stolik, przy którym siedziała tak długo, był bardzo dobrze widoczny.

Kobieta stała oparta o szybę. Obserwowała bezgłośnie tłum. Czerwone, jedwabne kimono sięgało cienkich jak u szkieletu kostek.

Kiedy odwróciła głowę, zaciągając się dymem z papierosa, który trzymała tuż przy dramatycznie rozprostowanych włosach, Delia Sutherland powiedziała:

- A więc tutaj jesteś. Patrzyłaś na mnie przez cały czas.

Euturpia Kennedy spojrzała na nią niewidzącymi oczyma. Miała zniszczoną twarz; nawet jej usta, niegdyś tak pełne, były ledwie widoczne.

- Patrzę na wszystkich. W takim miejscu to konieczne. Muszę widzieć każdy ruch. - Niepewnym krokiem przeszła przez pokój i sięgnęła na biurko po fiolkę z tabletkami. - Czego pani chce?

- Wiesz dobrze, że chcę przedstawić twojemu synowi propozycję. Chcę odkupić Sleet. Czy mogłabyś wysłuchać moich sugestii albo przynajmniej pozwolić mu spotkać się ze mną?

- Nic z tego.

- A on? Co o tym myśli? To mnóstwo pieniędzy.

- Jest panem samego siebie. Robi, co zechce.

- Nie wiem, czy ci wierzę. Byłam na Abacos, wiesz? W tym domu.

- No i co z tego?

- Byliście z Francisem przyjaciółmi, prawda?

- Tak - rzuciła pośpiesznie. - Tak.

- Co się pod koniec działo z Francisem? Znalazłam listy, które do mnie pisał. Niektóre są takie, jakby tracił rozum.

- Twój mąż był samotny, znudzony i rozczarowany. Przychodził do mnie, aby o tym zapomnieć. Nie był narkomanem, ale czasami trochę szalał. Nie, nie wiem.

W kącie pokoju włączyła się lodówka. Dziwne, że w ogóle nie było słycać muzyki. Jedwabne kimono zafurkotało; jaskrawe paciorki i złote łańcuszki na szyi Euturpii dźwięczały przy każdym ruchu. Czy ona naprawdę jest narkomanką?

- Francisowi nawet się nie śniło, że tak szybko umrze. Myślał, że dożyje późnej starości. Mówił pani, że chciał, abyśmy znów byli razem? - Patrzyły na siebie z uwagą. - Dlaczego twój syn chce Sleet, skoro, gdyby mi je odprzedał, mógłby mieć wszystko inne? Czemu zostawia te wyspy dla czegoś takiego jak Anglia?

- Ponieważ musi się stąd wynosić. - Euturpia Kennedy wyjęła dwie pigułki i wsadziła je do ust. Drżącą ręką naląła wódki do papierowego kubka, wypila, naląła ponownie i wskazała na klub. - I jeszcze to. Fajnie, prawda? Nie potrzebuje pieniędzy. Mam ich w bród. Potrzebuje dystansu. Miejsca, które go uwolni od spraw ściągają-

cych go na dno. Bezpiecznego miejsca. Tu nie jest bezpiecznie. Francis dał mu tę posiadłość i Leon ma zamiar ją wziąć.

- Kiedy to nie jest jakaś tam „posiadłość”. To mój dom.

Oczy Euturpii Kennedy wpatrywały się badawczo w twarz Delii. Wreszcie powiedziała:

- Pamiętam nasze ostatnie spotkanie. Nigdy go nie zapomniałam. Nie wpuszczono mnie...

- Tak, ja też to pamiętam.

- Nie wpuszczono mnie do mojego domu. Francis kazał mi zamieszkać w szałasie, kiedy przyjechałaś, bo ty byłaś jego żoną. Nigdy przedtem nie wiedziałam, że ma żonę. Byłam z nim trzy lata, mieszkałam w jego domu, nosiłam nasze dziecko. Nawet kiedy wyjeżdżał, pozwalał mi tam mieszkać. A potem zabronił, przez ciebie. Chociaż przyjechałaś tylko raz, nigdy więcej. Pewnego dnia rozebrałam się przed nim i głaskałam swoje ciało: piersi, tyłek. Miałam wtedy jeszcze trochę ciała. Powiedziałam: „Wolisz tego chudzielca niż to, to i to”. Mówiłam na ciebie Chudzielec. „Wolisz ode mnie tego Chudzielca?” - Obnażyła ramię, obrysowała palcem piersi. - Nie są już takie jak kiedyś, co? - Objęła się rękami. - Francis nauczył mnie wszystkiego, z książek. Rozmawiał ze mną. Zmienił mi imię, mnie samą, a potem się mną znudził. Ale miałam dobry gust. Po nim już nikt mi się nie podobał. Nie miałam zamiaru być dalej dziwką w Nassau. Tak, kupił mi ten bar, żebym siedziała cicho i zostawiła go w spokoju. Jak grzeczna dziewczynka. - Pokiwała palcem, zniżyła głos. - Chcesz wiedzieć, czego tak naprawdę chciałam? Chciałam być tobą. Chudzielcem. Żeby mnie kochał tak jak kochał ciebie. Do końca tego pragnęłam. A ty? Gdzie byłaś, kobieto? Gdzie byłaś przez ten czas, kiedy cię potrzebował? I co mi pozostało? No co? Nic.

Delia szukała czegoś, co mogłaby powiedzieć. Argumentów, propozycji, rozsądku. Spojrzała na swoje ręce - żyłaste, na pewno nie piękne. Zrozumiała, że wszystko byłoby równie nie na miejscu, jak owe dziecinne ubranka, rzucone pod drzewko winorośli.

- Masz jego syna. To więcej niż mam ja. Euturpia Kennedy zamknęła oczy i odrzuciła głowę.

- Tak, tak. Mam Leona.

- Ale teraz go tutaj nie ma. Tak mówił Tucker.

- Przypuszczam, że powiedział tak po to, abyś zostawiła nas w spokoju. Nie mam racji? Leona i mnie. Nie był ze mną wcześniej, ale jest teraz. Więc proszę, idź już sobie i zrób to, czego chce Tucker i my wszyscy. Zostaw nas w spokoju.

Część trzecia

X

- Tak więc, proszę pani, przechodzę na emeryturę. I tyle. - Pani Files strzepnęła fartuch i wygładziła jego fałdy. - Rodzina nie powinna się tym zmartwić. Mam już sześćdziesiąt jeden lat i prawdę mówiąc, nie mogę pracować za wszystkich. Siedziała, wraz z Curtisem, za biurkiem w salonie.

W niespełną godzinę po przyjeździe, zanim Delia zdołała zebrać myśli i zastanowić się, co i komu ma powiedzieć, zmuszono ją do udzielenia wyjaśnień. Curtis rzucił „Echo” na stół w jadalni, gdzie właśnie piła swoją poranną kawę, i usiadł obok. Spojrzała na jego twarz, potem na rękę i palec, przyciskający gazetę. Przeczytała nagłówek „Zmiany w Sleet Park” i podtytuł, drobniejszym drukiem: „Dziedziczny syn Sutherlanda”. Niżej był artykuł o Francisie Sutherlandzie, jego bezdzietnym małżeństwie z Delią i o Leonie Kennedym, dziedziczącym posiadłość.

- Do cholery, skąd się o tym dowiedzieli?! - wybuchnęła.

- Oni tak zawsze, panienko. Jak to dziennikarze. Dzwonili tu trzy razy, kiedy panienki nie było.

Delia zaprosiła Curtisa i panią Files - która stała w drzwiach i obserwowała jej reakcję - do salonu, gdzie postarała się wyjaśnić całą sytuację tak szczerze, jak tylko mogła.

- Nie mam żadnych powodów osobistych - powiedziała pani Files.

- Jestem przekonana, że to dobrzy ludzie, tak jak i my, ale oni to oni, a my to my. O to chodzi. Nie oczekuję, że mnie poproszą o pozostanie.

- Doskonale panią rozumiem. Poza tym, jak pani mówiła, i tak już pora na emeryturę.

- Dobrze. Więc postanowione. Chcę tylko powiedzieć jedno - to wstyd. Nie wiem, co sobie myślał pan Sutherland. Ale ja uważam, że to miejsce należało także do pani. A on tak panią wykiwał. Śmieszne. To nie jest w porządku.

- Nie jest. Co zrobić? - Miło, że pani Files doszła do takiego wniosku. Curtis milczał.
 - Proszę pani - gospodyni nachyliła się konspiracyjnie, oparta łokciem o kolano i rozejrzała się po pokoju. - Czy on jest bardzo, no wie pani...?
 - Jedyne raz widziałam go wiele lat temu; był małym dzieckiem u boku matki.
 - A ona jest, no jaka, bardzo...? - zawiesiła głos, czekając na potwierdzenie swych domysłów i na to, by pani Sutherland dała upust swojemu niewątpliwemu niezadowoleniu.
 - Widziałam się z nią. - Delia w zamyśleniu bawiła się piórem. - Jest strasznie chora; wygląda okropnie. To było straszne.
- Pani Files naciskała dalej:
- Tak, ale wie pani, no...
 - O co pani chodzi? Czy jest czarna? Proszę pani! Na Boga! Tak. Jest czarna. Wielkie nieba, a ja myślałam, że naprawdę chodzi o emeryturę; trzeba było to powiedzieć od razu. Curtis? A ty co powiesz?
- Twarz Curtisa była bardzo blada, pokryta była siateczką popękanych naczynek. Drżenie głowy, które pojawiło się u niego niedawno, teraz stało się bardziej widoczne. Patrzył to w górę, to w dół, jakby obserwował muchę, spacerującą po okiennej ramie.
- Curtis?
 - Nie wiem, co powiedzieć, panienko. Słów mi brakuje. - Kiedy się odezwał, drżenie trochę ustąpiło. - Myślałem, że nie będę musiał się wyprowadzać, i że będzie nam dobrze, panience i mnie, jeszcze całe lata. Jestem za stary na przewodzkę. Mam siedemdziesiąt jeden lat. To dla mnie jak grom z jasnego nieba.
 - Jestem przekonana, że pani Kennedy pozwoli ci odzyskać twój stary domek. Jeśli chcesz, poproszę o to pana Rosena.
 - Nie, panienko. Za dużo mam już roboty z ogrodem i całą resztą. I te wspomnienia o Maurisie. Nie chciałbym tego.
 - W takim razie złożymy podanie o mieszkanie komunalne. Gdzieś w centrum. Co o tym sądzisz? - Wiedziała, że Curtis nie ma przyjaciół i prócz domu, w którym pracowało kilka osób, i niej samej, nie ma nikogo.
 - Będzie panu tam dobrze, panie Curtis - szturchnęła go pani Files. - Będę pana odwiedzać, razem z cioteczka Megan.
 - Tylko nie cioteczka Megan, droga pani. Mam jej dość w kuch-

ni - wydał usta. - Byłbym wdzięczny, panienko, gdyby nie wspomniała panienka pani Kennedy, ile mam lat. Pójdę, oczywiście, na emeryturę, ale potrzebuję więcej czasu, aby zmienić plany. Poza tym, może będę mógł pomóc młodemu paniczowi jakoś się zadomowić.

- Właśnie. - To uczciwe, pomyślała; dlaczego nie miałyby dalej pracować i „pomóc się zadomowić młodemu paniczowi”? Nieważne. - Zgoda. Obiecuję, że nie wspomnę ani o twoim wieku, ani o emeryturze. Zostawiam wszystko w twych rękach, tak jak było dawniej.

- Przykro mi, panienko. Tak jak pani Files uważam, że to nie jest w porządku. Że zabrano panience to miejsce. Nic już nie będzie takie, jak dawniej.

- Na pewno. Nie mam już nic więcej do powiedzenia, poza tym, że on może przyjechać w każdej chwili. Mam zamiar być wtedy daleko stąd. Szukam sobie małego gospodarstwa w północnej Szkocji. Miejsca dla stada pięćdziesięciu owiec. To mnie uspokoi. Przez kilka ostatnich lat marzyłam, żeby mieć tutaj owce. - Spojrzała ze smutkiem na puste pola.

Kiedy odwróciła się znowu, miała taki wyraz twarzy, że pani Files wstała i objęła ją za szyję. Był to ich pierwszy uścisk od trzydziestu pięciu lat.

- Moja kochana, no już, dobrze, no już. To nieładnie. Po prostu nieładnie. Chodźmy, Curtis, pani Sutherland chciałaby przez chwilę pobyc sama.

Delia pociągnęła nosem i z powrotem wepchnęła chusteczkę w rękaw.

- Dziękuję pani. Reszcie powiem wszystko rano. Żadnych tajemnic.

Żadnych tajemnic? Pani Files od razu zatelefonowała do córki i powiedziała wszystko Frankowi Grimwoodowi, który wracał z wczorajszego polowania, niosąc cztery ustrzelone kuropatwy; ten zatrzymał Aleca, wiozącego traktorem kiszonkę; Alec w skupie zboża spotkał Toma, który poszedł do Marry, do biura, podpisać listę; ona zwierzyła się listonoszowi, kiedy przyszedł z popołudniową pocztą; dostarczając katalog Freemana i kartkę od syna z wakacji w Pouket, listonosz zaskoczył wiadomością panią May z domku Foreстера. Kiedy jej mąż wrócił z młyna, usłyszał:

- Holland, nigdy byś nie uwierzył...

W niecałe dwie godziny po rozmowę z Curtisem i panią Files Delia odebrała telefon od Muriel Fuller.

- Delio, u diabła, co tu się dzieje?! Czy to prawda?! Tak?!

- Przeczytałaś w gazecie?

- Nie. Przed sekundą przyjechałam z Londynu. Zatrzymałam się w warsztacie, aby wziąć benzynę do kosiarki. Steve, no wiesz, zięć pani Files, który tam pracuje, wszystko mi opowiedział. Tak prywatnie, że niby mówi to tylko mnie. „Czarnuchy dziedziczą Sleet”. Nic nie odpowiedziałam. Co się stało? Na pewno musi się zgodzić, żebyś je odkupiła, prawda?

-To nie było dokładnie..., no wiesz, kiedy tam przyjechałam, okazało się... - Urwała. Zrobiło jej się mdło.

- Poczekaj. Już do ciebie jadę.

Była po piętnastu minutach. Delia siedziała w salonie, z twarzą wtuloną w poręcz fotela. Muriel dotknęła jej szerokiego ramienia i zdumiała się jego obcością, tak samo jak kilka tygodni wcześniej zdziwił ją widok rozpuszczonych włosów przyjaciółki.

- Opowiedz mi.

- Przez cały czas się myliłam, Muriel. Zmarnowałam tyle lat, a teraz jest za późno. O to chodzi, rozumiesz? Zobacz.

- Z ciasnej kieszeni spodni wyciągnęła kilka listów.

Muriel czytała powoli, przygryzając palce. Dwukrotnie oderwała się od listów, porównując to, co było w nich napisane z kobietą, która przed nią siedziała. Wreszcie skończyła i złożyła listy, mruczac pod nosem:

- Oczywiście, oczywiście. - Wcisnęła je w ręce Delii i mocno pocałowała ją w czoło. Muriel nie wiedziała, co powinna powiedzieć, ale na pewno coś więcej niż słowa pocieszenia. „To bardzo smutne, Tom, ale ona nie miała pojęcia, jak kochać, i czuła się niekochana” -powiedziała później mężowi.

- Czy rozmawiałaś z nim, Delio?

- Nie. I tak nie było po co. Nie sprzeda. Prawnik określił go mianem „nieustępliwego”, a ja w to wierzę. Widziałam się natomiast z jego matką. Jest strasznie chora, Muriel. Okropnie było na nią patrzeć. Kiedyś była tak śliczna.

- Wiem. Widzieliśmy ją, ja i Tom. Parę lat temu pojechaliśmy do Francisa. To było po tym, jak przestaliście, no cóż, jak nie byliście już tak bardzo razem. Tom i Francis przyjaźnili się do momentu... -Urwała. Najwyraźniej ugryzła się w język, co wzbudziło jeszcze większe zainteresowanie Delii.

- Kiedy co?

- Kiedy coś się wydarzyło. Więc co zrobisz?

- Wyjadę.

- To dobrze. Miałam nadzieję, że tak powiesz. Rzeczy nie wydają się takie złe, jeśli tylko pozwoli się im przeminać. Mówię ci, to prawda. Mam nadzieję, że wyjedziesz przed jego przyjazdem?

- Na długo przed jego przyjazdem.

- Nie wyobrażam sobie, no wiesz, jego tutaj, w Sleet. Po prostu sobie tego nie wyobrażam. Ale to nieważne. Bądźmy praktyczne. Co ze sobą zabierzesz?

Następnego dnia rano, wróciwszy z biura, Delia natknęła się na Franka Grimwooda. Chciał z nią porozmawiać.

- Jeszcze nie jadłam śniadania, Frank. Zjesz ze mną?

- Nie, dziękuję. Powiem wprost: co to za plotka, że jakiś czarnuch przejmuje posiadłość?

Delia opadła na krzesło przy biurku w salonie.

- Usiądź, proszę.

Nie skorzystał z propozycji.

- Pani Files powtórzyła mi co nieco z waszej wczorajszej rozmowy. Potem, wieczorem zaszedłem do Chough i wszyscy gadali tylko o tym. Dawn serwowała pikantne szczegóły jako przystawkę do piwa.

- Dawn?

- Jest barmanką. Dziewczyna Steve'a, właściciela garażu. Wnuczka pani Files.

- Ach tak.

- O co chodzi?

Jeszcze jedno wyjaśnienie.

- Wolalabym porozmawiać z tobą po południu.

- Nie jest dobrze, proszę pani. Nie będę pracować dla czarnego. Paru innych uważa tak samo, ale ja mówię za siebie. Składam wymówienie.

- Będziesz je musiał złożyć panu Rosenowi. Krótko mówiąc, ja nie mam tutaj już nic do powiedzenia. Jesteś pewien, że dobrze robisz? Masz jakąś inną pracę?

- Będę się za nią rozglądał. Młody Martin już od roku szuka pracy, od czasu, kiedy skończył szkołę. Napisał sześćdziesiąt trzy podania i był na piętnastu rozmowach wstępnych. Nic. Gdyby nie te czarnuchy, wszystko byłoby inaczej.

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, Frank.

- Ale ma pani! - stuknął ją palcem.

Była zmieszana jego złością, ale też zniecierpliwiona. Powiedziała z wysiłkiem:

- Posłuchaj, Frank, a potem będziesz osądzał. Nie oddałam Sleet panu Kennedy ani go nie sprzedałam. Po prostu mi je zabrano. Nie mogę nic zrobić. Jeśli chcesz, możesz tutaj zostać. Najpierw po prostu pomyśl, zanim wykonasz jakiś ruch. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby ci pomóc. A teraz, jeśli możesz, wybacz mi.

Frank Grimwood usiadł, przyglądając się, jak z wielkim przejęciem czyści okulary.

- Przepraszam. Nie spodziewałem się, że pani też nie jest z tego zadowolona.

Okulary wymknęły się jej z rąk.

- To tyle, Frank.

Podniosła dokumenty, odłożyła je, otworzyła szufladę, po czym ją zamknęła. Nie powinien zobaczyć jej twarzy.

Musiała być do końca silna, nie chciała zdradzić, co się dzieje w jej wnętrzu. Ale teraz, przy Franku Gimwoodzie i innych, trzęsła się tak bardzo, że nie była w stanie założyć na nos okularów.

Wskazał na biurko.

- Są tutaj - powiedział łagodnie. - Wie pani, że w Lesie Crendal zamieszkał stary borsuk?

- Tak? - ożywiła się - Naprawdę?

- Przeniósł swoje legowisko powyżej Ragge Down. Według mnie to ten sam staruszek.

- Nie, naprawdę? - Wzięła klucze. - Jak to wspaniale. Chodźmy zobaczyć.

Nazajutrz rano, jeszcze przed rozpoczęciem pracy Delia Sutherland spotkała się z resztą ludzi. Zasypano ją opiniami i mnóstwem rad: „Niech się pani na to nie zgadza. Powinna pani z kimś porozmawiać. Wnieść sprawę do sądu”.

„Nie, lepiej niech pani się dowie, co on sam o tym sądzi. W końcu to syn Sutherlanda”. „A co z naszą pracą? Myśli pani, że nas zostawią?”

„Jak on wygląda? Coś jak Michael Jackson, nie?” „Czy nazywa się Sutherland tak jak ojciec?” „Właściciel nocnego klubu, zabawne. Jakoś nie mogę sobie ich tutaj wyobrazić. Co on może wiedzieć o farmie?”

„No cóż, wystarczy to, co wie do tej pory. To żadne przestępstwo”. „Och, przepraszam, proszę pani”.

Wycofała się, wstrząśnięta, że omawia się już takie szczegóły i że ludzie przychodzą z tym do niej. Zmiana nieodwracalnie ją od nich oddzieliła. Już nigdy nie będzie się tutaj czuła bezpiecznie. W ich poufałości nie było nic rodzinnego. Ale to nie potrwa długo. Wkrótce stąd wyjedzie.

- Kontynuujcie pracę - to było wszystko, co mogła im poradzić

- jakby nic się nie zmieniło. Jeśli chodzi o przyszłość, nie mam żadnych informacji. Ze mną nie ma już o czym rozmawiać. Bez wątplenia otrzymacie listy. A praca czeka. Tak więc, Alec, oczekuję, że skończysz dzisiaj przerzucać gnój. Warren, razem z Tomem możecie ścinać rogi cielętom.

Minęły tygodnie. Potem listopad, grudzień i styczeń. Wszyscy pracowali tak, jakby nic się nie zmieniło, łącznie z Delią.

- Jeszcze nie jesteś gotowa? Tylko nie wyjeżdż za późno, dobrze?

- zagadywała czasami Muriel.

W końcu, kiedy Curtis stanął w drzwiach jadalni, przynosząc poranną kawę, powiedziała:

- Stało się, Curtis. Telefonował Rosen. Przyjeżdża z panem Kennedy w niedzielę wieczorem.

- W niedzielę, panienko? W niedzielę? - przez ostatnie tygodnie jego drzenie przybrało na sile. Łagodne kołysanie głowy zamieniło się w silny dygot. - Na pewno w niedzielę?

- Wiem, wiem. Próbowałam im wytłumaczyć, że nikogo nie będzie w domu. Nie ma potrzeby, abyś przychodził. Na kolację mogą gdzieś iść i wrócić dopiero na noc, prawda? Wyciągniesz kufry? Zaczynam się pakować. W sobotę wyjeżdżam.

- Och, panienko Delio - kuchenną rękawicą, którą przedtem trzymał dzbanek z kawą, poklepał się po głowie. -

Panienko Delio.

- Usiądź, Curtis. Tutaj. - Podsunęła mu krzesło. Opadł na nie, wyprostowany, przytrzymując się kredensu.

- Panienko Delio.

- Nie zabieram dużo. Niewiele mogę, zgodnie z testamentem... - Nie dodała, że branie czegokolwiek jest dla niej nie do pomyślenia. Wszystko miało tutaj własne miejsce; cokolwiek by wzięła, naruszyłaby przeszłość, historię swego życia, jedyne, co pozostało nienaruszone. - Mamy trzy dni. Więcej niż potrzeba.

W niedzielę wieczorem czatowałam w hallu. Mój cień padał aż na schody, gdyż drzwi były otwarte na oścież; nie żądałam sobie trudu, aby je zaryglować i do środka wpadało chłodne powietrze. Nie zamknięto również tylnego wejścia. Zrobił się przeciąg; ogień buzował, a psy nie mogły sobie znaleźć miejsca. Wiedziały, że coś się święci, jeszcze zanim załadowałam samochód. Przeczuwały to od tygodni i kręciły się koło mnie; kiedy się oddalałam, stawały się niespokojne i skomlały, co nie zdarzało się nigdy wcześniej. Curtis dwa razy zamykał tylne drzwi, ale za każdym razem znajdowałam powód, aby tamtędy wyjść; miski psów, sprawdzenie kłódki w piwnicy; ciągle zapominałam je zamknąć. Nie to było ważne. Moje trzy kufry stały w kącie, przygotowane, aby Curtis mógł je nadać na pociąg.

„Zostanę jeszcze, podam wam kolację”. Tak powiedziałam Davidowi. To była zwykła uprzejmość. Nie cieszył się z tego i wymusił na mnie obietnicę, że w żadnym wypadku nie będę wszczynać dyskusji.

Tak więc nadeszła niedziela, a ja jeszcze tam byłam.

Lampy kołyszą się pod sufitem, oświetlając środek hallu.

Nie tutaj, pomyślałam. Tylko nie tutaj. Chcę być w salonie. Zastanie mnie przy kominku, opartą o gzyms, i zobaczy, jak to wszystko wygląda; jak powinno wyglądać. Czy w końcu to zrobiłam? Czy oparłam się o ten gzyms?

Zawołałam psy, które pobiegły za mną do salonu, i poczłapały na swoje miejsce, gdzie leżał wymięty koc i kości. Zaraz potem musiałam odebrać telefon. Dzwoniła stara wdowa, dozorczyńni z wiejskiej szkoły, którą zarząd chciał wyeksmitować ze służbowego mieszkania po mężu. Gdy się im to nie udało, wykombinowali jakąś niebotyczną sumę za czynsz. Interweniowałam. Telefonowała z podziękowaniem, aby powiedzieć, że mieszka w nowym mieszkaniu spółdzielczym. Pomyślałam, że to jest właśnie najlepsze; takie działania i ich rezultaty nadają sens mojemu życiu. Zapomniałam, w jakiej jestem sytuacji, że nie mam już żadnych wpływów, a za kilka godzin już mnie tutaj nie będzie, i zakończyłam rozmowę mówiąc:

- Oczywiście, z przyjemnością panią odwiedzę. Do widzenia. -Po odłożeniu słuchawki powiedziałam na głos: -

Cholerni biurokraci - i właśnie wtedy usłyszałam głos Davida, przekrzykujący jazgot psów:

- Kolejne zwycięstwo nad biurokracją, Delio?

Przez moment miałam nadzieję, że zarówno David, jak i młodzieniec, który stał za nim, zobaczyli rozpromienioną, silną, pewną siebie-

bie kobietę. Miałam taką nadzieję, gdyż ten widok nie trwał wiecznie.

- Delio, oto Leon Kennedy. Leonie, to jest pani Sutherland.

Jakim go wtedy zobaczyłam? To pierwsze wrażenie zatarło tyle następnych. Był wyższy ode mnie. Jego kędzierzawe włosy, o dziwnym, niespotykanym kolorze, kiedy był dzieckiem, stały się gęste, ciemnobrązowe i miejscami spłowiałe od słońca. Oczy, te tygrysie oczy, które odkąd je po raz pierwszy ujrzałam, na zawsze pozostały w mojej pamięci, miały opanowany wyraz, pozbawiony lęku, ale i brawury. Nie był czarny, ale nie można by go uznać za białego. Widać było, że dobrze się czuje we własnym zdrowym ciele. Kiedy odwrócił głowę, zauważyłam, że przy lini włosów jego skóra ma inny kolor, jakby nosił maskę odmiennej barwy. Po jej zdjęciu stałby się całkowicie biały. Po matce odziedziczył urodę i ostre rysy twarzy: prosty nos, rozszerzający się u dołu, linię górnej wargi, jakby namalowaną pędzlem Matisse'a. Miał szerokie, jasne usta o łagodnie opadających kącikach. Tym, co naprawdę zwróciło moją uwagę, i zatrzymało mnie jak głupią przy telefonie, był sposób, w jaki się poruszał: jak atleta, tancerz, swobodnie jak ktoś, kto lubi żyć na tym świecie. Znałam go.

- Dzień dobry pani - wyciągnął do mnie rękę.

To był Francis. Wrócił w osobie syna. Nie miał takich samych ani nawet podobnych rysów, ale nie o to chodziło, lecz raczej o cień jego osobowości, widoczny w tym młodym człowieku. Francis był tutaj, krył się za tymi ruchami, za sposobem oddychania. Był.

- Dzień dobry... Leonie.

Wtedy zrobił coś strasznego. Potarł oko wierzchem dłoni.

David Rosen stał pomiędzy dwojgiem ludzi z wyciągniętymi do powitania dłońmi i zastanawiał się, jak zacząć. Delia Sutherland, uściskawszy rękę Kennedy'emu, stanęła plecami do kominka. Obcasy jej pantofli znajdowały się o jakieś dwa cale od osłony paleniska. Palcami błędziła gdzieś w okolicach szyi, choć nie było tam nic do zapinania. W końcu opuściła ręce, otarła je o siedzenie i zbliżyła do ognia, odsłaniając twarz.

Oto nasz pokój, pokój Caldwellów, i może odrobinę Sutherlan-dów. Wszystko, co tutaj jest, sami wybraliśmy, i dbaliśmy o to. Patrzyła, jak rozgląda się dookoła, bez cienia zdenerwowania czy niecierpliwości. Był spokojny i tak obojętny, jakby przywieziono go do Sleet tylko po to, aby je sobie obejrzał. Chciała powiedzieć

„Czy teraz rozumiesz, że to wszystko należy do mnie i tak już pozostanie?”.

Poczuła zapach jego nowych ubrań, tweedowej marynarki, cienkiej koszuli, sztruksów. Widać było, że bardzo się starał, aby tak wyglądać, był jednak nieco za „angielski”. Kiedy zauważyła tę drobną wadę, opanowało ją dziwne uczucie, podobne do litości i jednocześnie ukłucia bólu, jakby się przestraszyła.

- Napijcie się czegoś?

- Nie rób sobie kłopotu, Delio. Obsłużymy się. Leon, co pijesz? -Rosen zamierzał podejść do barku, ale Delia go wyprzedziła.

- Podam, dziękuję ci, Davidzie. Psy, cisza! - rzuciła przez ramię. Zwierzaki, które od momentu wejścia Leona cały czas na niego

powarkiwały, teraz ogarnął rodzaj powściągliwej ekstazy. Kennedy klęczał i drapał je za uszami.

- Już dobrze, psinki, już wystarczy. - Jego głęboki głos brzmiał nieco po kobiecemu. Nie mówił tego na pokaz, widać było, że zwykle w ten sposób rozmawia z psami. To jej się spodobało.

- A więc lubisz psy? - zapytała takim tonem, jakby wszystko wskazywało na to, że jest inaczej. W jednej ręce trzymała butelkę, w drugiej szklankę.

- Tak, lubię. Mam jednego u siebie, w Nassau. Czyli jeszcze się nie zdecydowałeś, tak? - pomyślała.

Wstał, otrząsał ręce. Psy skoczyły do niego, skomląc, jakby dowiedziały się od niego jakiejś tajemnicy i chciały o niej opowiedzieć. Nie pozwoliły mu przejść.

Delia Sutherland przygotowywała drinki.

- Miłe stworzenia, prawda? - Podniosła szklankę pod światło i sprawdziła jej zawartość, podając ją Rosenowi. -

Leżeć! - zawołała bez przekonania, ale psy odeszły zadowolone, że je zwalnia. Znów stanęła przed barkiem. -

Leonie? - wciąż stał. - Usiądź wreszcie, na Boga! Czego sobie życzysz? Chodzi mi oczywiście o to, czego się napijesz?

- Może bourbona?

- Niestety, nie mam. W Anglii raczej go nie pijemy.

- Szkocka z wodą?

- Świetnie. - Przyglądała się, jak Rosen szarpie mankiet koszuli. - Może weźmiemy drinki na górę? Chcecie wziąć kąpiel albo się przebrać przed kolacją? - Leon Kennedy dopiero co usiadł. - Twój pokój jest tam, a twój, Davidzie, jak zwykle wschodni.

Leon Kennedy uśmiechnął się szeroko.

- Przyniosę bagaże. - Przy drzwiach pomacał kieszeń w marynarce i sięgnął do niej po paczkę, którą podał Delii. - To tak przy okazji. Dla pani.

- Dla mnie? Ojej! Co to takiego? Arpege. Jedyne, jakich używam. Skąd wiedziałeś?

Wskazał na Rosena.

- Ach, no tak. Dziękuję, to miło z twojej strony. - Znów był w drodze do drzwi, gdy zawołała go jeszcze raz. - Curtis gdzieś tutaj się kręci. Pokaże ci twój pokój. - I dodała, jakby do siebie albo do Rosena: - Północny pokój to tam, gdzie spał Francis, więc chyba dobrze, prawda?

- Mnie podarował zapalniczkę. Czarujące.

- Przecież nie palisz.

- Nie, ale teraz mogę podawać ogień innym. To miło, że zostałeś, aby go powitać. Przepraszam, że z początku nie byłem zbyt entuzjastycznie nastawiony do tego pomysłu. Myślałem, że będzie ci ciężko. Ale nie, wszystko poszło dobrze, prawda? Sądziłem, że wyjedziesz z samego rana. - Patrzyła w podłogę. - Mam nadzieję, że znajdziemy czas, aby przed twoim wyjazdem porozmawiać w cztery oczy.

Z hallu dobiegł harmider i drżący głos Curtisa.

- Davidzie?

Położył jej rękę na ramieniu.

- Delio, znamy się tak długo, a nasza współpraca przebiegała chyba dobrze; nie chciałbym, aby urwał się nam kontakt.

- Davidzie? - Nie straciła jego ręki, więc ujął jej dłoń. Wciąż patrzyła na drzwi. - Davidzie?

- Słucham?

- Nie powiedział zbyt wiele, prawda?

W hallu rozległ się nieznany dotąd odgłos: Curtis się śmiał.

Stół w jadalni, przeznaczony dla dwudziestu osób, prowizorycznie nakryto dla trzech, na jednym końcu niezdarnie rozkładając adamaszkowy obrus. Na kredensie stały posrebrzane naczynia, a na ścianach wisały portrety przodków. Ich twarze na przemian wyłaniały się i nikły w blasku świec - jak widownia, oglądająca przedstawienie. Uwagę Leona Kennedy'ego zwrócił obraz, wiszący vis-a-vis jego miejsca przy stole: mężczyzna o ciemnych kręconych

włosach, ubrany w czerwony aksamitny płaszcz i uśmiechający się arogancko.

- Jesteś, Curtis - powiedziała Delia, kiedy ten pojawił się w drzwiach z tacą w rękach. - Zakładam, że rozmawiałeś już z panem Kennedy. Nie potrzebujesz żadnych instrukcji?

- Nie, panienko. Pan Kennedy zmarł w pokoju północnym, więc przenieśliśmy go...

- Poważnie, Leonie? Zmarł w północnym? Przecież jest tam kominek...

- Curtis był tak uprzejmy, że przeniósł mnie do innego. - Przy ciemnej marynarce jego oczy wydawały się jeszcze bardziej żółte. Siedział prosto, zamknięty w sobie; kiwał głową, akcentując niektóre słowa. - Opowiedział mi także, jak to za czasów pani matki w każdej sypialni były piece węglowe i jak...

Znowu Francis. Nawet w głosie Leona.

Delia przestała słuchać. Kurczowo zaciskała kciuki i wpatrywała się w błyszczącą smugę odbitego od stołu światła. No i przyjechał. Spaceruje sobie, prosi o grzejniki, dostaje; słucha opowieści. Zaczęło się. Proszę Cię, Boże, oby było już po wszystkim, ale... żeby się nie skończyło.

Blask świec pozbawił jej twarz życia, podkreślając wgłębienia policzków i oczodoły; kosmyki włosów rzucały dodatkowe cienie.

- Przypuszczam, że minie trochę czasu, zanim się przyzwyczaję - łagodnie, prawie przepaszająco powiedział Leon Kennedy.

- Co takiego? Jak to „przyzwyczaję”? Ja się nigdy nie przyzwyczaję.

Prawie niedostrzegalnie nachylił się w jej stronę.

- Do zimna, proszę pani. Mówię o sobie i zimnie. - Uśmiech powrócił na jego usta. - Curtis opowiadał mi o tych, no, o tych dziwnych rzeczach. Jak się nazywały?

- Kalesony, proszę pana.

Leon Kennedy padł na krzesło, zanosząc się od śmiechu. W całym jego zachowaniu była jednak pewna elegancja. Jego śmiechem zaraził się Rosen, a i Curtis, zbierający talerze, także jakoś dziwnie oddychał.

- Obsłużymy się sami, dzięki, Curtis.

- Dobrze, panienko - odpowiedział takim tonem, jakby wcześniej oczekiwano od niego czegoś odwrotnego. , Rozmawiając Delia zauważyła, że Rosen wpatruje się w stopy Curtisa. Staruszek był w kapciach w szkocką kratę, z pomponami,

takich samych, jak miała Delia. Różniły się jedynie tym, że miały otwory wycięte na halluksy.

- Jest niedziela, to dlatego - wyjaśniła, gdy Curtis zamknął już za sobą drzwi. - Obsłuż się, Leonie - powiedziała, wskazując na kredens.

- Słucham? - Rosen nie zrozumiał.

- Przyglądałeś się kapciom, prawda? Miał je na nogach, ponieważ jest niedziela. To jego mała aluzja. Zwykle w niedzielę nie pracuje, chyba że ktoś przyjeżdża - urwała. - Jak wy - znów przerwa. - Zajął się gotowaniem, ponieważ pani Files wyjechała i już nie wróci. Ale włożył kapcie, aby dać do zrozumienia, że przyszedł z własnej woli.

- Ach tak. Rozumiem.

- Wszystko w porządku? - zawołała do Leona Kennedy'ego, który zaglądał do półmiska i pochylał w stronę światła.

- To fasola.

- Jest pani pewna?

- Tak. Zawsze w niedzielę służba chodzi w kapciach. Jeśli sobie nie życzysz, nie będą. Mogę je dać psom. Zwykle tak właśnie robię. - Wrócił na miejsce, więc kontynuowała: - Tak szczerze mówiąc nie rozumiem, co jest śmiesznego w kalesonach. Są bardzo praktyczne. Sama je noszę.

Leon Kennedy przetarł twarz dłonią, jakby chcąc zetrzeć z niej własną minę, i przełknął ślinę.

- Naprawdę? No cóż, będzie mi pani musiała wszystko o nich powiedzieć, ponieważ... ponieważ... - głos zadrżał od tłumionego śmiechu. - Przepraszam, ale po prostu nie mogę. To tak śmiesznie brzmi. Curtis jest świetny, Davidzie.

Tak jak mówiłeś. Taki opanowany.

- A więc opowiadałeś o nas, Davidzie? To miło. - I dodała, zanim Rosen zdążył odpowiedzieć - Nowe ubranie, Leonie? - Dotknęła wężła włosów na karku.

- Czyje, moje? - Leon Kennedy wskazał na siebie widelcem.

- Twoje - rzuciła, patrząc w sufit.

- Racja. To kaszmir. Mięciutki. Podoba się pani? Skąd pani wiedziała, że nowy?

- Po zapachu.

Opuścił rękę i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Przy okazji, Davidzie - odwróciła wzrok od Kennedy'ego. - Mój stróż, och, przepraszam, stróż odchodzi. Mówiłam mu, żeby do

ciebie napisał. Nie napisał? Och, no tak, wiesz, jacy są ludzie. Nie robią tego, o co się ich prosi. Mike także, ten z mleczarni. Nie jest zadowolony, że postawiono go przed faktem dokonanym.

- Delio, czy możemy się teraz tym nie zajmować? Dobrze? - Poblądły w blasku świec Rosen wiercił się na krześle.

- Cóż, w takim razie będziecie musieli wszystkiego dowiedzieć się sami.

- Tak będzie lepiej.

- Tak? No i oczywiście Curtis idzie na emeryturę.

Nie chciała tego powiedzieć. Lecz czy wiedzieli, czy Rosen i Kennedy zdawali sobie sprawę, jak bardzo ją to zraniło?

- Ten Curtis? - Kennedy wskazał na drzwi, wiodące do kuchni. - Nie zostanie tutaj? Odchodzi?

Jego pewność siebie zniknęła wraz z uśmiechem. Delia Sutherland przyjrzała się mu uważniej. - Tak, Leonie. Nie zostanie tutaj. Ma już swoje lata, a ludzie w tym wieku są na emeryturze od dawna. Był tutaj tylko ze względu na mnie. Jeszcze wina?

- Delio, od dziesięciu dni Leon podróżuje po Anglii. Prawda, że to dobry pomysł? Zwiedzanie tego kraju? - odezwał się z wysiłkiem Rosen, izolując tym samym Leona, który zdążył się już opanować. Przedtem wydawało się, że wesołość jest dla niego czymś naturalnym, ale i teraz, taki opanowany, nie wyglądał sztucznie.

Patrzyła na niego, chcąc powiedzieć coś, co mogłoby wytrącić go z tego stanu.

- Nie jesteś głodny, Leonie?

- Nie, dziękuję.

- Ona też idzie na emeryturę. Pani Files, moja kucharka.

- Proszę, Delio. - Rosen rzucił swoją serwetkę.

Leon Kennedy nie zareagował. Popatrzył na wiszący przed nim portret.

- Kto to taki?

- Ktoś spoza rodziny. To człowiek, który wybudował ten dom, a potem go przepuścił. Reszta to przodkowie, wszyscy.

- Ach tak.

- Moi przodkowie.

- Tak.

- Popatrz, Leonie...

- Nie, Delio, obiecywałaś... - przerwał jej Rosen. Jeszcze nie wiedział, że jest to wieczór złamanych obietnic.

To musiała powiedzieć. Ona, której odmawiano wysłuchania, musiała być wysłuchana. Leon Kennedy zrozumie. Wiedziała wreszcie, od czego zaczęło się jej cierpienie, więc mogła mu to wyjaśnić. Dowie się, a potem odejdzie.

- Dobrze wiesz, ile razy prosiłam o spotkanie z tobą. Wiesz o moich propozycjach. Francis napisał swój testament w chwili szaleństwa. To wszystko. Kochał mnie. - Z tryumfem spojrzała na Rosena i podkreśliła: - Tak. - Potem znów zwróciła się do Kennedyego: - To mój dom, Leonie. Jest wiele powodów, dla których to się nie uda - twój pobyt tutaj, ale...

- Delio, na litość boską...

- Litość, Davidzie? Litość? Pomyśl tylko, mam prawo...

Leon Kennedy wstał. Zrzucił pokrywki srebrnych półmisek, stojących na kredensie. Delia, Rosen i przodkowie oniemieli. Uderzył pięściami w kredens, po czym je rozluźnił, podnosząc w górę rękę uspokajającym gestem.

- Mówiłeś, Davidzie, mówiłeś, że ona wszystko rozumie. Mówiłeś, że nie będziemy tego robić - rozmawiać w taki sposób.

- Wiem, że mówiłem. Chryste, Delio, pomóż mi! Czy ci tego nie wyjaśniałem?

- Więc? - Kredens się zakołysał i stuknął o ścianę. Po pokoju rozległ się dźwięk, który ostatnio słyszano owej pamiętnej nocy, kiedy to Francis Sutherland, pijany, przy weekendowych gościach oświadczył żonie, powściągliwej i pewnej siebie, że jest oziębłą dziwką, która potrzebuje gacha, i jemu jest wszystko jedno, kto nim będzie. Złapał za obrus i na oczach szesnastu skonsternowanych osób na ziemi wylądowała lawina talerzy, jedzenia, sztućców, karafek z winem w srebrnych podstawkach, świec, rzućtego szkła, srebrnych figurek, wazonów z różami i dwóch półmisek Paula de Lamerie. Nikt nie pomyślał, aby przytrzymać obrus i zapobiec katastrofie, która nastąpiła na końcu stołu, gdzie miejsce zajmował Francis. Trwało to dość długo. Gdy było już po wszystkim i stół opustoszał, nikt nie wiedział, co powiedzieć. Zauważono, że Delii nie ma. Poszła się położyć.

Leon Kennedy stał teraz obok niej, ściskając oparcie krzesła, na którym siedziała. Wydawało się, że zamierza je spod niej wyciągnąć. Drugą rękę położył na stole obok jej dłoni. Zsunęła ją na kolana.

- Niech pani na mnie patrzy! Chcę widzieć, że pani rozumie to, co zamierzam powiedzieć. Nie będę tego więcej z nikim omawiał.

Jego twarz była bardzo blisko. Wzruszyła obojętnie ramionami, które jednakże pozostały zgarbione.

- Sleet należy teraz do mnie, pani Sutherland. Wszystko inne to historia. Nie mówię, że nie należą do niej inne rzeczy - obrazy i tak dalej. - Wziął srebrną łyżkę i podsunął jej pod nos. - Ani cała reszta. Pani też. Wszystko to ma tutaj swoje miejsce, które zajęło kiedyś w przeszłości. Teraz ja tutaj jestem i także mam swoje miejsce. Nic tego nie zmieni. Żadne sugestie. Ani pieniądze. Może pani zostać lub wyjechać, jest mi to obojętne. Ja zostaję. Słyszysz pani? Ponieważ się nie poruszył, odsunęła się. Jej serwetka upadła na podłogę. Wolno obeszła stół i dotknęła oparcia jednego z pustych krzeseł, by się uspokoić. Stała w drzwiach i zawołała ze znużeniem:

- Chodźcie.

Kennedy pytająco wskazał palcem na siebie, a potem na Rosena, znieruchomiałego w pół kroku od krzesła Delii. Rosen potrząsnął przecząco głową i kiwnął głową w stronę psów, siedzących pod kredensem i zagapionych na swoją panią. Nie były pewne. Spojrzały na Rosena, który patrzył na nie przyjaźnie i kiwał głową. Nie ruszyły się, dopóki z hallu nie dobiegł ich bardziej znajomy, głośny, poirytowany głos:

- Powiedziałam, chodźcie chłopcy!

Wyszłam z psami w noc. Była zimna, dobra i swobodna. Prawdziwa wiejska noc jest prawie namacalna, nie taka jak podrabiane noce w mieście. Ma swoją gęstość, która nie pozwala wierzyć w nadejście świtu. Właśnie tego potrzebowałam - poczucia, że jestem bezpieczna, chroniona przed przyszłością i przeszłością. Przed czasem.

Gwiazdy świeciły z jakąś większą mocą. Nie były takie wcześniej i bez wątpienia nie będą jutro. Odpoczywały, jak przypuszczałam, po podróży z jednego wszechświata do drugiego. Próbowałam uwierzyć, że są rzeczy ważniejsze niż posiadanie, dające większe zadowolenie, ale się rozczarowałam, rozczulając nad sobą i swoją głupią wiarą, że przeszłość może zaistnieć od nowa. Mogłam to jedynie określić jakże angielskim stwierdzeniem: „To nie fair”.

Podobno nie da się przetłumaczyć na żaden język znaczenia angielskiego „fair”, które oddaje sens sprawiedliwości, jaką można odnaleźć w każdej sytuacji.

Oparłam się o orzech, jeden z tych, które wyznaczały drogę do Dzikiego Ogrodu. Poprzez jego niskie gałęzie widziałam budynki,

które były moim domem. Po prawej stronie znajdował się gołębnik, w którym jako dziecko, stojąc w drzwiach tyłem do słońca, drewnianym mieczem walczyłam z własnym cieniem. Kiedy ta zabawa mi się nudziła i byłam bliska wygranej, kopniakiem zatrzaskiwałam drzwi. Siedziałam w środku na brudnej podłodze i kurzyłam papierosy, ukradzione z salonu. W gardle drapało mnie od gołębiego pyłu, a ptaki gruchały do siebie wciąż w tej samej tonacji. Ciężkie tykanie zegara, umocowanego na szczycie przegnanej drabiny, odbijało się od ośmiu pobielanych ścianek. Później gołębnik zastąpił murek, który połączył podwórko z domem. Od niepamiętnych czasów wychodziłam na to podwórko, zabierałam z niego psie miski i przynosiłam z powrotem pełne. Za podwórkiem stał dom, który sam w sobie miał więcej życia, niż kiedykolwiek mogłam mu dać. Może dlatego mi go zabrano? Nie pokazałam mu, na co mnie stać.

Gdybym wtedy mogła wyjechać, i już nigdy nie wejść do domu -może zrobiłabym to z większym przekonaniem? Postanowiłam poczekać na jakiś znak, że David i Leon poszli spać: może będzie to zgaszone w ich sypialniach światło, albo przynajmniej jakiś ruch zasłon.

Nie musiałam się z nim widzieć raz jeszcze; miałam wyjechać z samego rana. Chciałam jednak jeszcze raz poczuć ten ulotny cień Francisca; wbrew sobie powtarzała: „To przecież nie ty, Francisie? Naprawdę nie ty?”

David Rosen wyszedł na schody i wyglądał w ciemność z taką miną, jakby znalazł się w miejscu, w którym być nie powinien.

- Delio? Mówię do ciebie! Delio, jesteś tam?

Nie zamierzała mu odpowiadać, ale ponieważ czekał, powiedziała w końcu:

- W porządku, Davidzie. Już idę. - I chociaż nie starała się zanadto, aby ją usłyszał, w nocnej ciszy jej głos zabrzmiał wyraźnie.

- Dzisiaj nie zamykasz ich w budzie? - Rosen poszedł za nią do schowka. Przytuliła się do psów, mruczając do nich coś bezgłośnie. Westchnęła, zbierając z czarnej sukni żółtawą sierść.

- Nie. Co prawda nie lubią tutaj siedzieć, jest im za gorąco, ale jutro tak będzie łatwiej. W przeciwnym razie musiałabym iść na podwórko, aby je złapać. Tak zawsze zaczynam dzień, prawda? Idę na dwór po psy. Ale jutro nie pójdę. Nie wolno mi. Żadnej rutyny. Żadnych zwyczajów.

- Zejdę się pożegnać.

Stała u podnóża schodów; on - dwa stopnie wyżej.

- Mógłbyś nie przychodzić?

- Rozumiem. Oczywiście.

- A więc dobranoc. - Odwróciła się.

- Tak. Dobranoc. Właśnie. Zmarszczyła brwi.

- Przecież tak powiedziałam, nieprawdaż? - Jej śmiech był nagły, szczery i lekki. Był to śmiech dziewczyny, która pewnej nocy na tańcach spotkała Francisa. Wydawało się jej, że powinna powiedzieć coś więcej. Kiedy o tym myślała, David Rosen pochylił się z wysokości swoich dwóch schodów i pocałował ją w policzek. Przytrzymała pocałunek palcami, aby nie zdmuchnęły go przeciągi Sleet.

- Dziękuję.

- Dobranoc.

Zaryglowała wejściowe drzwi i sprawdziła, czy na stoliku w hallu leżą kluczyki samochodowe. Zgasiła światła. To już koniec. Wszystko gotowe. Nie pozostało już nic do zrobienia, trzeba było iść na górę i położyć się spać; jeszcze tylko światło w salonie, które mogła wyłączyć nawet nie wchodząc; wystarczyło wymacać wyłącznik przy framudze. Nie było potrzeby oglądać po raz kolejny posiadłości, którą opuszczała. Wyczuła palcami szklaną wypukłość i nacisnęła trzy przyciski, pogrążając w mroku jeszcze jedno wspomnienie przeszłości.

Już miała zamknąć drzwi, kiedy usłyszała:

- Proszę tego nie robić, pani Sutherland.

Nacisnęła włącznik. Zapaliła się lampka stojąca pod oknem, oświetlając chińskie figurki.

Przed kominkiem, w miejscu, gdzie tyle razy stawała, kiedy zapadał wieczór, czekał Leon Kennedy.

- Och - powiedziała. - Przepraszam. Myślałam, że już śpisz.

- Nie. Ponieważ sądziłem, że powinna pani powiedzieć „do widzenia”.

- Oczywiście. W takim razie do widzenia.

- W porządku. Do widzenia.

Została w drzwiach z założonymi rękami. Nagle płatanina dywanowych frędzli wydała się jej bardzo interesująca; tak samo tył fotela, jego sprana tapicerka, szeroka, dębowa klepka. Powinna była tu zostać tylko po to, aby móc podnieść wzrok i zobaczyć go tam.

Chciała powiedzieć innym tonem, tym, który gdzieś po drodze zgubiła: „Więc jesteś w końcu, na mojej ziemi, w moim domu, na moim miejscu przed kominkiem”. Postanowiła, że to powie, i czuła, jak cała jej istota przygotowuje się do tego. Zdziwiło ją, że bycie sobą i mówienie prosto z serca wymaga tyle wysiłku. Czy tak było zawsze? Nieważne.

Poklepała się po ramieniu i zaczęła:

- A więc w końcu jesteś, na... - I przerwała. W pokoju, który stworzyli, zamieszkiwali i kochali inni, zobaczyła bardzo młodego i obcego mężczyznę; pokój ten nigdy nie będzie do niego należał. Ujrzała mężczyznę pełnego obaw, udającego, że ich nie ma. - Czy mówiono ci, jak bardzo przypominasz ojca?

- Ja... - Wsadził ręce w kieszenie i pochylił głowę. To pytanie potraktował jak komplement. - Tak pani myśli? Jej ręka ześlizgnęła się z ramienia.

- Jak to jest być w miejscu, do którego się nie należy? Spiał się.

- To znaczy tutaj? W Sleet? Odwróciła wzrok; jej brew drgnęła.

- Aha. Rozumiem - mruknął i wskazał na barek. - Napije się pani... - wyjął ręce z kieszeni. - Nie, oczywiście. Sama sobie pani weźmie.

- Drinka? Tak, poproszę brandy. Chyba nie jestem dziś zbyt uprzejma.

Pozwoliła, aby jej nalał, a sama dorzuciła do ognia, rozrzucając żar. Przez chwilę będzie płonął nie dający ciepła, żółty płomień. Fotel stał się nagle obcy, ponieważ jej okulary nie leżały na swoim miejscu obok; nie było też żadnych teczek do przejrzania ani gazet. Nawet sam fotel wydawał się jakiś inny. Sięgnęła w szczelinę między oparciem a siedzeniem; przed laty wepchnęła tam poduszkę, dzięki czemu wygodniej jej się siedziało. Poduszki nie było. Już jej nie było. Kiedy zdążyli to zrobić? Jakby nie mogli poczekać z usuwaniem śladów po jej dziwactwach. Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu innych zmian. Tak, przestawiono chryzantemy. A może nie? I wcześniej coś jeszcze leżało na biurku. Ale nie, przecież sama to zabrała.

Nacisnęła skronie i oparła wyżej nogi. Po tylu latach, w jej własnym fotelu. Przez palce widziała, jak Leon Kennedy znów staje przy ogniu i patrzy na nią.

- To miejsce jest po to, aby w nim mieszkać - powiedział. - Jest niepodobne do innych miejsc.

- Co? O czym ty mówisz? - Udając, że jest spokojna, rozluźniła mięśnie.
 - O tym, że tu nie należę. Pytała pani.
 - Tak? - To był trik i wiedziała o tym. Zadawało się osobiste pytanie, a potem udawało, że się nie pamięta. Wtedy wydawało się, że rozmówca odpowiada z własnej woli, zdradzając się ze swym upokorzeniem, przyznając się do winy. Ale w oczach Leona Kennedy'ego nie było śladu upokorzenia, jedynie nikły wyraz szczególnej nienawiści. Takiej samej, jaką miała kobieta z Big Bamboo. Delia podniosła się z fotela. - Przepraszam. Oczywiście, że pamiętam. Ale równie dobrze mogłeś to powiedzieć mając na myśli moją pracę.
 - Wiem. - Podeszedł do niej i usiadł na podłodze obejmując kolana. Jest bardzo swobodny, pomyślała. Jak szybko się relaksuje, kiedy mu na to pozwolić. Nawet nie wie, że mogłabym dotknąć jego włosów.
 - A więc według ciebie można żyć w miejscach, do których się nie należy?
 - Właśnie.
 - Ciekawe, czy się z tym pogodzę.
 - Pani nigdy nie będzie w takiej sytuacji. Pani należy do tego domu i tak już zostanie.
 - Czy jest coś, o co chciałbyś mnie zapytać, zanim wyjadę? Są sprawy, o których będziesz tu, w Sleet, musiał wiedzieć
 - Są.
 - Więc słucham?
 - Przypuszczam, że sobie poradzę.
- Wyobraziła sobie, jak wstaje i opuszcza pokój. W jednej chwili.
- Dobrze znałeś swojego... mojego... Francisca?
 - Trochę. Od czasu do czasu odwiedzał nasz dom w Delaporte. Zna pani Delaporte? To przyjemna dzielnica, a moja mama postawiła tam naprawdę piękny dom.
 - Twoja matka odniosła wielki sukces.
 - Chyba tak - odparł, przywołując w pamięci coś mniej wesołego niż sukces. - Tak więc Francis przychodził do naszego domu późno, kiedy mama zdążyła już wrócić z klubu. - Zorientował się, co mówi i spojrzał na Delię. Udając poinformowaną, zaatakowała w jedyny możliwy sposób.
 - Też mu dawała narkotyki, prawda?

- Nie na poważnie. Był załamany. Od czasu do czasu musiał sobie pomóc. Pytała pani, czy ludzie uważali, że jesteśmy do siebie podobni. Ja nie znam jego znajomych, tych, którzy znali jego. Nigdy się mną nie interesował, dopóki dwa lata temu nie skończyłem college[^]. Po raz pierwszy zobaczyłem go, kiedy wychodził z domu o trzeciej, może czwartej nad ranem. Czekałem. Uśmiechnął się do mnie i powiedział: „Cześć, mały”, a potem, bardziej do siebie, rozumie pani, dodał: „Jezus, tak jakbym widział siebie”. Tyle jeśli chodzi o opinie na temat naszego podobieństwa. Dobry autorytet, nie? A może pani tak nie uważa?

- A potem?

- Zadbalem, aby widział mnie za każdym razem, kiedy wychodził. Odwracał się tak często, że widziałem, iż na mnie patrzy. Mówił: „Cześć, mały”, a ja odpowiadałem: „cześć”. - Leon uderzył się w piersi. - Kiedy skończyłem dwadzieścia cztery lata, to samo: „Cześć, mały”. Ale było w porządku.

- To wszystko?

- To wszystko.

Jesteś tutaj, Francisie, prawda? Widzisz, co mi się przytrafia? Jesteś tak blisko. Czy postępuję właściwie? Czy tym razem zostaniesz?

- A więc jesteś, Leonie. - W jej głosie zabrzmiało niedowierzanie.

- Ciągłe to pani powtarza. Tak, jestem.

- Z powodu nalegań matki.

- Wcale nie.

- Gdyby nie było Sleet, czym byś się zajął?

- Pracą społeczną. Terapia rodzinna, trudne dzieci i tak dalej. Śmiać mi się chce z tego, jak się to wszystko potoczyło.

- Jak z wielu innych rzeczy, prawda?

- O tak. Z pani także, tylko proszę mi nie mieć tego za złe. Jest pani zwykłą Angielką. Spotkałem ich tysiące i wszystkie były do siebie podobne, łącznie z głosem. Francuzki, Niemki, Amerykanki. Ale pani, Jezu, panią stworzył sam Bóg.

- Dziękuję ci bardzo. Musisz jednak wiedzieć, że ta zwykła kobieta jest pełna bólu; ta kobieta opuszcza to miejsce z powodu kaprysu własnego męża. Tak więc śmieszna osoba idzie teraz spać. Kiedy skończysz się śmiać, zgaś światła.

- Już wychodziła z pokoju, kiedy nagle popukała się w czoło. - Co ja gadam, co mnie w końcu obchodzą światła?

Wyciągnął do niej rękę.

- Przepraszam. Źle mnie pani zrozumiała. Nie chodziło mi o śmieszność, naprawdę. Proszę ze mną porozmawiać. Niech mi pani opowie o domu na Abacos. Nigdy tam nie byłem, proszę mi opowiedzieć.
- Patrzyła na niego chwilę, po czym podeszła do okna i poprawiła zasłony, nigdy nie dosunięte do końca.
- Ależ oczywiście, że byłeś. Widziałam cię tam.
- Widziała mnie pani? - Stojąc pomiędzy fotelami a kanapą, analizowała swoją drogę po pokoju: dwa kroki w stronę barku, gdzie postawiła szklanke, cztery do okna, trzy z powrotem do wyjścia. - Jak to?
- Nie była w stanie powiedzieć: „Nie pozwolono wam wejść do środka”.
- Byłeś małym chłopcem. Bawiłeś się. Twoja matka także tam była.
- Och, z pewnością. - Jego głos nagle zabrzmiał ostro. - Mama zawsze była ze mną. Dlaczego to właśnie ona stała obok mnie przez całe życie, zmuszając mnie do podejmowania ważnych decyzji... - Delia przystanęła, patrząc na niego. Mówił coraz głośniejszym głosem. - A kiedy przychodziła do mojej szkoły...
- St Andrews?
- Oczywiście, że do St Andrews! I na Uniwersytet Columbia także. Przychodziła, a chłopaki mówili, że jest piękna. Ponieważ była taka piękna, nic nie mogła dla mnie zrobić. Pewnie uważa pani, że mnie rozpuściła i...
- Już dobrze, Leonie. Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie musisz kończyć - pośpiesznie ruszyła do wyjścia. Już zza drzwi dorzuciła: - Dobranoc. Do widzenia.
- Proszę pani?
- Słucham? - Jej głos odbił się echem w hallu. Jeden z psów, zamkniętych w schowku, zawarczał.
- Proszę nie odchodzić.
- Wiatr dmuchnął, zatrzasnął okiennice i zawirował, aby za chwilę rozpocząć stukot od nowa. Na wieży rozdzwoniły się kuranty. Kłoda zamieniła się w żar, tworząc w palenisku następną kupkę popiołu.
- Delia weszła z powrotem do środka, przytrzymując się framugi.
- Co powiedziałaś?
- Powiedziałem „proszę nie odchodzić”.

Obiegła wzrokiem cały pokój i fałdy zasłon w poszukiwaniu czegoś znajomego, ale nie było w nim nic, co dodałoby jej otuchy. W chwili, kiedy go opuściła, zmienił swój wygląd i przestał być bezpieczny. Poczwała, jak zbiera się w sobie, a jej ciało tężeje.

- Bardzo mi przykro, Leonie. Jest już późno, a ja wyjeżdżam bardzo wcześnie.

- Nie to miałem na myśli, proszę pani. Chodziło mi o to, żeby pani nie wyjeżdżała. Sam nie dam sobie rady.

XI

Stało się. Sprzątnęli stoliki z ogródka. Można to zrozumieć; jest za zimno i żaden normalny człowiek nie będzie siedział na zewnątrz. Wolne krzesła są takie wilgotne, nie wyglądają zachęcająco. Poza tym leje deszcz i nawet ja nie mogę siedzieć na dworze. Jeszcze nie weszłam do środka, ponieważ chcę to zrobić dopiero wtedy, gdy kupię jedwabny bukiet dla starszej pani. A na to jeszcze nie jestem gotowa - na zawarcie znajomości. Zostanę więc na zewnątrz, gdzie jestem widoczna i łatwo mnie znaleźć. To, co robię teraz, i każdego ranka, to spacer. Tak samo wieczorem. Chodzę do dzielnicy Quai du Port, która jest stara i uboga. Idę więc, rozmyślam i wracam do swojego pokoju, gdzie, siedząc przy oknie, dalej próbuję poskładać swoje myśli.

Ile razy modliłam się o niemożliwe? Żeby jeszcze raz przeżyć ten wieczór z Francisem - nie cały, tylko ten moment, w którym stałam w drzwiach, a on mówił „Nie odchodź, nie odchodź” - i nie odejść. Moja historia miałaby zupełnie inny finał.

Śmieszne, że tak zwane punkty zwrotne następują niepostrzeżenie, i jedynie patrząc wstecz można stwierdzić, że w ogóle były.

Tej nocy zasypiałam mówiąc „Dzięki Ci, Boże, dzięki Ci, Boże” i wyobrażając sobie, jak pokazuję Leonowi pola i wzgórze, uczę go kochać to, co sama kochałam. Tylko tego zawsze chciałam. Tym razem moje marzenia miały się wypełnić.

O siódmej rano Delia wypuściła na dwór psy, celowo krzycząc na nie ile sił, aby jej głos mógł się przebić przez okno i ciężkie zasłony północnego pokoju.

Leon Kennedy nie zszedł na dół. O siódmej trzydzieści uruchomiła silnik swojego subaru i dopiero wtedy wybiegł z domu.

- Wsiadaj. Jesteśmy spóźnieni. - Udawała, że nie widzi Davida Rosena, który pojawił się na schodach w chwili, kiedy właśnie odjeżdżali. Udali się na miejsce, w którym przed rozpoczęciem pracy zbierali się wszyscy ludzie. Była przygotowana, że obecność Leona wywoła wrogość. Dobrze, powie im, żeby odeszli, jeśli muszą, ale bez obrazy, czy to jasne? Nie będzie Franka Grimwooda, spotka się z nim później. Zdziwi się, to pewne, przecież w piątek powiedziała im do widzenia. Przyglądała się Leonowi, który siedział obok niej w samochodzie, ale tak, aby się nie zorientował. Czy on w ogóle zdawał sobie sprawę, gdzie jest? Był półprzytomny.

Kiedy zbliżyli się do warsztatu w Świniami - od czasów dziadka nie mieszkały w niej żadne świnie - zobaczyła grupkę mężczyzn. Stali odwróceny do niej i nie przejawiali żadnego zainteresowania.

- Tak, no cóż, to znowu ja - powiedziała, nagle onieśmiewiona. - Zostaję jeszcze trochę, aby pomóc panu Kennedy'emu.

Ich owacja nie była może głośna, ale ją ucieszyła. Nie spodziewała się owacji. Poklepała się po kieszeniach, jakby szukała zapalniczki.

- A więc to jest Tom Sutcliffe, Stuart Macdonald. Alec rok temu skończył college, Donald jest mechanikiem, Warren...

- Cześć, Tom - powiedział Leon Kennedy. - Stuart, miło cię poznać. Cześć, Alec, witaj, Donald. Serwus, Warren. Każdy z mężczyzn spoglądał Kennedy'emu prosto w oczy, dopóki ten patrzył na niego. Kiedy zaczął się witać z kolejnym mężczyzną, poprzedni mierzył go wzrokiem od stóp do głów. Oceniali i osądzali, udając jednocześnie, że są zajęci drapaniem się po brodzie, dłubaniem w nosie i zacieraniem rąk. Delia zastanawiała się, który z nich pierwszy powie coś o nim na głos.

- No dobrze. - Stała w drzwiach warsztatu, mając za plecami zbiornik z nawozem, zastawiony tonowymi workami. - Mamy teraz sezon ogórkowy, Leonie. Taki jest styczeń na farmie. Najlepiej będzie, jak każdy zajmie się tym, co ma do zrobienia, a pan Kennedy będzie pytał, o co zechce.

Stał pomiędzy robotnikami a Delią, zwrócony do niej. Choć twarz miał prawie całkowicie zasłoniętą kołnierzem podbitej puchem parki, kiwnął głową i poruszył brwiami w taki sposób, że wszyscy się uśmiechnęli.

- W porządku? - Była zakłopotana.

- Tak, proszę pani. Jeśli chodzi o mnie, tak - odpowiedział Leon

Kennedy. - Jeśli nie będę czegoś wiedział, zapytam. Na przykład: co to jest to, przy czym pani stoi?

- To? To jest taki walec, którego się używa po obsianiu pola. Dzięki niemu ziemia wygląda porządniej. To jest kosiarka, kombajn i pług - wskazała urządzenia, stojące na zewnątrz.

- A te białe worki?

- Ach, to jest mocznik, Leonie. Mocznik.

- Naprawdę? Fajnie. Roześmieli się. Delia nie zrozumiała.

- Dobrze. A teraz do roboty. Tom, co dzisiaj robisz?

- Będę orał Górne Pole. Jęczmień.

- To dobrze. Ach nie, nie możesz. Zadzwonili w sobotę rano i powiedzieli, że za reperację traktora chcą trzy tysiące, a tylko ten wytrzyma tak długą pracę. Trzy tysiące to dla nas za dużo. Będziesz musiał troszkę poczekać, a tymczasem trzeba się zająć ogrodzeniem. - Tom parsknął. - Wiem, wiem - odpowiedziała. - Nie możemy dłużej czekać. Martin, Warren, to wy pracujecie przy płocie, no tak. Tom wam pomoże. Jakies pytania, Leonie? Zadowolony?

- Bardzo.

Mężczyźni pokręcili się jeszcze chwilę, aż w końcu się rozeszli.

- Do zobaczenia, chłopaki! - zawołał za nimi Leon. - Zreperuje-my ten traktor, Tom, nie ma problemu.

Tom podniósł rękę.

- Dzięki.

Ktoś inny odpowiedział:

- Do zobaczenia.

- Dobra, do zobaczenia. - Mężczyźni odeszli, pokaszując.

- Są w dobrych nastrojach - orzekła Delia, kiedy jechali w stronę obór. - Oczywiście są ciebie ciekawi.

- Oczywiście. - Wychylił się przez okno. Była pewna, że czaruje krajobraz wzrokiem, tak samo jak hipnotyzował chłopców marszczeniem brwi. W ten sposób zjednywał sobie pola, plantacje świerków. Chciała, aby uświadomił sobie całe piękno tej ziemi, ale on przyglądał się jej beznamiętnie, zwracając się do Delii z samymi praktycznymi pytaniami.

- Tych dużych jest chyba z piętnaście. Dlaczego tak leżą przewrócone? Taka szkoda. Aż serce się kraje - powiedział na widok zwalonych w parku dębów.

- To wina huraganu. Nie ma pieniędzy, ażeby je porąbać, potrze-

ba dobrej maszyny. Drogo kosztuje, więc tak już zostały. Mamy tutaj pięćset akrów lasu. Już chyba o tym wiesz, prawda?

- Tak. - Rozplótł ręce i ciasniej otulił się kołnierzem. Odplynał. Pomyślała, że myślami jest teraz w jakimś bezpiecznym miejscu.

Mike stał w boksie, pomiędzy dwoma rzędami krów. Nie zdziwił go widok pani Sutherland. Zanim zdążyła coś powiedzieć, zakrzyknął gniewnie:

- Mamy kłopoty, proszę pani. Jak tak dalej pójdzie, cena naszego mleka spadnie jeszcze niżej. Musimy zmienić dojarki.

- Wiem, Mike. Jak tylko dostaniemy czek.

- To samo powiedziała pani w ubiegłym miesiącu.

- To jest pan Kennedy.

- A tak. - Mike wytarł rękę szmatą, wyciągniętą z kieszeni zielonego fartucha. - No tak, przez chwilę o tym zapomniałem. Teraz to pana sprawa, prawda? Nie będziemy sprzedawać mleka, jeśli nie zmienimy dojarek. I tyle.

- Jezus, pieniądze, pieniądze, pieniądze - powiedział Leon Kennedy, wychodząc z mleczarni. - Naprawdę wam ich potrzeba.

- Właściwie nie nam, Leonie. Tobie. - Przez kilka minut delectowała się tą myślą.

Kiedy zapukała do drzwi ciepłej kuchni Franka Grimwooda, ten właśnie jadł śniadanie.

- Dzień dobry, Frank. Nie wstawaj i nie dziw się, że mnie widzisz. Zostałam, żeby pomóc panu Kennedy'emu zdomować się tutaj. - Wsadziła do kieszeni rękawiczki i przyłożyła zmarznięte dłonie do uchwytu pieca.

Frank Grimwood nawet nie drgnął. Nie spojrzał też na nich, poza tym, że szybko otaksował wzrokiem stojącego w drzwiach Kennedyego.

- Przyszłam więc, aby ci go przedstawić. Leonie, to jest Frank Grimwood, nasz zarządca.

- Myślałem, że pani wyjechała - powiedział Frank, zanim Kennedy otworzył usta. - Do Szkocji, prawda?

- Jak już powiedziałam, zostanę jeszcze trochę. Pan Kennedy przyjechał wczoraj wieczorem. Poznał już niektórych pracowników.

Odsunąwszy talerz Grimwood zaczął kręcić młynka palcami. Milczał.

- Dzień dobry, panie Grimwood. - Leon Kennedy podniósł rękę w geście pozdrowienia. Żadnej reakcji. Delia Sutherland zaczęła zakładać rękawiczki, analizując nieoczekiwany gniew, jaki poczuła w związku z Grimwoodem. Czyż nie był tym człowiekiem, którego znała? Któremu ufała? Czy nie z nim razem wychowywała się w Sleet, kiedy zarządcą był jeszcze jego ojciec?

- Czy chcesz coś powiedzieć panu Kennedy'emu, Frank? Na przykład to, co mówiłeś mi kilka tygodni temu? Co zamierzasz? Nie poruszałeś ponownie tego tematu.

- Powiem, jak już będę gotowy. Nie wcześniej.

- W porządku - odparł Kennedy. - Jak będziesz chciał o czymś pogadać, wiesz, gdzie mnie znaleźć. - Zatrzasnęła za sobą drzwi, które zazgrzytały na czerwonej, wyłożonej kafelkami podłodze.

- Nie wiem, co powiedzieć, Frank. To nie było miłe z twojej strony. - Nie chciała, aby to zabrzmiało ostrzej niż koleżeńską wymówką.

- Byłbym wdzięczny, gdyby zajęła się pani własnymi sprawami. Zaszło jej w ustach. Chciała przełknąć ślinę, ale gardło miało zaciśnięte.

Kiedy wracali, patrzyła na pola, lasy, przydrożne rowy i Leona Kennedy'ego. To nie moja wina, myślała, będzie musiał się przyzwyczaić. Z innymi chłopcami poszło lepiej. Taki człowiek jak Frank ma prawo czuć się tak, jak się czuje. Takie jest życie. Za chwilę będzie musiała coś powiedzieć, żeby przerwać tę ciszę.

Pięć minut później zajechali przed dom. Musiała go szturchnąć, żeby się obudził.

- A śniadanie? - zawołała za nim, widząc, że wybiera się na górę.

- O Boże, nie. Jest za wcześnie. Muszę iść spać.

- Jak to spać?

- Siódma trzydzieści to dla mnie za wcześnie. Potrzebuję więcej snu.

- Wielkie nieba. W takim razie do młyna pojedziemy o jedenastej. Spotkamy się tam z Hollandem Mayem. David Rosen patrzył na jajecznicę na talerzu, usmażoną przez panią Files.

- Ty wciąż tutaj, Delio?

- Zmieniłam plany. - Wychyliła się przez drzwi dla służby. - Curtis? Dzień dobry. Zostaw mi pierwszy kufer w pokoju, dobrze? - Usiadła obok Rosena z filiżanką kawy i jabłkiem. - Nie lubisz jajecznicy?

- Nic nie rozumiem. A co ze Szkocją? I z małym majątkiem, o który dopiero co prosiłaś? Owcami?
 - Jest tam mały domek i nieuprawna ziemia. Na razie nie ma owiec. To może poczekać.
 - On ciebie nie potrzebuje, Delio. Popełniasz błąd.
 - Wczoraj wieczorem powiedział, że sam nie da sobie rady. Oczywiście, że nie. A ty, Davidzie, mimo najszczerzych chęci, nie możesz go tego nauczyć. Tylko ja będę w stanie to zrobić.
- Rzucił jakieś słowo zza parawanu swojej gazety.
- Słucham? - spytała zza swojej.
 - Nie, nic.
 - No cóż - powiedziała, spoglądając na zegarek. - Muszę lecieć. Zostaniesz na lunch?
 - Nie, ale poczekam na Leona. Chcę z nim zamienić słówko. Leon Kennedy nie zszedł na dół do południa, więc Rosen zostawił mu w hallu na stole list i wyjechał do Londynu.
- O jedenastej Delia natknęła się na Curtisa, który chwiejnym krokiem wchodził po schodach, niosąc tacę. Obydwoje zignorowali fakt, że wczoraj powiedzieli sobie do widzenia.
- Nie upuścisz? Co to takiego?
 - Śniadanie pana Kennedy'ego, panienko - ruszył, widząc wyraz jej twarzy.
- W porze lunchu znalazła Leona w salonie. Miał na sobie tweedo-wą marynarkę, cienką koszulę i krawat - ale inne, niż poprzedniego dnia.
- Ach, to pani - rozbroiło ją zadowolenie, z jakim to powiedział.
- Dzisiaj nie był już tak podobny do Francisa. W jakiś nieuchwytny sposób przestał nim być: może z powodu młodego wieku jego obecność nie przesycała jeszcze atmosfery tak, jak kiedyś obecność Francisa.
- O co chodzi? Dobrze się pani czuje?
 - Tak. Tak. Oczywiście. Dlaczego miałabym się źle czuć? Gdzie byłeś o jedenastej?
 - Zasnęłam. Czy to przestępstwo? - Jakby mówił o czymś innym.
 - Nie spotkałeś się z Hollandem Mayem, moim leśnikiem.
 - Złapię go jakoś.
 - Zmęczenie, prawda? Zawsze tak sypiasz?
 - Ale nie dłużej.
 - Próżniak.

- Jak to chłopak - odparował. W ten sposób zwiększył dzielący ich dystans, nie robiąc żadnego ruchu. Na lunch zjadł niewiele. No tak, przecież dopiero co zjadł śniadanie - pomyślała. Powiedziała mu o nowym ogrodzeniu pod napięciem, które właśnie kończono, oraz o dziesięciu akrach żonkili, które uprawiano raczej dla eksperymentu niż dla zagospodarowania ziemi.

- Zagospodarowanie? Czy to jest jakaś metoda użyźniania?

- Nie, chodzi o to, że rząd płaci wtedy, gdy nie zbierasz plonów z pola.

- Płaci za to, że nie zbierasz?

Zainteresowało go to bardziej niż wysokie napięcie i same żonkile, więc usiłowała mu wyjaśnić szczegóły, aż wreszcie się znudził.

- Mogę pożyczyć od pani samochód na wyjazd w miasto?

- Leonie, u nas nie jeździ się „w miasto”.

- Nie? - Gwałtownie odepchnął się od stołu, jak zeszłej nocy, gdy stracił cierpliwość. Wzruszył ramionami, założył ręce na piersi, rozplótł je i zaczął nerwowo stukać w blat. - Nie jeździcie w miasto? Jezu, ja nie rozumiem. Jak możecie nie jeździć do miasta?

- Nie o to mi chodziło. Mówię, że nie jeździmy „w” miasto, tylko „do” miasta, albo używamy nazwy.

Odrzucił głowę do tyłu, powstrzymując wybuch śmiechu, który po chwili dobiegł ją z hallu.

- Ale z pani numer.

- Możesz pożyczyć samochód, ale później spotkamy się biurze, gdzie pokażę ci, jak wypełniać faktury VAT.

- Brzmi to oschle.

- Hej! - zawołała za nim. - Nie znasz drogi do miasta!

- Nie szkodzi, Curtis powiedział, że ze mną pojedzie!

Trzask drzwi wejściowych. Delia Sutherland została na miejscu. Próbowwała dociec, co też obcego czuje w głębi duszy. Może należałoby się przeświecić promieniami X, aby się dowiedzieć?

Zegar w hallu wybił dwa kwadransy, potem trzy, drugą, a ona wciąż siedziała. Próżność? Czy David też użył tego słowa? To nie wyglądało na niego. Bezwiednie przyglądała się swoim dłoniom, tak jak w Big Bamboo. Grube żyły przypominały wijące się w konwulsjach robaki - duże, przepracowane ręce. Ukryła je między długimi udami.

Pani Files stanęła niezdecydowana z tacą, widząc Delię siedzącą nadal w tym samym miejscu. Była druga trzydzieści.

- Pani Files, co pani zrobiła z włosami?
- Co zrobiłam? Już chyba ze dwa miesiące temu - odparła beztrąsko.
- Wygląda tak pani o wiele młodziej.
- Właśnie tak mi mówiono. I młodziej się czuję.

Wspaniałe włosy zniknęły, a ona nawet nie zauważyła. Nawet w sobotę, kiedy się żegnały. Co ślepemu po oczach? Pani Files miała rodzinę, która ją kochała, pragnęła ją mieć częściej dla siebie i cieszyłaby się, gdyby pani Files przeszła na emeryturę.

- Dwa miesiące temu? Naprawdę? Zabawne. Kolacja będzie dla dwóch osób.
- Wiem.
- Skąd?
- Pan Kennedy przyszedł do kuchni i mieliśmy rozmowę.
- Rozmowę?
- O jedzeniu i takich tam. Był zainteresowany. Czyli wszystko w porządku. Powiedział tylko, że ma być o ósmej trzydzieści, a nie o siódmej trzydzieści.
- To śmieszne.
- Więc o której podać?
- Oczywiście wpół do ósmej.

Pani Files w odpowiedzi wzruszyła ramionami, stawiając tacę na kredensie. Delia chciała zapytać: „Więc kiedy idzie pani na emeryturę?”, ale wiedziała, że usłyszy: „A kiedy pani wyjeżdża?” Wobec tego nie powiedziała nic. Po raz pierwszy zauważyła, że pani Files ma piękne ręce, o długich palcach i gładkiej skórze, poruszające się z wdziękiem przy pracy. Trzydzieści pięć lat nie zwróciła uwagi na jej dłonie. Rodzina, dla której jest młoda i ma piękne ręce.

- Powiedziałam, siódma trzydzieści.
- Słyszałam.

Później Delia Sutherland siedziała w biurze, w blasku świetlówek, przy biurku. Ściany w kolorze żółtka obwieszane były kalendarzami kupieckimi, wykresami i różnymi fotografiami jej samej (ubranej w biały płaszcz, z uwiązany bykiem, którego głowę przystrojono rozetkami) z czasów, kiedy hodowała herefordy (młode byki o białych łbach i czerwonym tułowi). Szafeczki i krzesła były połączeniem powojennej praktyczności i najtańszej, nowoczesnej sklejki.

Minęła piąta i Leon Kennedy nie próbował jej znaleźć. Wiedziała, że wrócił z miasta, widziała wcześniej przez okno. Zatelefonowała Muriel.

- Co się dzieje, Delio? Dzwonię do domu, żeby się dowiedzieć, czy wyjechałaś i czy wszystko w porządku, a Curtis mówi, że zostałaś. Co się stało?

- Postanowiłam zostać jeszcze trochę, żeby go tu zadomowić. Długa przerwa.

- Rozumiem. - Znów długa przerwa. - Przyjdiesz do mnie niedługo, tak? Powiesz mi, co zamierzasz?

- No jasne. Cześć.

Spacer z psami potrwał do szóstej trzydzieści. Potem, do w pół do ósmej siedziała w swoim pokoju. Kiedy szła na kolację, z salonu dobiegła do jej uszu muzyka. Dawno nie słyszała muzyki.

Jedzenia na stole nie było, a kiedy nacisnęła dzwonek, nikt nie przyszedł. Wcześniej nigdy nie spóźniano się z kolacją. Obeszła stół. W mroku śledziły ją spod kredensu dwie pary psich oczu.

- Zostańcie, chłopcy. - Wyszła.

- To pani! Czekałem na panią. Miło panią widzieć. Proszę spojrzeć. - Leon Kennedy wyciągnął rękę. - To dla pani. Pokój wypełniały białe róże. Jedną trzymał w ręce.

- Kolacja jest o siódmej trzydzieści.

- Powiedziałem, że ma być o ósmej trzydzieści, proszę pani. Robi mi się niedobrze od tego jedzenia, a to wcale nie jest śmieszne. Niech pani da spokój. Podobają się pani? Róże?

- Śmieszne? Nie śmieszne? Oczywiście, masz chęć na zabawę, ponieważ cały dzień nic nie robiłeś. Gdzie byłeś całe popołudnie? Nie masz w ogóle poczucia odpowiedzialności?

- Kupowałem samochód. I róże dla pani.

- Cóż, w naszych własnych szklarniach zawsze były kwiaty.

- Taak. Ale już nie ma. I nie będzie. A oto kwiat, proszę pani. Piękny, żywy kwiat. - Zbliżył się do niej, podając różę.

- Nie podchodź. - Nie chciała powiedzieć tego tak głośno. Ani tak ostro.

Rzucił kwiat na ziemię.

- Kolacja podana - oznajmił Curtis, zanim Leon zdążył coś powiedzieć.

- Co takiego? - aż podskoczyła. Zobaczywszy w drzwiach Curtisa wiedziała, że nie musi powtarzać.

Odkąd to mają miejsce takie oficjalne zwyczaje? Od ilu lat przychodziła do jadalni o ósmej trzydzieści, dwunastej trzydzieści i siódmej trzydzieści, aby zjeść posiłek, który tam na nią czekał? Jeśli miała jakiegoś gościa, zawsze była to tylko jedna osoba, a godziny nigdy się nie zmieniały.

Kolację rozpoczął suflet serowy. Delia nie miała pojęcia, że pani Files potrafi przyrządzić suflet. Różowe kotlety jagnięce pachniały rozmarynem i koniakiem; podano sorbet malinowy oraz melbę z ziemnymi orzeszkami i biszkoptami. Zjadła bez komentarza; dla psów nic nie zostało.

- Idę do siebie. Dobranoc.

- Przecież jeszcze nie ma dziewiątej. - Leon Kennedy wyszedł za nią na korytarz.

- Niektórzy są dzisiaj na nogach od szóstej trzydzieści. Poza tym chciałabym sobie poczytać. I tak właśnie zrobię. Pójdę na górę i poczytam.

- Dlaczego jest pani na mnie zła?

- To nic nie da, Leonie. To, że zostałam.

- Proszę tak nie mówić. Da. To dopiero pierwszy dzień.

- Czekałam dzisiaj dwa razy, a ty się nie pojawiłeś. Dwukrotnie chciałam ci powiedzieć, jakie są twoje obowiązki w tym miejscu.

- Jest jeszcze jutro. Teraz mamy wieczór. Czas na odpoczynek i rozmowy. Niech pani zostanie i opowie mi, jak było na Aba-cos.

- Nie chcę. Nie ma nic do opowiadania. To Sleet powinno cię interesować, ale widocznie tak nie jest. Dobranoc.

- Niechże pani tutaj wraca! - zawołał. - Niech pani wraca i ze mną rozmawia!

- Nie będziesz podnosił na mnie głos w moim własnym domu - od ścian odbiło się echo ostatniego słowa.

- Ten dom nie należy do pani.

- W takim razie w twoim domu. Co za różnica? Teraz ty jesteś za niego odpowiedzialny. - Psy tęsknie zawyły za swoją panią. - I zamknij w budzie te cholerne psy.

W tej sytuacji pierwszy dzień zakończył się dla mnie bezsenłą nocą. Leżałam w łóżku, a do moich uszu dobiegały dźwięki znajomej muzyki. Tak jak przed laty słuchałam jazzu, tych samych nagrań, które puszczała moja matka.

Zasnęłam w końcu, a kiedy się obudziłam, w domu panowała głucha cisza; eksplozja gniewu, która nim wstrząsnęła, wreszcie ucichła. Wydawało mi się, że słyszę śpiew ptaków, mimo iż niebo nie pojaśniało. Przedtem także je słyszałam, odległe, a jednocześnie bliskie, ale nigdy nie w nocy. Może to nietoperze? Wyjrzałam przez okno, ale nic nie zobaczyłam. Właśnie wtedy usłyszałam nowy dźwięk: dochodził z wnętrza domu. Ciche zawodzenie, głośniejsze niż śpiew ptaków i świst przeciągów.

Wiążąc mocniej piżamę, z rozpuszczonymi włosami opadającymi na oczy, dotarłam do drzwi pokoju północnego. To właśnie tam przywiódł mnie odgłos instrumentu, grającego znajomą melodię. Nie mogłam sobie przypomnieć jej tytułu. Grał ją, zacinając się w jednym miejscu, i znów powtarzał od początku. Nagle udało mu się wykonać ją w całości. Nadal nie wiedziałam, co to za piosenka i jaki instrument. Tak usilnie łamałam sobie nad tym głowę, że rano, spotkawszy Curtisa, który froterował podłogę w hallu, zapytałam:

- Słyszałeś w nocy, Curtis? Co to było?

- Muzyka, panienko. - Nawet na mnie nie spojrział.

- Wiem, że muzyka. Wiem. Tylko mi nie mów, że nie mam ucha. - Wyszłam przed dom.

Zapamiętałam to zdarzenie. Wtedy, pod północnym pokojem, usłyszałam nuty tak przepelnione żalem, iż zatkałam uszy, aby ich nie słyszeć. Pobiełam do pokoju, rzuciłam się na łóżko i przykryłam głowę poduszką.

- Curtis? Curtis, gdzie są psy? Mówiłam panu Kennedy'emu, aby wieczorem zamknął je w budzie. Nie ma ich tam. Przeszukałam dom, ogród; pobiegłam też do Franka Grimwooda i przerwałam mu śniadanie. Czy widział psy? Nie, nie widział.

- Idź do niego - powiedziałam do Curtisa i wskazałam na schody. - Obudź go. Chcę wiedzieć, co zrobił z moimi psami. - A kiedy wrócił, spytałam: - i co? Obudziłeś go?

- Nie, panienko.

- O Boże, Curtis, co z tobą? Chcę wiedzieć, co, u diabła, stało się z psami.

- Śpią z nim w łóżku, panienko.

Zanim odeszłam, zauważyłam, że ma na sobie coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam.

- Co to jest to miedziane, co nosisz na ręku? Masz reumatyzm? -zapytałam, choć i tak wiedziałam, co odpowie.

- Nie panienko. Nie mam reumatyzmu. To od pana Kennedyego. Czy nie jest ładna? Niech panienka zobaczy, co na niej wygrawerowano. Może myślał, że dzięki temu będę szybciej śmigał na górę z jego śniadaniem - puścił do mnie oko.

Grał co noc w swoim pokoju. Podsluchiwałam, nadal nie wiedząc, co to za instrument i melodia, którą wciąż powtarzał.

Raz wyszedł z pokoju i rozejrzał się po korytarzu. Serce zamarło mi w dzieciennym strachu. Skuliłam się w głębokiej wnęce drzwi trzeciego pokoju północnego. Kiedy powrócił do gry, zostawił drzwi uchylone. Widziałam go, rozebranego do pasa, z pochyloną głową. W rękach trzymał klarnet. Oczywiście, oczywiście, to klarnet. Z jego pokoju biło straszliwe gorąco, i mieszając się z powietrzem na zewnątrz, tworzyło jakby inną niż w pozostałych częściach domu atmosferę. Curtis skorzystał z tego i postawił na stoliku w korytarzu ciepłolubną azalię, żółtą, o cierpkim zapachu. Później Leon już zawsze otwierał drzwi; stał w tym samym miejscu, z którego mogłam go widzieć, i grał.

Nigdy nie byłam pewna, czy wie, że na niego patrzę. Być może tak jak jego matka zdawał sobie sprawę z własnej urody i chciał być podziwiany, aczkolwiek nic w jego zachowaniu nie wskazywało na próżność. Podziwiałam go i wspominałam Francisa; jaki był, jak to było czuć się przez niego dotykaną. W nocy, gdy Leon kończył grę i zamykał drzwi, leżałam w łóżku, zakłopotana siłą moich zaniedbanych zmysłów.

Tydzień później postanowiłam rano wyjechać. Napisałam do Leona liścik i zostawiłam go na stole w hallu. Znajdzie go, kiedy Bóg wie o której godzinie zejdzie na dół. Potem poszłam na śniadanie.

Zobaczyłam go przez drzwi do jadalni. Stał przy oknie, czytając przy świetle gazetę. Wolną rękę opierał na biodrze, tak znajomym, zmysłowym, ale mimowolnym gestem. Widocznie nie usłyszał otwieranych drzwi i stał dalej, aż wreszcie powoli, nie przerywając czytania odwrócił w moją stronę głowę i uśmiechnął się.

- To pani.

Zapomniałam o liściku, a on znalazł go później i podszedł do mnie zrozpaczony.

- Pani wyjeżdża? Wyjęłam mu kartkę z ręki.

- Nie. Zmieniłam zdanie.

- Potrafiłaby pani? Wyjechać, zostawiając tylko liścik? Tak po prostu?
- Proszę cię, Leonie. Zapomnij o tym. Wymaż to zdarzenie ze swojej pamięci.
- Mogłaby pani. Potrafi to pani, prawda? Proszę obiecać, że nie zrobi pani tego w taki sposób. Proszę obiecać. -
Patrzył na mnie z takim niepokojem i współczuciem, że musiałam odejść.

Nie, nie wyjechałam. Ani wtedy, ani później, mimo niezliczonych ku temu okazji, które rozważałam. Nie wyjechałam, ponieważ mieszkałam z Francisem. To Francis śmiał się z odchyłoną głową, wyrażając całą radość świata; Francis z naręczem kwiatów, namawiający mnie, abym je powąchała. To Francis - wspomnienie o tym było bolesne - dotykał oka wierzchem dłoni. Raz kiedy to zrobił, zaszyłam się w jakimś ciemnym kącie. Chudzielec płakał; płakał tak, jak powinien płakać całe lata wcześniej.

Dla reszty świata byłam oczywiście zajęta, pewną siebie panią Sutherland. Świat nie widział, jak moje opory topnieją z każdym dniem.

Z wdzięczności za to, co w moim przekonaniu otrzymałam od Boga - swoją drugą szansę - ignorowałam znudzenie Leona i opowiadałam mu o dokumentach. W podobny sposób zignorowałam prośbę Muriel, aby do niej zadzwonić, a także obecność Leona na ostatnich zebraniach famerów i ludzi ze skupu mleka; ignorowałam jego brak zainteresowania sprawami istotnymi w zarządzaniu miejscem takim, jak Sleet. Zamiast tego wykluczyłam go ze swojego życia i sama się tym życiem zajęłam. Tyle tylko, że nie było to prawdą.

Nic nie było takie, jak przedtem, z powodu jego obecności, i gdyby nie mój protekcyjny ton, nie umiałabym zatuszować wewnętrznego zakłopotania, które we mnie narastało. Jedyнным sposobem na nie byłby wyjazd. Nie potrafiłam wyjechać.

Zamiast tego starałam się go unikać, czasami przez cały nawet dzień i większość wieczora, tylko po to, aby potem, pod wpływem pragnienia, siły lub słabości, czy Bóg wie czego jeszcze, zdecydować się na spotkanie z Francisem. Odnajdywałam później mojego niszczyciela marzeń - nigdy nie był zbyt daleko - i wracałam do przeszłości, którą chciałam naprawić.

Szczególnie zapamiętałam jedno zdarzenie. Nie jestem pewna, ale chyba wtedy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że Leon jest sobą,

a nie kimś innym. I że to on sam, na swój własny, pełen dostojeństwa sposób, wyciąga do mnie rękę. Zewnętrzne drzwi biura trzasnęły, a środkowe otworzyły się z trudem, trąc sztywnymi ze starości szczotkami, uszczelniającymi je od przeciągów.

- Ach, tu pani jest. - Leon Kennedy oparł się o drzwi, zamykając je z hukiem. Patrzył na nią.

- Racja, Leonie. Tutaj jestem. Co za punktualność! Znamienne, nieprawdaż? - Poprawiła okulary, sięgnęła po dokumenty, leżące po lewej stronie, i podała mu je do ręki; wszystko bez jednego spojrzenia.

- Co to takiego? - przekartkował papiery.

- Podanie o modernizację zbiornika jra gnojówkę w oborach. Wiem, że już ci o tym mówiłam. Podpisz się tutaj, na dole.

Położył dokument tuż przed jej nosem i nachylił się z długopisem, zmuszając ją do odsunięcia się w tył. Złożywszy podpis podniósł głowę, a wówczas ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie. Nie zmienił pozycji. Jego skóra pachniała mydłem i świeżą ziemią.

- Jest jeszcze jedno biurko, Leonie. Nałożył skuwkę na długopis.

- Aha.

- Ustalałam także daty polowań. Pierwsze będzie we wrześniu, odstrzał kuropatw, potem bażanty w listopadzie. Najbardziej dochodowe są jednodniowe. Nie biorę już w nich udziału, ale... czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Narysowała pani krowy? - wskazał leżące przed nią karty.

- To dziewiczy gatunek. Popatrz, tutaj jest lewa strona, tu prawa, a tutaj przód. Zaznaczyłam jałówki krów fryzyjskich i wysyłam je do Stowarzyszenia Hodowców Bydła. Tam były rejestrowane.

- Znasz tak dobrze każdą sztukę? To jest coś, to jest naprawdę coś.

- Wie się co nieco. - Patrzyła, jak Leon segreguje plik kart, przez chwilę zaintrygowana.

- Idziemy na spacer? - zapytał.

- Nie bądź głupi, jest ciemno.

- A Bung i Ho lubią spacerować?

- Nie po ciemku, Leonie. Tego nie lubią.

- Szukałem pani, kiedy jeszcze było widno.

- Miałam zebranie zarządu szkoły. W przeciwnym razie byłabym tutaj. Co robiłeś od lunchu?

- Uciałem sobie drzemkę. Czytałem trochę. Pojechałem w miasto załatwić kilka spraw.

Nie myślałam o tym wydarzeniu aż do dnia, który nadszedł rok później.

Leon żył w świecie przechodzącym moje najśmielsze wyobrażenia. Zawsze przez przypadek natykałam się na niego, kiedy rozmawiał z ludźmi, których znałam prawie całe życie. Opowiadał im o swoich sprawach, w których nie brałam udziału.

Pewnego późnego popołudnia, kiedy szłam do psiej budy z miskami, mijając jasne kuchenne okno przystanąłam, słysząc jakieś głosy. Ze swojego miejsca widziałam głównie aluminiowe rondle, wiszące nad piecem. Na ścianie za szkłem stały miedziane garnki i formy do puddingów, których nigdy nie widziałam używanych. Nad stołem, przy którym siedziała pani Files, wisiały trzy białe, okrągłe lampy, których szklane klosze pokrywała warstwa tłuszczu. Pani Files coś siekała, a raczej szatkowała, przytrzymując ostrze noża ręką i zataczając nim łuk. Miała przechyloną głowę. Z przeciwległego kąta słyszałam śpiew i jęki. Musiała być tam Megan, zniedołężniała ciotka pani Files, którą to zawsze zabierała ze sobą do pracy, kiedy nie miał się kto nią zająć.

Nagle w zasięgu mojego wzroku, jakby wystrzelając spod ziemi, pojawiła się jakaś ręka. Błysnęła czymś purpurowym. Odsunęłam się od okna. Stojąc pod niskim cisowym żywopłotem, mogłam zobaczyć znacznie więcej. Leon leżał na plecach na stole. Miał skrzyżowane nogi, a wokół niego trwały przygotowania do kolacji. W wyciągniętej do góry dłoni trzymał bakłazana.

- Przysięgam, Margaret - mówił - nie żartuję. To był ten, taki duży. Wyglądał tak samo.

Pani Files podniosła ścierkę, wytarła w nią twarz i śmiejąc się rzuciła ją w niego z udawanym oburzeniem. Margaret. Mówił do niej Margaret.

Weszłam do środka. Teraz myślę, że wtedy też chciałam wziąć udział w zabawie, ale wiedziałam, że moje wejście ją przerwie. Nic się jednak nie zdarzyło, bo kiedy znalazłam się w korytarzu, on właśnie zamykał za sobą kuchenne drzwi.

Na jego twarzy nie było śladu ciepła ani humoru; nie nosiła żadnych oznak wesołego spotkania z panią Files, które miało miejsce sekundę wcześniej (nigdy nie mogłabym myśleć o niej jako o Margaret).

Wtedy po raz pierwszy go zrozumiałam. To, co zdarzyło się w kuchni, było wykalkulowaną gierką, flirtem, który najpierw rozpoczynał, a potem kończył, by zająć się czym innym. Wiedział, co robić i kiedy działać, aby otrzymać więcej niż dał sam. Na tym polegał jego smutek. Wymagał, aby wszyscy go kochali. Stąd się brały małe pamiątki, nieoczekiwane podarunki - jak arpege dla mnie, zapalniczka dla Davida, chociaż nie palił papierosów, miedziana bransoleta dla Curtisa. Nie miałam wątpliwości, że przed chwilą dał coś pani Files.

Kiedy rozmyślałam, Leon prawie na mnie wpadł. Było to w kuchennym korytarzu.

- Dokąd pani idzie?

Wepchnęłam się obok niego do kuchni. Siedziała tam, jeszcze rozpromieniona, uśmiechnięta z tą świeżością, która pojawiała się u niej od dnia jego przyjazdu. Zaszokowała mnie różnica między uczuciami jej i jego.

- Pani Files?

Spojrzała na mnie. W czymś jej przeszkodziłam, chociaż była sama. Zakrzętnęła się przy kredensie i zobaczyłam, że wsuwa głęboko do szuflady małą paczuszkę.

Po tym, jak przez kuchenne okno podejrziałam Leona i panią Files - tak, jego, a nie Francisa - myślałam, że nie będę chciała więcej go widzieć. Zaczęłam nawet rozważać możliwość wyjazdu - aż do kolacji tego samego wieczora. Codziennie pod wieczór schodził na dół w swojej czarnej kaszmirowej marynarce, którą miał na sobie w dzień przyjazdu, oraz w nastroju cokolwiek roszczeniowym.

- Tu pani jest - mówił, jak gdyby odkrył Amerykę. Mówił to tak często, że zaczęłam tych słów oczekiwać.

Wieczory, jakich pragnął, nie były w moim guście. Wydawało mi się, że jest po prostu takim człowiekiem, lubi nocne życie. Jak Francis.

To, co się zdarzyło, było znaczące, jak i cała reszta. Odsunął talerz, odwrócił się na krześle w moją stronę, przeciągnął i założył nogę na nogę.

- To, czego temu miejscu potrzeba, to dobre ogrzewanie. Tylko lunatycy mogą żyć w takiej temperaturze. Nawet Eskimosi by nie mogli.

Patrzyliśmy na siebie. Myślałam: Dlaczego to robisz? Wszystko psujesz. Zobacz, jak mogłoby nam być dobrze. Popatrz na nas teraz.

Sięgnęłam po jego dłoń, która spoczywała na stole. Pozwolił mi na to, więc przyciągnęłam ją do siebie bliżej.

Trzymałam ją w swoich rękach; jego palce splotły się z moimi. Odkryłam ją. Była kwadratowa, silna, gładka, niezbyt duża.

- Jest tak wiele spraw, co do których nie możemy się zgodzić - powiedziałam. - Przykro mi, że tak się dzieje. Tracimy mnóstwo czasu, a potem i tak z tego nic nie wychodzi. Obydwoje o tym wiemy, prawda?

- W takim razie dobrze - przystał, jak byśmy dyskutowali o ślubie. - Niech pani mówi.

- Co mam mówić?

- O tym ogrzewaniu. O tym, dlaczego się pani nie zgadza. Puściłam jego rękę. Mój głos zabrzmiał inaczej.

- Tysiąc razy ci mówiłam, że nas na to nie stać, albo raczej że nie mam zamiaru wydawać na to pieniędzy. Poza tym, do Sleeta nie pasuje...

- Proszę pani? - Tak?

- Pamięta pani, że to ja teraz płacę? Poza tym nigdy wcześniej nie wspominałem o ogrzewaniu. - Nie patrzył na mnie, lecz przed siebie, jakby z powietrza czytał jakiś smutny tekst.

Widziałam, że trzymałam jego dłoń, a nie Francisa. Może mówiłam do Francisa, ale nawet tego nie byłam pewna. Być może mówiłam do Leona, tak jak mi się wtedy wydawało.

Jak zwykle po kolacji siedzieliśmy jakiś czas w salonie. Czytałam, przeglądałam gazety przed pójściem do łóżka. Musiałam wyjaśniać więcej niż jeden raz, że taki właśnie mam zwyczaj - chodzę spać wcześniej - aż wreszcie przestał pytać. Tak naprawdę, kiedy on słuchał starych nagrań mojej matki oraz nowych, które ze sobą przywiózł, w moim prywatnym zaciszu robiłam co innego. Dlaczego tak wcześniej chodziłam na górę? Ponieważ dzięki temu mogłam sobie dłużej wyobrażać jego jako Francisa. Tutaj, na dole, stał się własnym ojcem. Znowu mówił „Nie odchódź”, a ja tym razem nie odchodziłam. Nadal tam siedziałam, próbując skleić swoje złamane serce.

Tego wieczoru Leon nie przyszedł za mną do salonu i nie usiadł naprzeciw mnie w fotelu, z łokciami na poręczach, z palcami splecionymi pod brodą. Tego wieczora w ogóle nie wszedł do salonu.

Po jakimś czasie wstałam, ale nie poszłam do swojej sypialni, chociaż jeszcze przed kolacją zamierzałam się pakować i byłam tego tak pewna, jak nigdy wcześniej. Zaczęłam go szukać. Zawołałam go po imieniu. Stałam razem z psami w hallu. Jego samochód, volkswagen beetle z opuszczanym dachem, który sobie kupił pierwszego dnia, stał spokojnie, widoczny z okien. Jego sypialnia nie była zamknięta. Nasłuchiwałam ciszy, ale widocznie tam go nie było. Znowu zawołałam.

W jadalni sprzątnięto już po kolacji. Wyglądała obco, jak to jadalnie, w których się w danym momencie nie spożywa posiłku. Światła w kuchni pogaszono, pani Files poszła do domu. Nikogo nie było w jadalni służących, chociaż od lat nie wydawało się to niczym nadzwyczajnym.

Z psami u boku udałam się do bocznego skrzydła domu. Przestałam wołać Leona, czując się jak złodziej, który skrada się ukradkiem. Żałowałam, że psy idą ze mną i tak hałasują. Na górze kazałam im zostać i czekać. Na końcu korytarza znajdowały się drzwi mieszkania Curtisa. Kołatka miała twarz wstrętnego gнома.

Nie wiem, dlaczego moje poszukiwania zaciągnęły mnie do tej części domu. Oprócz mnie i Leona jedyną osobą w całym budynku był Curtis. Niby mogłabym go zapytać, czy wie, gdzie jest pan Kennedy. Miałam nadzieję, że kiedy go zobaczę, jakieś wytłumaczenie, dlaczego mu przeszkadzam, samo przyjdzie mi do głowy.

Już chwyciłam twarz gнома, gdy usłyszałam niskie dźwięki klarnetu Leona. Wyteżyłam słuch, czy nie jest to przypadkiem nagranie, ale nie - ta sama melodia, przerywana w tych samych co zwykle miejscach. Wtedy dołączyło do niego pianino. Gra ucichła. Usłyszałam ich głosy, Leona i Curtisa. Ich dwóch. Nie zastukałam.

Tej nocy nie myślałam więcej o Francisie. I nie wyjechałam.

Leon przestał nosić nowe ubrania, kupione w Londynie - trącające myszką, oficjalne stroje, śmieszne nawet dla mnie. Zamiast nich ubierał się w dzinsy, stare i powypychane. Pierwszy raz zobaczyłam go w nich pewnego wiosennego dnia, jednego z pierwszych po zimie. Siedział na trawniku przed salonem i rzucał piłkę Ho, który posłusznie reagował na komendy „siad”, „czekaj”, „przynieś”, dopóki nie

przyszła ja. Jeszcze zanim pies mnie zauważył, zaczął węszyć, tracąc zainteresowanie piłką. Leon rzucił ją więc sobie, padając na ziemię, aby ją złapać, dla samej przyjemności pływania się w słońcu. Podeszłam do niego wolno. Położył się na plecach u moich stóp.

- Powinieneś włożyć sweter, nie jest tak ciepło, jak ci się wydaje -powiedziałam.

- Nie, ale słońce świeci. Słońce świeci. - Odetchnął głęboko, zamknął oczy. Poczułam słony zapach jego dżinsów i przypomniałam sobie Franky'ego. W tej woni czuło się nawet rozgrzane deski doku, ciepłe powietrze i wolność. Musiał zakładać te spodnie mnóstwo razy, na plażę i na ryby. Patrzyłam, jak leży na mojej angielskiej trawie, w promieniach angielskiego słońca i wiedziałam, że marzy o lazurowym niebie, przejrzystym morzu i bryzie na pokładzie szybkiej motorówki.

Tęsknisz, chciałam zapytać. Czy ta nostalgia nie jest dla ciebie straszna? Ja także ją poznałam.

- Lunch czeka.

- Proszę pani?

Podszedł do mnie z rozpostartymi ramionami, oślepiony słońcem i własnym światłem; wyblakłe dżinsy pogniotły się od wilgoci.

- Proszę. - Chciał mnie objąć. Oślepiony słońcem zbliżał się, aby mnie objąć.

Stałam na trawniku zbyt długo. Podszedł bardzo blisko. Niemal wziął mnie w ramiona.

- Nie. Przestań. Idź już.

Ale to ja weszłam po stopniach do salonu. Po stopniach żalu za Francisem.

Widziałam go, jak stoi i patrzy za mną, jakby go ktoś uderzył. Bardzo cichy i bardzo porzucony. I tak, tak, jego ręka powędrowała w stronę oka. Do środka wpadło słońce.

Zjedliśmy lunch jak co dzień. Był uprzejmy.

XII

- Ciagle pada.

- Przystanie. To moje chrzciny... - palec Delii dotknął czarno-białej fotografii, na której jakaś kobieta wyciągała swoje włosy z uścisku rączki niemowlaka. - A to ja na Grzybku, kucyku, którego kiedyś mieliśmy. Niezbyt długo, Caldwellowie nie należeli do hodowców koni.

Znalazła Leona w bawialni. Siedział pod oknem na bujanym fotelu, z oprawionym w skórę albumem na kolanach. Inne spoczywały dookoła na podłodze. Przez postrzępione brokatowe zasłony przebijały się promienie słońca, nie docierając jednak do posadzki. Nadstawiał album w kierunku skąpego światła, przeglądając szerokie strony. Kiedy weszła, nie odrywając wzroku od zdjęć rzucił cicho:

- Witam.

Jego głos zmieszał się z jej krokami.

- Albumy?

- Taak. Co za masa ludzi. Polowania, przyjęcia, pikniki, śmieszne sukienki. Te same twarze pojawiają się w takich samych układach i pozycjach, robiąc to samo na tle różnych domów. W kółko to samo.

- Tak to bywa.

Przysunęła się bliżej, przycupnęła na poręczy jego fotela i pochyliła głowę.

- To ja nad morzem - dotknęła niezgrabnego dziecka na fotografii, ubranego w kąpielowy trykot.

- Zawsze pani nosi ten pierścionek? Schowała rękę do kieszeni.

- To mojej matki. Nie jest zbyt ładny. Cała dobra biżuteria przepadła. Mówienie o tym...

- Przestań - powiedział, słysząc, że głos zaczyna się jej łamać.

Kiedy siedziała nieruchomo, mógł się do niej bardziej przysunąć. Teraz znów siedziała dalej.

- To ważne, Leonie. Przyszedł rachunek. Siedemdziesiąt pięć tysięcy.

- To dużo - sięgnął po następny album.

- Mówię poważnie.

- A ja poważnie odpowiadam, że to dużo - odparł zupełnie beznamiętnie.

- Dobry Boże, ty naprawdę nie przywiązujesz do tego wagi! Ten rachunek to moja wina. Zmieniłam terminy nawożenia. Zamiast raz na kwartał robimy to raz w roku. Nie przemyślałam tego. Teraz jest już za późno, a nie mogę tego zaksięgować inaczej. Będziesz musiał coś sprzedać, a niewiele zostało rzeczy, które się do tego nadają. Muszę przyznać, że coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy, odkąd przejęłam farmę. - Stała przy jednym z kominków i dotknęła ciemnego olejnego malowidła. - To okropne, ale będziemy musieli go poświęcić.

- Nie. Lubię ten obraz. Mała dziewczynka w kukurydzianym polu. Jest taki... sam nie wiem... po prostu dobry.

Wydała z siebie dźwięk przypominający śmiech.

- Ależ Leonie, nawet na niego nie spojrzałeś.

- W tej chwili nie, ale w ogóle tak. To mój ulubiony obraz. Przycupnęła na taborecie. On przewrócił kolejną kartkę.

- Co to za maluch tutaj, obok pani? Jeszcze jedne chrzciny. Takie same ubranko.

- Mój brat Cot. Umarł. Wiesz, kto go malował? Sławny artysta.

- Z pewnością. Zastanawiam się czasami, dlaczego pani uważa, że jestem niewykształcony. O, a to koronacja! Pani mama i ojciec mieli dobre miejsca.

- Nie masz wyboru, musisz go sprzedać. Prowadzę Sleet od dwudziestu pięciu lat. Wiem, co jest co.

- To żaden interes wyrzucać dobre pieniądze w błoto.

- Sam nie wiesz, o czym mówisz. Zakup nawozu to nie błoto. To podstawa.

- Nawóz to gówno.

- Oh. - Ruszyła do drzwi. - Teraz rozumiem: chcesz się pokłócić. Ale nie zdołasz. Ja wychodzę, ale przedtem coś ci powiem. Przez wszystkie te lata, kiedy byliśmy z Francisem małżeństwem, nie poprosiłam go o złamanego centa. Sama prowadziłam Sleet. Pod moją opieką nie splajtowało nawet...

- Chyba właśnie splajtowało.

Powiedział to tak cicho, że nie wiedziała, czy się nie przesłyszała.

- To dzięki mnie Sleet odzyskało dawną świetność. Zadbaliśmy o farmę, lasy, samofinansujące się polowania. Jeśli więc myślisz, że zamierzam przepuścić przez Sleet pieniądze, które zostawił mi Francis, podczas gdy ty nie zadasz sobie trudu, aby nauczyć się podstaw zarządzania, jesteś w błędzie.

- Jasne. Czy rano były do mnie jakieś telefony?

Nie miała zamiaru odpowiadać, ale tak, odebrała jeden telefon. Siedziała wtedy w biurze, czekając na odbiór partii kreozotu do tartaku, chociaż normalnie w soboty sekretariat był nieczynny. Zadzwoił jakiś mężczyzna i pytał o pana Kennedy'ego.

- Nie ma go tutaj. Mówi Sutherland. W czym mogę pomóc?

- Jesteś sekretarką?

- Mówiłam, że ... - odsunęła słuchawkę od ust. Jeśli jej nazwisko nic nie wyjaśniło, to mogło oznaczać tylko tyle, że jest nikim.

- Czy to Sleet Park? - zapytał mężczyzna. - Tak.

- Bo wiesz, chciałbym rozmawiać z właścicielem, panem Kennedy. No nic, kochanie, nieważne. Przekaż mu tylko wiadomość ode mnie, dobrze? Powiedz, że domki będą gotowe na poniedziałek. Będzie wiedział, o co chodzi. To wszystko, kochanie. Pa. Na razie.

- Właściwie był jeden telefon. Jakies bzdury na temat domków.

- Co powiedzieli?

- Że będą na poniedziałek. Więc wiesz? - Tak.

- O co chodzi?

- To niespodzianka.

- A rachunek, Leonie?

- Domki na niego zarobią, proszę pani. To kapitalny pomysł! Chyba nie wytrzymam i pani powiem. - Z entuzjazmem rzucił się do niej. - Kiedy kilka tygodni temu czekałem na panią w biurze, zadzwoniła ta firma. To taki dobry pomysł. Prawdziwe składane szalasy! W poniedziałek jeden dla mnie złoży, abym mógł go obejrzeć, ale już rozmawiałem z innymi, którzy je mają. Są bardzo popularne. Oczywiście grupy domków nie będą stały w pobliżu domu...

- Grupy?

- Cóż, wiadomo, że ludzie lubią przebywać razem, nawet jeśli

udają, że są na łonie natury sami. Pomyślałem więc, że domki ustawimy w grupach po cztery albo sześć.

- Jak to?

- Tak, może na początek pięć. Każdy szalas pomieści czteroosobową rodzinę.

- Nie rozumiem. - Ale rozumiała. Nie mogła jedynie uwierzyć.

- O nie, nie, nie - wycofał się szybko. - Znam tę minę. Do zobaczenia później!

- Chodź tutaj!

- Nie, proszę pani. Nie, jeśli będzie pani do mnie mówić w taki sposób.

- W tej chwili odwołasz tego śmiesznego faceta. Jak mogłeś się ze mną nie skonsultować?!

Poszła za nim do schowka, krzycząc. Założył tweedowy płaszcz.

- Próbuje zapoznać cię tutaj ze wszystkim! Zostałam, żeby ci pomóc, a ty ani razu nie wyszedłeś mi naprzeciw! Jeśli myślisz, że będę zarządcą, podczas gdy ty w swój bezmyślny sposób, ze swoimi idiotycznymi pomysłami, ignorancją wobec tego, co naprawdę...

Wyminął ją. Na każde wykrzyczane słowo odwracał głowę, odpowiadając pod nosem coś, czego nie mogła dosłyszeć: „przestań”, „nie mów takich rzeczy”, aż wreszcie w pół drogi rzucił płaszcz na ziemię i wrzasnął głośniej, niż kiedykolwiek w życiu.

- Wystarczy!!! Jezu, jak ja cię nienawidzę!!!

Zamilkła. Patrzyła na katastrofę, która właśnie miała się wydarzyć.

- Nie mów mi o pomocy! Naprawdę uważasz, że nie wiem, co ci się zdaje?! Że ja jestem Francisem? Dlaczego to robisz? To głupota! Po co to robisz, skoro sprawił ci tyle bólu? Pozwolił ci zarządzać tym miejscem jak pieprzonym domkiem dla lalek, ponieważ cię kochał! Wiem o tym. O tym wiem również. Ale ty zostałeś zimną, nieprzystępną kobietą. A teraz pozwól mi przejść.

- Zaczekaj. Kto ci to wszystko powiedział?

Minął ją na schodach. Usłyszała trzask drzwi jego sypialni. Nie poruszyła się.

Wszystko będzie dobrze. Później. Nie chciał tego powiedzieć. Postój tu przez chwilę, uspokój się i dopiero... jak deszcz przestanie padać. Zapytam, czy pójdzie ze mną wyprowadzić psy. Lubi to. Potem się czegoś napijemy. Potem zjemy kolację. Będzie tak jak zwykle -wszystko wróci do normy.

Wrócił z saszetką w rękę.

- Leonie, zastanawiałam się, czy chciałbyś... Był już w drzwiach.

- Nie potrafię żyć tak, jak ty - z popsutymi traktorami, zwalonymi drzewami wokół, ludźmi, którzy nie potrafią sumiennie pracować - nie stać mnie na nich. I do tego wszystkiego rząd, który płaci mi za słodkie nic nierobienie na mojej ziemi. Nie jesteś kobietą interesu, droga pani Sutherland. To podłość. To miejsce chyli się ku upadkowi. Mam pewne plany i nadzieję, że doprowadzę do porządku to, co zrujnowałaś swoimi nonsensownymi działaniami. Nie chciałem, aby tak było. Chciałem to wszystko polubić. Kiedy ostatni raz zauważyłaś, że ktoś jeszcze coś robi? I jak oni się czują? Wiem, że lubisz własne towarzystwo, i to dobrze, ponieważ wygląda na to, że innego mieć nie będziesz. Wyjeżdżam na chwilę - masz czas, aby się spakować. Może tak będzie najlepiej. Do widzenia.

Mówił cicho; ona także.

- Dokąd wyjeżdżasz? - Chyba rzeczywiście zabrzmiało to zbyt cicho, gdyż wybijający czwartą zegar zagłuszył pytanie. Nie odpowiedział. - Nie odchodź, Leonie.

Nie powiedział ani słowa.

Stałam w drzwiach tak długo, że całkiem przemokłam. Było już ciemno, kiedy zdałam sobie sprawę, że gdzieś w oddali piszcza psy. Zawołałam je. Na dźwięk mojego głosu przestały, więc nie wiedziałam, gdzie ich szukać. Z psami często tak bywa. Udałam się w kilka miejsc, zanim wypadły drzwiami bawialni. Wtedy usiadłam przy stoliku na listy. Psy skuliły się u moich stóp, przygnębione moim stanem.

W końcu dałam im jeść i zamknęłam w budach. Nie poszłam do jadalni, gdzie czekała na mnie kolacja, już zimna. Instynkt pchnął mnie do pokoju Leona. Tego pokoju, którego wnętrze znałam od trzech miesięcy, od kiedy przyglądałam się jego półnagiej postaci, skapaniej w smudze światła. Stałam teraz pod zamkniętymi drzwiami, nasłuchując pustki.

Teraz jestem tutaj - przy oknie mojego hotelowego pokoju, patrząc na zatłoczoną ulicę, targ rybny, który zniknął do jutra, zimowe słońce, którego promienie padają na ten zeszyt, gdzie piszę o sprawach przez trzech lat. Chcę odłożyć długopis, położyć się na wznak i zastanowić nad własną arogancją i upartą tępotą. Ale dlaczego

miałabym przestać myśleć o najważniejszym, skoro przyczyna najważniejszego dopiero się zaczęła?

Wbrew słowom Leona i mojemu przekonaniu, że duch Francisa uleciał za jego żyjącym synem, jadącym teraz samochodem, weszłam do północnej sypialni z zamiarem zniszczenia tej nieszczęsnej zjawy, czyli Francisa, którego tam znalazłam; być może moją intencją było też posiedzenie z nią przez chwilę, wypowiadając takie frazesy jak „przepraszam” i „wybacz”.

W otwartych drzwiach zatrzymał mnie podmuch skomasowanego gorąca. Jedna elektryczna dmuchawa stała na toalecie, inna na komodzie, do tego dwa lub trzy grzejniki, podobne do tych, które pamiętam z dzieciennych lat, plus płomienie z trzech wiekowych naftowych lamp, zostawionych tak, jakby o nich zapomniano. Opary sprawiały, że światło lamp migotało, a róże w wazonach zwiędły.

Obwoluta płyty otwarta była na standardzie „The Isle of Capri”; inne leżały rozrzucone na podłodze. Jego klarnet znajdował się w walizce na stołku w nogach łóżka. Było to bardzo szerokie łóżko; Francis kupił je po naszym ślubie. Podeszłam do okna, aby zasunąć zasłony. Było uszczelnione srebrną taśmą izolacyjną. W szafie wisiały schludnie posegregowane ubrania. Po lewej stronie znajdowały się tweedy oraz zielonkawy trzyczęściowy garnitur w stylu lat pięćdziesiątych. Była tam także czarna kaszmirowa marynarka, którą zakładał co wieczór. Wsunęłam rękę w jej rękaw. Po przeciwnej stronie leżały jego własne znoszone ubrania, luźne i wyblakłe. Zanurzyłam twarz w materiał dżinsów, wdychając jeszcze raz ich słonawy zapach.

Komodę zapełniały notatniki, obłożone w marmurkowy papier, inne w dziecienny. Były tam też drewniane skrzyneczki, bransolety z mosiądzu i srebra; inna biżuteria, lśniąca, półszlachetna, niektóre ozdoby jeszcze w firmowych opakowaniach.

W kolejnej szufladzie znalazłam ciepłą bieliznę: podkoszulki z długim rękawem, zapinane na guziki oraz parę kalesonów. Pamiętam jego rozbawienie, kiedy się dowiedział o ich istnieniu pierwszego wieczora w Sleet, jak zaczął się śmiać tym swoim zaraźliwym śmiechem - zaraźliwym dla wszystkich z wyjątkiem mnie.

Teraz, stojąc samotnie w jego pokoju, także zaczęłam się śmiać, jak powinnam była wtedy. Gdy dotknęłam swojej twarzy, była mokra. Było to tak niespodziewane, jak odkrycie rany, o której się nie wiedziało. Popatrzyłam na zdjęcia, stojące na toalecie. Duża foto-

grafia, wykonana w studio, przedstawiała Eaturpię Kennedy w tym samym wieku, kiedy ją poznałam. Z jej oczu wycierała nieśmiała nadzieja. W innej ramce Leon, sześciolatek, obejmujący matkę od tyłu. Ona - beznadziejnie pociągająca w białej sukni. Na kolejnej obydwójce tacy, jacy są teraz, wznoszący toast. Ich zażyłość wydała mi się autentyczna... Była tam także fotografia dużej szkolnej klasy ze szkoły St Andrew, opisana na ramce. Postać Leona wyróżniała się na tle innych. Znalazłam go także na zdjęciu drużyny baseballowej. Wyglądał dumnie z olbrzymią rękawicą na jednej ręce. Na innych pędził na desce surfingowej, pozował z wielką rybą, obwiązaną sznurem; na ostatniej obejmował za szyję dwóch innych chłopców.

Podniosłam tylko jedną fotografię: profil Leona, stojącego tyłem do obiektywu, tańczącego sztywno z jakąś dziewczyną. Wyciągnięte ręce, jego głowa nachylona do jej młodej, dumnie uniesionej, radosnej twarzy.

Na biurku, wśród ołówków, tuszu i papieru listowego znalazłam listę:

pasta do zębów stroiki od Mitchella

zamówić album u Johnny'ego Dodda (telefon wziąć od Curtisa) 14 marca: urodziny pani S. Co? Co?

Skąd wiedział o moich urodzinach?

Półeczka w łazience obstawiona była lepkimi butelkami syropu przeciwkaszlowego. No tak, kiedy o tym pomyślałam, przypomniałam sobie, że rzeczywiście czasami kasłał.

Wyłączyłam grzejniki. Wydało mi się to bezpieczniejsze. Zaraz obok były przecież ściany, ciężkie meble, ponure zasłony, i do tego wszystkiego jego rzeczy, owiane tym gęstym, ciepłym powietrzem.

Tym razem nie musiałam pakować kufrów. Na to był jeszcze czas. Każdy, kto tak jak ja twierdzi, że rozstania nie są łatwe, kłamie. Jedyne, co trzeba zrobić, to po prostu odejść. Musiałam tylko pamiętać o najważniejszym: o zabraniu z bud psich misek. Biedactwa byłyby bardzo nieszczęśliwe, nie mogąc zabrać do Szkocji swoich sponiewieranych misek.

Psy były bardzo zdziwione, że przerwałam im sen w środku nocy, i kiedy znów wyszłam, pośpieszyły z powrotem na swoje legowiska. Z napięciem patrzyły, jak wychodzę na deszcz, słuchały trzasku

otwieranych drzwi samochodu i odgłosu wrzucanych do środka misek. Same psy miałam zabrać w ostatniej chwili. Doszczętnie przemoczona zaczęłam się przechadzać po domu, dotykając obrazów, zegarów i próbując odczuć stratę tych rzeczy. Tym razem nie potrafiłam jej przywołać - uczucie, które towarzyszyło mi od czasu, kiedy przeczytałam testament Francisa, zniknęło. Czego w ogóle dotyczyło?

Wyjęłam szpilki z włosów i rozpuściłam je, aby trochę podeschły. Ach, te łzy. Te przeklęte łzy.

W salonie zasłony były odsunięte, nie paliło się żadne światło; przedmioty wydawały się całkowicie nierealne, abstrakcyjne w różnych odcieniach szarości. Usiadłam w swoim fotelu; ogień wygasł, tak jak i ja sama. Moją głowę spowijał całun wilgotnych włosów.

Jak po tak długim czasie zubożenia zacząć zauważać ludzi? Samo zrozumienie tego byłoby wystarczające. Jak to zrobić? Mówić do wszystkich napotkanych osób „jak się masz?” Czy zostawałam, aby posłuchać, co mają do powiedzenia? Kiedy się dowiedział, jak na imię pani Files? Jak się znalazł w mieszkaniu Curtisa? Czy gdybym była dla Leona miłsza, też by tego dokonał? Czy potrzebowałby tego?

W tej chwili jest już zapewne z przyjaciółmi. Zaprosili go dlatego, że jest taki, jaki jest; za to ja jestem oziębła, wyobcowana. Co za słowa; jak można być kimś takim? Do kogo pójść, aby się tego oduczyc? Moja matka być może poradziłaby mi coś. Ją też kochano za to, że była taka, jaka była. Nikogo więcej nie znam. Moja świadomość, niewzruszona poczuciem winy, wciąż zapytywała: „Po co zostałam?”. Odpowiedziałam na głos: „Bo nie chciałam go zostawiać samego”. „Kto nie chciał, żebyś wyjeżdżała? Co to za życie?” - zapytałam. „Mogłabym się nauczyć”.

„Nie, nie mogłabyś” - odparła świadomość.

Drzwi otworzyły się z nienacka. Zasłoniłam włosami zapłakaną twarz.

- Przepraszam, Curtis. Myślałeś, że to złodziej? Nie. Idź spać. -Pomyślałam, że może powinnam go zapytać, jak się czuje. Jakoś zacząć. Ale nie, nie teraz. Musiał odejść, i ja także.

- Proszę pani?

- Leon. A ja myślałam, że to Curtis.

- Aha - zawahał się. - Pani włosy... są... są takie gęste.

- Tak. Tak. Tak wyglądają, kiedy ich nie upinam i są wilgotne,

no wiesz, przez ten deszcz i to wszystko. - Stałam, choć nie pamiętam od którego momentu. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc znów usiadłam. Omal nie zapytałam: „Co tutaj robisz?”, ale w porę ugryzłam się w język. - Jak się masz?

- Dziękuję, dobrze. - Podszedł blisko. - Czy mogę ich dotknąć?

- Włosów? Wielkie nieba! Czemu nie? Mój Boże. Kto by chciał czegoś takiego?

Wziął je w palce i patrzył z podziwem, po czym usiadł po turecku u moich stóp; jak pierwszego wieczora.

- Ogień wygasł. -Tak.

- Byłem w swoim pokoju. Tam także wszystko pogaszone.

- Nie wiedziałam, kiedy wrócisz. Uważałam, że nie jest bezpiecznie zostawiać pozapalane grzejniki. Tylko nie myśl, że myślałam. Nie. Nie dałeś mi czasu.

- Wiem, że nie.

- A więc?

- Chce pani wiedzieć, gdzie byłem?

- Z przyjaciółmi? - potrząsnął przecząco głową, więc powiedziałam: - Wszystko jedno. To nie moja sprawa.

- Pojechałem na panienki.

Przyglądał się mojej twarzy, kiedy dotknęłam czubka swojej głowy, pogładziłam poręczę fotela i znów położyłam ręce na kolanach.

'- No cóż, ludzie tak robią, nieprawdaż? Mężczyźni. - „Mężczyźni mają swoje potrzeby” - tak mówił Francis.

„Potrzeby”. „Ja też je mam” - odpowiadałam. Nie sądzę jednak, abyśmy się rozumieli.

- Poszedłem do Park West, zjadłem kolację, pogadałem z barmanem. Powiedziałem mu, czego chcę. Spytał, jakie lubię: ciemne, blondynki, białe czy czarne. Wyglądało to jak zwyczajne składanie zamówienia. Tak mi się przynajmniej wydaje. Cały czas obsługiwał innych ludzi i udawał, że rozmawiamy o mistrzostwach świata w piłce nożnej. Doświadczony. Potem poszedłem do pokoju i zaraz pojawiła się tam dziewczyna - blondynka z prostymi włosami, głupiutka z wyglądu. Bardzo młoda. Bardzo energiczna. Muszę powiedzieć, że wyglądała na profesjonalistkę. Nigdy wcześniej nie byłem z prostytutką, więc nie wiedziałem, jak to wygląda. Taka sytuacja, kiedy człowiek myśli, że jest jedynym facetem na świecie, który nie wie, jak to się robi. Czułem się naprawdę zakłopotany. Była bardzo młoda. Mówiłem to już?

-Tak.

- Spytała mnie, czego chcę. Wiesz, co powiedziałem? Jezus, to żalosne, ale jestem po kilku głębszych...

- A więc mówisz, że w Park West... Przygryzł wargę i przyglądał się mi z ukosa.

- No tak, no tak. Chodzi pani o to, że to wszystko mówię? To był taki żart, żebym przestał?

- Nie. Co jej odpowiedziałeś?

- Powiedziałem, że chcę... - zasłonił usta dłonią.

- Co takiego? Nie dosłyszałam.

- Nieważne. Gdybym miał wybierać, wolałbym dziewczynę inteligentniejszą. Chwilę byśmy pogadali, napili się czegoś, a potem pieprzyli. Ta nie była taka. Spieszyło się jej, żeby dostać pieniądze za swój numer. Zaczęła się rozbierać. Nigdy nie widziałem czegoś tak szybkiego. Potem dobierała się do mnie, więc powiedziałem, żeby poczekała. Dlaczego, spytała. Czy jestem nieśmiały? A może chcę czegoś specjalnego? Żebym tylko poprosił.

Powiedziałem, że potrzebuję czasu. Wyglądała na trochę zdegustowaną. Pchnęła mnie na krzesło. Była naprawdę silna. Uklękła przy mnie. Potem rozpięła mi rozporek i zaczęła ssać. Tak po prostu. Znow chciała mnie rozbierać, więc powiedziałem „nie”. I żeby lepiej już poszła, bo się rozmyśliłem. Odparła, że cena jest taka sama. Nie wiedziała, że zapłaciłbym dwa razy tyle, byle wzięła dupę w troki. Nie mogę uwierzyć, że to pani opowiadam. '

- Dlaczego?

- Dlaczego nie mogę uwierzyć? Chryste!

- Nie pytam o to. Dlaczego wzięłaś sobie dziwkę? Musisz mieć jakieś przyjaciółki, kontakty w Londynie. Jesteś taki... taki... na pewno znalazłby się ktoś.

- Nie mam, naprawdę. Tak, może kilka telefonów. Ale wie pani sama, jak to jest, automatyczne sekretarki i tak dalej. To zabiera czas. Potrzebowałem tego od razu.

- Seksu?

- Być może. Dlaczego nie? Ale chyba bardziej ciepła. Sam nie wiem.

- Rozumiem.

- Tęsknię za nią.

Oczy mu się zaszklily, ale tego nie zauważył, dopóki łzy nie zaczęły spływać mu po twarzy. Otarłam je i pokazałam mu mokre palce, które osuszył swoimi.

- Za kim? Za kim tęsknisz?

- Za mamą. Powiedziała: „Nie daj się, Leonie. Walcz, chłopcze. Będzie dobrze. Tutaj nic dla ciebie nie ma - powiedziała - nic, czego byś nie mógł sobie kupić. Jedź tam”.

- Na pewno możesz do niej zadzwonić i ją odwiedzić. Chyba nie ja cię od tego powstrzymuję? Poza tym już wyjeżdżam. Zadzwoń do niej dzisiaj.

- Nie mogę tego zrobić.

- Miło z twojej strony. - Ja, mistrzyni uprzejmości.

- Ona umarła, zanim tu przyjechałem. Myślałem, że pani o tym wie.

- Nikt mi nie powiedział.

- David mógł to zrobić. Wiedział. Ale pani ją widziała i musiała zauważyć, że jest chora. Narkotyki ją wykończyły. Ćpała, kiedy wróciłem z college'u. Kłamałem. Nie chciała mnie, kiedy byłem dzieckiem. Sama była dzieckiem i radziła sobie jak mogła. Powinienem był ją znaleźć. Wiedziałem, gdzie jest - w swoim śmiesznym domu w Delaporte i co noc w Big Bamboo. Ale ja chciałem być Kimś, kiedy do niej wrócę. Banał, co? Wie pani, podczas tych miesięcy, kiedy byliśmy razem, naprawdę próbowała z tym skończyć. Jak usłyszeliśmy o testamencie, położyła mi ręce na ramionach i powiedziała: „Jedź tam i walcz o swoje, chłopcze. Walcz o swoje”. Dzięki tym słowom poczułem się dobrze. Nie chciała mnie tam, bo była pewna, że skończę tak jak ona. Nie miała racji, ale rzeczywiście łatwo wpaść w nałóg, jeśli wszyscy dookoła robią tylko to. Ona wiele wiedziała o niebezpieczeństwie. Nie mogłem jej zostawić, nie po tym, kiedy tak długo jej szukałem. Nie mogłem jej też zabrać, tutaj nie miałaby tego, czego chciała, ani nie mogłaby tego zdobyć. Tak więc poczekałem, aż umrze. Nie trwało to długo. Miała już dosyć. Wszystko jedno. I tak nie mogłaby tu przyjechać, prawda? A ja nie słyszę już słów „walcz o swoje, chłopcze” i nie czuję na swoich ramionach tych chudych rąk, o których śniłem tyle lat. Czasem jest dobrze. A czasem nie. - Opuścił głowę na kolana.

Chłód w pokoju stał się przejmujący. Pogrzebałam w popiele

i znalazłam trochę żaru. Dołożyłam drewna i wstałam, wyciągając ręce. W karku poczułam ból. Zebrałam włosy i odrzuciłam je do tyłu. Obejrzałam się przy tym na Leona, który siedział bez ruchu.

Gdzieś na zewnątrz Mike prowadził po ciemku krowy na poranne dojenie; Bung zaszczekał, a Ho natychmiast do niego dołączył.

Zegar z gołębkami wybił piątą, a ten na kominku czternastą: jak zwykle bez sensu.

Podwinęłam rękawy, wilgotną szkocką kratę i popatrzyłam na swoje ręce, którymi, tak jak mną całą, nikt się nie zajmował.

- Leonie? - powiedziałam, wciąż patrząc na swoje ręce. Kiedy nie odpowiedział, przycupnęłam przed nim. - Leonie?

- Nie podniósł głowy, więc dotknęłam jego policzka. Drgnął i spojrzał na mnie. Wyciągnęłam do niego ręce, wapiąc jednocześnie w to, co robię.

- Spójrz na moje dłonie. Czego one chcą?

Objął się nimi; pocałował moje nadgarstki i bez słowa objął się moimi rękami. Stałam zesztywniała, bojąc się siły, która nakazała mi wypowiedzieć te słowa; bałam się także przytulić go zbyt mocno lub być zbyt blisko. Każdy ruch byłby oddaniem samej siebie i mógłby go przerazić tak, jak sama się bałam.

Ukląkł przede mną; nasze ciała stykały się ze sobą na całej długości. Jego ręce błędziły w moich włosach, usta na moich ustach. Jego skóra miała taką samą temperaturę jak moja i prawie nie czułam dotyku. Cały czas byłam bardzo sztywna, trzymałam dłonie na jego ramionach tak oficjalnie, jak ktoś, kto uczy się tańczyć. Co w istocie było prawdą. Szepnął mi coś do ucha, ale tak blisko, że nie dosłyszałam, więc ścisząc głos, jak mogłam najbardziej, aby go nie przestraszyć, poprosiłam:

- Powiedz to jeszcze raz. Nie usłyszałam.

- Pomóż mi - powtórzył.

Nie potrafię określić, kiedy zaczęliśmy się kochać. Głównie dlatego, że tak naprawdę byliśmy kochankami od chwili, kiedy wszedł do tego pokoju, a ja stałam wyczekująca i udająca kogoś innego. Nie wiem także, jak wyszłam z pokoju. Nie mogę przywołać z pamięci żadnego obrazu. Pamiętam tylko, że było mi zimno, kiedy się od niego odsunęłam. Pewnie ogień znowu zgasł. Czy miałam na sobie ubranie? A może niosłam je zwinięte w rękach? On na mnie patrzył. Nie, chyba leżał na podłodze, na plecach, z rękami pod głową.

Tak, coś jednak sobie przypominam: zanim wyszłam, leżeliśmy twarzami do siebie, ucząc się swoich rysów w tym nowym świetle. Zdjęłam z jego dolnej wargi mój włos, pocałowałam miejsce, w którym leżał, i odeszłam.

Poszłam do swojego łóżka i zasnęłam kamiennym snem, całkowicie nieświadomym. Trwało to może pół godziny, ten sen, na pewno

nie dłużej, ponieważ kiedy mnie obudził, choć nie miał takiego zamiaru, wciąż było ciemno.

Leżałam na boku, tyłem do drzwi, z odrzuconą kołdrą. Odwróciłam głowę i, oczami częściowo przysłoniętymi gęstwiną włosów, zobaczyłam, że Leon klęczy nago za moimi plecami. Zakrył twarz dłońmi, a potem powoli zacisnął je w pięści, jak to zwykł był często robić. Objął mnie całą. Miał ciepłe ręce; zbliżył je i prawie nie dotykając mojej skóry zaczął gładzić moje ramiona, potem okryte włosami piersi, uda, brzuch. Całe to ciało, pozbawione przyjemności i dumy, obdarzał czcią, mówiąc:

- Kocham cię. Kocham. Kocham. - Myślał, że śpię, a ja pozwoliłam, aby dalej w to wierzył. - Kocham cię, kocham.

Nie poszedł sobie. Okrył nas kołdrą i mocno mnie przytulił. Było to uczucie bolesne, cudowne i nieprzerwane.

Głowę wtulił w mój kark. Jego palce bładziły tak długo, dopóki nie odnalazły moich. Delikatnym uściskiem pragnęłam go zapewnić, że wszystko jest w porządku.

XIII

Rano obudziłam się sama i to także było w porządku. Pomyślałam sobie, że jeśli ktokolwiek mógłby zostać moim przyjacielem, to właśnie on, mój pasierb, i nawet to było w porządku. Ubierałam się powoli, aby wydłużyć czas pomiędzy miłością a jutrem. Ostatnia noc była podarunkiem, lekcją, pełną i kompletną. Stałam oko w oko z tym, czego się bałam przez ostatnie trzy miesiące - czyli z jego pożądaniem - i to znowu było w porządku. A tak naprawdę wydarzyło się coś wspaniałego. Włożyłam swoją niedzielną spódnicę, w którą zwykle ubierałam się do kościoła, a bluzkę zapięłam pod samą szyję. Cudownie było być kobietą - dzięki niemu - kobietą o pięknym ciele i tulić go z całych swoich sił. I tak właśnie było. Musiało być.

Już, już chciałam zastukać w jego drzwi, kiedy go usłyszałam: kroki, kaszel, odgłos przesuwanych w szafie wieszaków, odkręcanie kranu w łazience. Całkiem nieoczekiwanie dźwięki te powstrzymały mnie od wejścia do środka. Jego pokój emanował teraz tą samą prywatnością, jaką czułam tej nocy, której pławiłam się w jego muzyce. Wtedy sądziłam, że dzieje się tak z powodu poczucia winy za podsłuchiwanie. Teraz, tego ranka, pomimo odbytej lekcji tańca, wciąż nie mogłam się zdobyć na to, aby tam wkroczyć.

W odrapanym lustrze po przeciwnej stronie coś się poruszyło: ktoś odwrócił się od drzwi Leona, przestraszony, że przyłapano go na gorącym uczynku. Nachyliłam się nad azalią. Tą samą, którą tak dawno postawił tutaj Curtis. Kwitła tak niesamowicie! Zbliżywszy się do srebrnej tafli zobaczyłam w niej odbicie Chudzielca.

Wypuściłam psy z bud i starałam się wzbudzić w sobie radość z tego, że witają mnie z takim entuzjazmem. Wyczuły, że w powietrzu wisiała jakaś zmiana, która jednak nie nastąpiła, i za to były wdzięczne. Skakały dookoła mnie, aż w końcu powiedziałam: - Głuptasy, dosyć tego, wynoście się.

Kiedy w końcu wróciłam do domu, w jadalni nie zastałam śladu śniadania, a Curtisa w ogóle nie było. Przez kuchenne drzwi ujrzałam Leona, który stał przy oknie, czytając gazetę w dziennym świetle. Tak, właśnie. Ale zobaczyłam tylko Leona. Nie Francisca. Podniósł głowę i spojrzał na mnie. Uśmiechnął się.

- Dzień dobry pani.

Cofnęłam się do korytarzyka. Pani? To tak teraz będzie? Jakby nic się nie wydarzyło? Ja tak nie potrafię. Gdybym chociaż usłyszała w tym zdaniu cień frywolności, mogłabym wierzyć, że żartował. „Mów mi Delia” - czy to powinnam powiedzieć? W jaki sposób po tylu latach odrzec własne imię z intymności i pozwolić mu go używać, skoro nie zamierzał go akceptować w taki sposób, jak to zrobił z moim ciałem? Czy to możliwe, że tak jak i Francisowi nie spodobało mu się moje imię?

Z mroku korytarza, skąd nie mógł dojrzeć mojej twarzy, powiedziałam:

- Nie ma Curtisa, więc pójdę po niego.

- Wszystko w porządku. Dałem mu dzisiaj wolne. To szaleństwo, żeby w jego wieku pracować w weekendy.

- Nie musi. Po prostu pracuje.

- No cóż, powiedziałem mu, żeby przestał.

- Tak po prostu, bez porozumienia ze mną... Cisnął gazetę, podszedł do mnie i złapał mnie za rękę.

- Przestań. To ja, na miłość boską. W tej chwili przestań - powiedział, gdy próbowałam się oswobodzić.

- Przed chwilą zobaczyłam siebie w lustrze, Leonie.

- Po prostu przestań. Chodź tu. Zobacz, co zrobiłem. Kawa, której, co muszę ci powiedzieć, Margaret nie potrafi przyrządzić I sok z pomarańczy. Usiądź.

Zrobiłam, jak kazał. Usiadłam na swoim własnym kuchennym stole. Miał rację, kawa była dobra. Obok mojego talerza leżała mała paczka.

- Otwórz - powiedział. - To dla ciebie. - W środku znalazłam notes w marmurkowej okładce, z długim sznurkiem przyczepionym do grzbietu, aby można go było nosić na szyi. Sięgnął, aby mi pokazać jak. - Zawsze robisz notatki i pisziesz jakieś listy, a potem je gubisz. W ten sposób będziesz je miała przy sobie.

Wydaje mi się, że okazałam zadowolenie. Wiele podobnych widziałam u niego w szufladzie, wśród biżuterii oraz pachnących dREW-

nianych pudełek. Rzeczy, o których nie powinnam była wiedzieć. Prezenty kupione na wszelki wypadek, dawane przy różnych okazjach. Jak gdyby dawanie było częścią jego strategii. Zrobiło mi się wstyd za to, co dawał mi do zrozumienia. Twierdzenie, że wybrał ten prezent specjalnie dla mnie, było kłamstwem. Czułam zażenowanie zarówno ze względu na siebie, jak i na niego.

Nachylił się do mnie i wyciągnął szpilki z moich włosów, rozrzucając je palcami. Zasłonił mi usta ręką, abym nie mogła protestować. Stał tak, obejmując mnie za szyję, z czołem opartym o moje czoło, kiedy nagle usłyszeliśmy chrząknięcie Curtisa.

Zwinęłam włosy, a Leon walnął pięścią w stół.

- Jezu! Czy nie umawialiśmy się, że masz dziś wolne?

- Tak, proszę pana, przyszedłem tylko, żeby opróżnić maselnicę i schować mleko do lodówki. Inaczej byłoby to marnotrawstwo.

Czułam się bardziej zdumiona niż zmieszana. Curtis nie miał na sobie marynarki ani koszuli, tylko podkoszulek z długim rękawem, nie zapięty nawet na guziki. Jego pasiaste spodnie miały rozsunięty suwak, nad paskiem zwisał okazały fragment czystych gaci. Jego nie uczesane, pozle-piane włosy tworzyły wokół głowy zbitą w kępki aureolę. Miał już swoje lata, poruszał się wolno i bez zwykłej oficjalności. Nie chciałam tego wiedzieć.

Wywłókł zza drzwi maślnicę, odlał do dzbanka jej zawartość, dzbanek wsadził do lodówki, umył maślnicę i z powrotem wyniósł ją na schody. Nigdy jeszcze czas tak się nie włókł, a my nie mieliśmy nic do powiedzenia. Kiedy wyszedł na korytarz, i było już za późno, aby odpowiedzieć, zawołał nie podnosząc głosu:

- Dzień dobry panience.

Słuchaliśmy szurania jego kapci, rozlegającego się na kamiennej posadzce.

- Nie miał gorsetu - stwierdził Leon.

- A nosi?

- Tak. Widziałem u niego w mieszkaniu i...

- Nie mów mi nic więcej. Wyglądało to brzydko, ale na szczęście mamy to już za sobą.

- Co? Jego brzuch?

- Wiesz dobrze, o czym mówię. Chodzi mi o to, że on mnie widział. A ja jego. I nie było fajnie.

- Jesteście przecież ludźmi, a nie chodzącymi ideałami. Przecież to właśnie udawanie ideałów sprawia, że możliwe stają

się pozorne przyjaźnie, pomyślałam. Zwłaszcza tutaj, w Sleet. Nauczysz się tego. Nauczysz się tak, jak i ja musiałam. Poza tym, czy nazywanie mnie „panią” także nie było pozorowaniem czegoś?

- Leonie, ja idę na górę, a kiedy wrócę... - w moim głosie coś musiało być nie tak, ponieważ Leon chwycił mnie za ramię i, jakby się spowiadał, oparł na nim głowę.

- Proszę, nie. Wiem, co pani chce powiedzieć. Ale błagam, nie teraz. Jeszcze nie teraz.

Zamknęłam oczy i nabrałam powietrza, czując, jak jego uścisk staje się mocniejszy. Wezwałam na pomoc autorytet Delii Sutherland.

- Bardzo dobrze. Teraz wychodzę do kościoła, a kiedy wrócę, może zechcesz mi pokazać, gdzie zamierzasz postawić te swoje paskudne małe chatki.

Tak więc Delia Sutherland, poważana matrona, udała się do kościoła. Usiadłam jak zwykle, samotnie, w ławie Caldwellów. Jak zwykle nie miało to dla mnie specjalnego znaczenia. Różnica polegała na moim rozradowaniu. Nigdy nie czułam w kościele radości, którą wymieciono z wersetów hymnów, póki oczyma wyobraźni nie ujrzałam Euturpii Kennedy, nagiej, w cieniu tego nadmorskiego drzewa. Była z Francisem, który mocno ją przytulał. Jej noga powędrowała wysoko, oplatając jego biodro; opierała się o jego ramię i zanosila się śmiechem.

Stałam z otwartymi ustami, mimo iż przestałam śpiewać. Już nie żyją, pomyślałam. Obydwoje. Na pierwszą wizję nałożyła się następna: Euturpia, zniszczona narkotykami, w swoim biurze, z oczyma wypełnionymi cierpieniem całego wszechświata.

Wyszłam z kościoła wraz z resztą wiernych; wszyscy zwolnili, aby przywitać się z pastorem. Na mój widok skinął głową. W swojej komży wyglądał jak napuszczony gołąb o białej twarzy i wścibskich oczach.

- Jeszcze nie wyjechałaś, Delio? To miło. Czy niedługo będziemy mieli przyjemność poznać pana Kennedy?

Z góry nastawiony na odmowę, Leon przyszedł do mojego pokoju, kiedy tylko zgasila światło. Właściwie kiedy jeszcze czytałam, już

był pod drzwiami. Niezbyt dużo czasu zajęło mu zastanawianie się pomiędzy drzwiami swojej i mojej sypialni. Rozebrany do połowy, szorując zęby, z niecierpliwością oczekiwał chwili, kiedy wreszcie będzie mógł wyrzucić z siebie myśli, które go męczyły.

Mówił do mnie „pani” bez cienia ironii. W jego ustach słowo to brzmiało jak pieszczotliwy zwrot. To bez znaczenia, myślałam. Za chwilę nic nie będzie ważne.

Wkrótce ludzie zaczęli mnie unikać. Kiedy przyszedłam z wizytą do pani May, ta udawała, że nie ma jej w domu.

Widziałam, jak schowana za zasłonką czeka, aż sobie pójdę. Młodszy wciąż się do mnie odzywał, ale w sposób, którym czułam się skępowana. I oczywiście wszyscy byli ciekawi, czemu nie wyjechałam. Rzecz jasna sądzili, że znają powód. Mieli rację.

Wątpię, czy zdążyły minąć dwa tygodnie, a o naszym związku wiedzieli już wszyscy. Gdybyśmy nie wiem jak bardzo starali się zachowywać dyskrecję, wszystkowidzące oczy pani Files oraz wścibkie plotki zawsze nas wyprzedzały. Cóż mogłam począć, oprócz mówienia sobie, że pielęgnuję w ten sposób swoje uprzedzenia? Jeśli jedno utracę, funduję sobie następne. Z fascynującą łatwością Leon sprawił, że zaczęto go lubić, akceptować. Odkąd sam się wszystkim zajął, nie otrzymał ani jednego wypowiedzenia. Nawet od Franka Grim-wooda. Być może przyczyną był fakt, że Frank nie mógł znaleźć innej pracy, lub to, że jego syn został zatrudniony przy budowie wakacyjnych chat. Każdy atak na Leona kończył się tym, że potępiano mnie. Unikałam farmy.

Raz stałam z Hollandem Mayem w Lasku Nowej Nadziei, czyli na czterdziestoakrowej plantacji buków, jesionów i dębów.

- Zostało się troszkę dłużej, co? - zagadnął.

- Tak. Troszkę. Aż tyle trzeba było ścinać?

- Zgadza się, proszę pani. A ci faceci z Happyhol nawet nie wiedzą, że już posprzątaaliśmy.

- Tak szybko pracujesz.

- Pan Kennedy przysłał mi wykonawców.

- Rozumiem, oczywiście.

- Jutro zaczynają stawiać domki. - Holland wskazał paczki z prefabrykatami ścian, zawiniętymi w czarne pokrowce, ułożone pod lasem, który liczył sobie tyle samo lat, co ja. Zasadzono go na cześć moich narodzin, a Holland był jednym z tych, którzy szczepili młode drzewka.

Kiedy byłam mała, ojciec zwykł mnie tam zanosić. Potem, jak już podrosłam na tyle, aby sama chodzić, od trzymania go za rękę bolało mnie ramię, a on opowiadał mi, jak je sadzono, i że przy ostatnim drzewie zrobiono przyjęcie. Opowiadał mi o tym za każdym razem, kiedy tam przychodziliśmy, a ja nigdy nie czułam się zmęczona słuchaniem. A kiedy wyglądało na to, że zapomniał o naszej litanii, sama nalegałam, aby mówił.

- Tatusiu, a ile lat mają moje drzewka?

- Tyle co ty, staruszko. To twoi rówieśnicy.

Aby zrobić miejsce na domki, ścięto już prawie jedną trzecią drzew, które jedno po drugim ściągano łańcuchami, przyczepionymi do traktora; jechały po ziemi, pomiędzy jeszcze żywymi, ociekającymi żywicą pniami. Fioletowy dym, buchający z płonących stosów gałęzi był tak gęsty, że trudno było oddychać.

- Smutne, co? - powiedział Holland. Popatrzyłam prosto w jego nieobecne oczy (leśnicy mają takie same oczy, jak marynarze), tak aby mógł zobaczyć, że moje zaszły łzami tylko z powodu ognia, i że mogę to wszystko znieść.

- Dobra robota, Holland. Leśnictwo dobrze nam zapłaci. Za oczyszczenie lasu czy coś w tym rodzaju.

Popatrzył jeszcze raz, odciągnął czapkę do tyłu i podrapał się po głowie.

- Mimo to smuci oczy. - Nie patrzył na mnie.

Po tym zdarzeniu wiedziałam, że będę unikać Nowej Nadziei. Przed odjazdem spojrzałam na las po raz ostatni. Holland przyglądał mi się. Wyciągnęłam do niego rękę. Nie odwzajemnił tego gestu, a całą scenę przesłonił buchający dym.

Jak mogłam oczekiwać, że mnie zrozumie?

Leon nadal zachwycał się swoim projektem i wciąż rozprawiał o zyskach. Nie próbowałam wzbudzić jego zainteresowania perspektywą opłacenia rachunku, tych siedemdziesięciu pięciu tysięcy za nawóz, ponieważ, rzecz jasna, sama go uregulowałam. Załatwiłam tę sprawę i było mi przyjemnie, że mogłam to zrobić. Miałam pozwolić, żeby utonął w morzu bankructwa, wykupić go, aby nigdy już nie wrócił? Nie, chciałam tylko, aby zrozumiał, że to ja zapłaciłam. O co mi chodziło? Czy chciałam finansowo wspomóc jego szalone pomysły, bo za takie wciąż je miałam? Sprawić, aby potrzebował mnie jeszcze bardziej?

To, że powodziło nam się lepiej, najbardziej widać było po tym, co jedliśmy: przepiórki, steki, turboty, dziki ryż, szampańskie sosy, wszystko gotowane w sposób, o który nigdy nie podejrzewałabym pani Files.

Pewnego ranka siedząca w kuchni ciotka pani Files, Megan, robiła straszny hałas, waląc nogami w kredens. W tym momencie weszłam ja. Kiedy pani Files przyprowadzała ją do pracy, dzień Megan upływał w kącie kuchni, gdzie siedziała na krześle, zastawiona barkiem na kółkach. Najbardziej irytujące było to, że zwykle siedziała w negliżu. Wydawało mi się to niegrzeczne i w pewnym sensie niehigieniczne.

Pani Files wyciągnęła obsypaną mąką rękę i wyłączyła radio.

- Dość już tego, cioteczko. - Odsunęła ją od kredensu, pomimo jej bezskutecznych protestów. - Przepraszam za tę nocną koszulę, proszę pani, wiem, że pani tego nie lubi, ale rano miała napad złości i nie było już czasu, aby ją ubierać. Tak było, co nie, cioteczko? - Te ostatnie słowa powiedziała podniesionym głosem. - Kto był niegrzeczny, co? - Pani Files powróciła do wyrabiania ciasta, tyłem do okna, tak że całe światło padało na mnie. - Ładnie pani wygląda, jeśli można powiedzieć. Bardzo ładnie.

- Pani także.

- To zasługa pana Kennedy'ego. On mnie tak ożywia, co nie jest złą rzeczą, prawda? I docenia mnie. - Gniotła ciasto z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Kiedy powiedziałam, po co przyszłam - po paragony od handlarza ryb, rzeźnika i nowych dostawców, z których usług musieliśmy korzystać - przerwała pracę i wytarła ręce w biały fartuch na płaskiej klatce piersiowej. Czekałam tylko po to, aby zobaczyć, że bez słowa od nowa podejmuje ugniatanie ciasta. Niemy bunt trwał tylko chwilę.

- Dobrze, proszę pani. Będę musiała sprawdzić, gdzie je schowałam. - Powiedziała tak po to, aby podkreślić, że uważa swój gest za przysługę, ponieważ z jej punktu widzenia nie było to moją sprawą.

Z szuflady bielizniarki wyciągnęła jakąś książkę; była oprawiona w marmurkowy papier, ze skórzanym grzbietem. Do środka wetknięte były paragony, postrzępione na brzegach. Bezwiednie zakryłam własny notesik, wiszący na piersiach. Dostrzegła ten ruch i wyciągnęła swój notes w moją stronę.

- Ładne, prawda?

- Wypuść mnie stąd! Wypuść! Nie masz prawa mnie tutaj trzymać! Powiem wszystko państwu - skrzeczała Megan.

- Później, cioteczko, później, kochana. Za chwilę dostaniesz herbatki, myszko. - Staruszka nie dała się uspokoić.

Szamotała się na krześle tak długo, aż jej głowa znalazła się na siedzeniu, a koszula nocna zawinęła się do samej szyj.

Jej gołe nogi kopały o podłogę.

Do kuchni zajrzał Leon.

- Hej, Margaret, co to za hałas? - Zobaczywszy, co się święci, wszedł do środka i stanął przed Megan. Wziął się pod boki i przechylił krytycznie głowę. Pasowałby do jakiegoś muzeum, tak bardzo był niewzruszony. - Wiesz dobrze, Megan, że nie jest to zbyt piękny widok.

Zamarła z nogami w powietrzu; ciągle nie było widać jej twarzy.

- Ty jesteś panem?

Trąciliśmy się łokciami i pośpiesznie opuściliśmy kuchnię, żeby nikt nie usłyszał naszego śmiechu, i znaleźliśmy się w schowku na srebro. Równocześnie zdaliśmy sobie sprawę, że przebywając w tym. pomieszczeniu bez okien, z zielonymi, wyłożonymi sukrem półkami, na których leżało zawinięte w woreczki srebro, nie jesteśmy sami. Na stołku przy wysokim, sosnowym stole przycupnął Curtis. Różową szmatką polerował widelec. Pozwolił, abyśmy się mu przyglądali, gdy pod światło oceniał swoją pracę.

- Mówiłem pani Files, żeby zakładała cioteczce reformy, jeśli już musi ją ze sobą zabierać. Nigdy mnie nie słucha - mruknął.

Wydał wzgardliwie wargi i dalej polerował, dopóki jego wzrok nie natknął się na nas. Miał intensywnie zielone oczy. Wcześniej nigdy nie zauważyłam ich głębi oraz igrających w nich iskerek humoru.

Nie otrzymałam w końcu paragonów od pani Files. Więcej nie prosiłam.

Dopiero później, kiedy szłam z psami, dyndający na szyi notesik przypomniał mi o czymś niezbyt miłym. Odłożyłam więc go na takie miejsce, żeby już więcej go nie oglądać.

XIV

To ciekawe: przez kilka dni nie przychodziłam do Nowego Jorku, od kiedy wstawili do środka stoliki - jak już wspomniałam, wrócę tam, kiedy będę miała nastrój, aby kupić jedwabny bukiet. Wybrałam właśnie Nowy Jork i nie chcę chodzić gdzie indziej. Przechodzę obok każdego ranka i zauważyłam, że kelner, ten wyniosły młody kelner wychodzi, kiedy mnie widzi. Któregoś dnia do mnie skinął, a wczoraj nawet się uśmiechnął. Zarobiłam na ten uśmiech czterema miesiącami siedzenia tutaj oraz nagłym zaprzestaniem kultywowania tego zwyczaju. Chyba lubię tę francuską kafejkę. Interesujące: dzisiaj rano, a mamy przepiękny, słoneczny dzień, na zewnątrz wystawiono jeden stolik i pojedyncze krzesło. Prawda, że nie mogłam przejść obojętnie?

- Przepraszam. Pewnie chcesz tutaj usiąść, a ja zająłem ci miejsce, bo tu jest lepsze światło. Jeszcze momencik - poprosił Leon.

— Nie, nie trzeba. Czytaj sobie.

Siedział w moim fotelu w salonie. W tym samym, gdzie pomiędzy oparciem a siedzeniem leżała wciśnięta poduszka, specjalnie dla mnie; obok którego kiedyś leżał plik papierów, czekających, aż je przejrzę. Już ich nie ma, skończyło się.

- Usiądę obok.

Głowę trzymał tak blisko czytanego tekstu, że obawiałam się

o jego wzrok. Sięgnął do mosiężnej lampy, która stała za nim w rogu, i skierował inaczej strumień światła.

Od dwóch miesięcy byliśmy kochankami i stosunki między nami uległy poprawie. Mogłam mu przeszkadzać, siadając na podłodze

i pieszcząc jego stopy. Często tak robiłam; odchylałam głowę do tyłu, a on mnie całował i całował. Potem wracał do przerwanej pracy, a ja otwierałam swoją książkę. Tak było; lubiliśmy to. Ale tego wie-

czoru, patrząc, jak się zмага z liczbami, które nie chciały się zgadzać, musiałam coś powiedzieć.

- Co robisz? - zapytałam, choć znałam odpowiedź.

- Te przekłete liczby. Domki. No, wiesz - odparł z roztargnieniem.

Sięgnął za wycięcie swetra i wyciągnął z kieszeni koszuli kalkulator. Coś na nim obliczał, wciśnięty w fotel, i od czasu do czasu porównywał z dokumentami.

Rozgarnęłam ogień pogrzebaczem i patrzyłam na Leona, oparta o gzyms kominka. Gdybym wtedy potrafiła zachować nie zmieniony wyraz twarzy, może udałoby się dojść do głosu naszej miłości, która przecież istniała ponad wszystkim. A warto było go nie zmieniać, ponieważ tak wyglądałam chyba po raz ostatni. Rzadki przypadek.

- Czy obliczenia się zgadzają, Leonie? Podrapał się w kostkę i potrząsnął głową.

- Te cholery nie wykazują tego, co bym chciał, ale zmuszę je do tego. Poczekaj tylko. - Popatrzył na mnie. -

Przepraszam, za chwilę przestanę. Nienawidzę tak marnować wieczoru. To nieludzkie.

- Myślałeś o rachunku za nawóz?

- Będą musieli poczekać. Jeszcze tylko kilka tygodni.

- I co potem?

- Potem wszystko będzie dobrze. Więc się nie martw. Niedługo będziesz mogła kupić tyle gówna, ile zechcesz.

- Dzięki domkom?

- No. - Znowu wczytywał się w dokumenty.

- Posłuchaj, Leonie - chciałam to powiedzieć w taki sposób, aby je odłożył, i tak też zrobił. - Zapłaciłam za nawóz. I nie jest to żadna pożyczka. Chcę, żeby wszystko szło dobrze zanim, jak by to powiedzieć... zanim domki się zwrócą. Jeśli w ogóle się zwrócą.

Gapił się na mnie tak długo, aż mój uśmiech przestał być właściwym wyrazem twarzy. Odłożył pracę i podszedł do chińskich ludzików, moich ukochanych chińskich ludzików. Stał tyłem do mnie, z rękami w kieszeniach.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Potrzebowałam pomocy. To musiało zostać zapłacone. Nadal nie rozumiesz, że...

Odwrócił się. Stolik z porcelaną zadrżał.

- Ostrożnie - powiedziałam pośpiesznie i niezbyt głośno. Nie dostrzegłam jego gniewu, myślałam, że po prostu był nieuważny.

- Nie!!! - wykrzyknął. - To ty nie rozumiesz! Rozmawiałem z tymi facetami od nawozu! Wiedzieli, że im zapłacę! Wszystko było ustalone, termin zapłaty. Nie chcę twoich pieniędzy! Słyszysz?! Mówiłem ci. Nie masz żadnego interesu, aby płacić moje długi czy długi Sleet za moimi plecami!

Nadal nie mogłam pojąć, o co mu chodzi. Stałam, prawdopodobnie wykrzywiona ze złości, kręcąc przecząco głową.

- Proszę cię, Leonie. Chciałam to zrobić. Nie mogę tak po prostu stać i patrzeć, jak się zmagasz z trudnościami.

Przyjrzyj się sobie i tym swoim obliczeniom. Naprawdę myślisz, że ci się uda? Daj spokój. Poważnie?

Cisza trwała tak długo, że zaczęłam skubać paprochy ze swojej czarnej dżersejowej sukienki; miała szeroką szarfę, abym nie wydawała się tak wysoka.

Wyraz jego twarzy przypominał mój, ale on nie wydawał się zadowolony, raczej współczujący.

- Posłuchaj. Jestem ci wdzięczny, ponieważ wiem, że nie chciałabyś mi tych pieniędzy pożyczyć. Tak przynajmniej mówiłaś. Wiem, jak trudna musiała być dla ciebie taka decyzja. - Wszystko to było bardzo wyważone, przemyślane.

- Ale wiedz także, iż nie potrzebuję twoich pieniędzy. Mam własne.

- Na pewno masz, jak przypuszczam dostałeś od matki. Mówiła, że zarabia. Ale powiedz, tak poważnie, ile?

- Dlaczego to robisz?

- Co takiego?

- Dlaczego zawsze, kiedy mówisz o mojej matce, drapiesz się po rękę?

- Naprawdę?

- Tak. Za każdym razem.

- Och.

- Masz rację. Miałem od niej pieniądze, ale nie sumę na tyle poważną, aby myśleć o prowadzeniu Sleet, więc sprzedałem trzydzieści akrów. Czyli Ragge Down. Pierwszorzędna ziemia. Zaplanowaliśmy to kilka tygodni temu.

- My?! My?! - Tak, och tak, krzyczałam. On nie.

- To znaczy ja i David Rosen.

W końcu odzyskałam miejsce na własnym fotelu.

- David nie był tutaj od miesiący. Od twojego przyjazdu.

- Spotykamy się w Londynie, rozmawiamy przez telefon. Daj

spokój. Czułby się niezręcznie, przychodząc tutaj do mnie, skoro przez tyle lat pracował dla ciebie. Szanuję to. Ty nie?

Ragge Down, miejsce, gdzie moja matka chodziła z chartami na spacer? W którym urządzaliśmy przyjęcia z okazji dożynek? Gdzie tatuś brał udział w wyścigu Valentine Harbroke na kucyku arabskim, ponieważ się upił i założył, że każdy głupi potrafi jeździć konno, a potem przez dziesięć minut leżał nieprzytomny, z nogą złamaną w trzech miejscach? Ragge Down, gdzie w zeszłym roku siałam pszenicę? I w końcu gdzie pojawił się ten stary borsuk?

Ragge Dawn?

- Znam Ragge Down.

- Domyślam się.

- Niszczysz Sleet. Wykańczasz je. Czy nie rozumiesz, że nie wolno ci nigdy sprzedawać ziemi? Jak raz się zaczniesz, nie można przestać. Jeszcze nie jest za późno. Nie rób tego.

- Muszę. To cztery mile od tego domu. Nigdy nie poczujemy różnicy, a im potrzeba nowych domów. To ziemia z przyszłością. Urbaniści są przyjaźnie nastawieni. Nie niszcę tego miejsca. Chcę tylko, aby zaczęło żyć. To jedynie trzydzieści akrów, a one dadzą mi gotówkę, której potrzebuję.

Nie wiem, jaką miałam minę, ale chyba nie najlepszą. Podszedł do mnie, ukląkł i położył mi głowę na kolanach.

- Nie patrz tak. Nienawidzę tego.

Chciałam pogłaskać go po włosach, oczywiście, że chciałam; ale tego nie zrobiłam. Patrzyłam tylko, jak trzyma tę swoją głowę na moich kolanach.

- Właśnie dlatego ci nie mówiłem - powiedział. - Nie wiedziałem jak. Nie chciałem, abyś tak na mnie patrzyła.

- Dam ci pieniądze na te twoje... no jak ty to nazywasz... projekty. Francis zostawił mi olbrzymi majątek. Co jest złego we wzięciu ich ode mnie zamiast wyprzedawania Sleet?

- Nie pytaj. Proszę. Jeśli nie zdołam cię przekonać, to nie wiem, co się stanie - potrząsnął mną. - Będziesz taka szczęśliwa, kiedy to wszystko się uda. Wiem, że będziesz.

Wstałam, a on opadł na bok.

- Znowu to samo - powiedziałam. - Jeszcze jedna strata, następna obraza, którą muszę przełknąć. Nie, Leonie. Nie zrobię tego, nie będę się na to wszystko patrzeć.

Byłam już prawie w drzwiach, kiedy szarpnął mnie za ramiona i odwrócił do siebie. Pamiętam jego oczy, w których zobaczyłam

dwie rzeczy: po pierwsze gniew, ale zaraz za nim, gdzieś pod powierzchnią - strach.

- O nie. Nie zrobisz mi tego jeszcze raz. Nie mów, że mnie opuszczasz, ponieważ nie zrobisz tego. Nie możesz. Nie wolno ci. Nie będziesz mnie zostawiać za każdym razem, kiedy coś się stanie. Mówisz, że mnie kochasz, ale... - Jego głos był odmieniony, piskliwy, nieopanowany.

- Leon.

- Zostań. Omówimy to jeszcze. No chodź, chpdźże! - zawróci! mnie z powrotem.

- Leon.

- Tak, tak. Mów. Wyjaśnij. Rozumiemy się przecież. Wiem, że tak.

- Nigdy nie powiedziałam, że cię kocham. Puścił mnie. Odzyskał normalny ton głosu.

- Ale tak jest. Wiem, że to prawda.

- Być może, ale nie wmawiaj mi, że mówiłam coś, czego nie powiedziałam.

- A ty w takim razie nie mów, że odchodzisz.

- To weź moje pieniądze. Nie sprzedawaj Sleet.

- Nie sprzedaję Sleet, to tylko trzydzieści akrów. Po to, aby zachować resztę. Dlaczego nie możesz na to przystać? Nie chcę twoich pieniędzy. Chcę sam je zarobić.

- Więc o co ci chodzi? Do czego ci jestem potrzebna? Żeby siedzieć i robić na drutach, podczas gdy ty będziesz przepuszczał to miejsce? Czego na Boga oczekujesz? No?

Wzruszył ramionami i ucisnął kciukami skronie.

- Chcę, żebyś po prostu była. Tylko tyle. Dlaczego nie potrafisz zwyczajnie pławić się w mojej miłości? Chcę, żebyś była. Tutaj. Tak, jak do tej pory. Taka, jaka jesteś. - Mówił niepewnie i z wysiłkiem.

Zamknęłam drzwi; jego zostawiłam za nimi. Poszłam do pokoju. Z lustra nad półokrągłą toaletką szyderczo wyszczerzył się do mnie Chudzielec. To próżność, prawda? Tak mówi się o tych, którzy przeglądają się w lustrach. Jeśli chodzi o mnie, poszukiwałam jakiegoś potwierdzenia albo chociaż przypomnienia sobie o własnym istnieniu. Konfrontowałam się również z twarzą, której nie lubiłam, uważając ją za niesympatyczną, oceniając jej rysy i postępującą z minuty na minutę zmianę, łagodność, jaka się w nich pojawiała. Zastanawiałam się równocześnie, co każe mu na mnie patrzeć z taką czuło-

ścią w chwilach, kiedy myśli, że tego nie dostrzegam. Chciałam nie tylko odnaleźć przyczynę, ale być może ją zachować.

- Co robisz? - obok mojej twarzy pojawiła się jego twarz.

- Przyglądam się sobie.

Przycupną! na stołku. W lustrze odbijały się jego plecy i wyciągnięta ze spodni koszula. Byliśmy tak blisko siebie, jednocześnie się nie dotykając, każde pozostawione samemu sobie.

- Nie wyjeżdżasz, prawda?

Patrzyłam na odbicie Chudzielca aż do chwili, kiedy się rozmasało, zastąpione moim własnym.

- Nie. Jeszcze nie teraz. Wszedł; wrócił ze swoim klarnetem.

Dołożyłam do ognia. Zaczęłam palić w kominku, odkąd przychodził do mnie na noc. Po prostu pewnego dnia było w nim pełno drewna, chociaż nigdy wcześniej go nie używałam. Przypuszczalnie autorem tego pomysłu był Curtis.

Oczywiście, że on.

Czekałam na niego rozparta w fotelu. Wszedł, ssąc nowy stroik, aby go nawilżyć, i ze zmarszczonymi brwiami zaczęła się zastanawiać, co by tu zagrać.

- Wiem już. Jeśli pamiętasz, powiedz, co to za melodia.

Jego całkowite zaabsorbowanie tym, co robił, było czarujące. Poza muzyką wiele rzeczy w życiu sprawiało mu przyjemność. Plany ogrodnicze, wybieranie roślin do szklarni po tym, jak je odnowiono, projekty dla Sleet. Zarówno tym sprawom, jak i innym, mającym z nimi coś wspólnego, poświęcał tyle samo radosnego zaangażowania. Teraz, przebiegając palcami po srebrnych klapkach instrumentu, pławił się w swojej muzyce - bezpiecznym miejscu.

Moją pewnością siebie zachwiała sama myśl o tym, czy może być większa dyscyplina niż ta, którą sobie narzucam. To przez niego. Czyż nie zapraszał mnie do tego bezpiecznego miejsca, czyli tam, gdzie nie było nic do zrobienia poza akceptowaniem i rezygnacją? Odłożył klarnet.

- No i co? Wiesz, co grałem?

- To było... Nie, nie mów. Sama wiem. „Blues sobotniej nocy”. Becheta.

- Doskonale. Znasz się na tym.

- Miałam czas, aby się poznać.

- To posłuchaj tego. Na pewno nie będziesz wiedziała. Usiądź. Wygodnie. - Wsunął ustnik pomiędzy swoje blade pełne wargi.

Wiedziałam, że jestem w pułapce. Schwytana w cykliczne niedoszłe wyjazdy tylko po to, aby w końcu pozostawać. Było tak, odkąd przyjechał. Za każdym razem coraz bardziej dawałam za wygraną, akceptując fakt, że to, czego chciałam go nauczyć, nie było mu potrzebne, natomiast to, co miałam do zaoferowania - już zabrane. Z każdą chwilą stawaliśmy się sobie coraz bliżsi. Bez żadnych wyjaśnień czy rozumienia, jak to się dzieje.

Kiedy zwinnie skoczył na moje łóżko, i położył się, oczekując, przypomniałam sobie jednego z psów mojej matki, który po jej śmierci, zanim go oddano, o świcie w identyczny sposób wskakiwał do mojego łóżka. Wspomnienie to wywołało mój uśmiech. On uśmiechnął się także, w mojej ciemnej sypialni, bez wątpienia do swoich własnych wspomnień. Czasami myślę sobie, że im bliżej są ciała, tym dalej dusze. Usiadł okrakiem na moich kolanach i przytulił mnie, bardzo mocno.

- Dziękuję ci. Dziękuję - powiedział głosem zachrypłym z przejęcia.

- Za co?

- Za nic. Po prostu dziękuję.

Wtedy zaczęłam spijać z jego ust tę szczerłość, z którą dawał mi swoją miłość, tak, abym i ja - cyniczna, skryta Delia Sutherland -mogła odwzajemnić się tym samym. Tak jak kiedyś, całe wieki temu, przez jedyne pięć minut odwzajemniłam się jego ojcu.

Nad ranem wyszłam, zostawiwszy go śpiącego snem sprawiedliwego, na tyle jednak czujnie, że kiedy się pochyliłam, aby pocałować go w głowę, wystającą z kotłowaniny poduszek, prześcieradeł i koców, złapał mnie za rękę.

- Nie. Wracaj. Jest za wcześnie. O wiele za wcześnie. - Przez ten czas, kiedy on leżał w łóżku, gdzie Curtis przynosił mu tacę, ja zdążyłam zjeść śniadanie i wyjść na spacer z psami.

Nie wiedziałam, czym go tak mobilizuję; tak jednak było, a on stawał się coraz silniejszy. Robił projekty, którymi nie mógł się ze mną podzielić, a te dawały początek następnym niebywałym poczynaniom, odbierającym sens mojej egzystencji w Sleet, jedynym środowisku, w którym potrafiłam żyć.

Liczyłam każdą minutę, jaką spędzaliśmy razem, ponieważ wiedziałam, że koniec musi nadejść. Bałam się przyznać do tego, jak wielkie znaczenie ma dla mnie jutrzejsze bycie razem.

Leon nie zdradzał, o czym myśli, z wyjątkiem spraw dotyczących terażniejszości. Był zadowolony i zajęty. Powoli wszystko zaczęło się

układać: domki letniskowe, stajnia, szkółka jeździecka i najgorsze ze wszystkiego (nawet dzisiaj z trudem piszę te słowa) dwustuakrowe pole golfowe. Uważał, że rolnictwo nie ma przyszłości i że należy inwestować w rekreację. Wstyd mi się przyznać, ale nie miałam dość rozumu, aby zatrudnić słono płatnych profesjonalistów, których od kilku lat mi doradzano. Niewątpliwie jemu także.

Miałam wiele czasu, aby zauważyć, że nieuchronnie zbliża się mój kres.

Odpoczywałam na leżaku pod schodami do salonu, kiedy poruszyło mnie coś, co wyczytałam u Andre Maurois: „Niebezpieczny wiek daje się we znaki tym kobietom, które swoją kobiecość okłamywały. Kiedy na ich ciałach pojawiają się oznaki upływającego czasu, kobiety poddają się obsesji żalu, który przeradza się w manię”.

Może powinnam się była wystraszyć? Przecież, poza wszystkim, nie miałam dzieci. Co miał na myśli Maurois, pisząc „kobiecość”? Czy Leon był moją obsesją? Czyżby to właśnie brak równowagi w niektórych sprawach skłaniał mnie do podejmowania tak częstych prób wyjazdu? Przecież nie wymyśliłam sobie tego, że Leon mnie potrzebuje, a już na pewno tego, jaką formę ta potrzeba przyjęła. Z kolei moja potrzeba, aby go zaspokoić, także nie była moim wymysłem. Czyżby więc miało to być cichą aluzją, że za to, co mi dawał, abym mogła jakoś dalej iść, odciąć przeszłość i dać sobie radę w nowej sytuacji, odwzajemniłam się zachłannością albo samolubstwem? Nie, to było nie do pomyślenia, przecież staliśmy się sobie tak bardzo bliscy.

W porządku, straciłam swoją pracę, swoją pozycję. Jedynym zajęciem, jakie mi pozostało, była posada dyrektora szkoły St Mary. Ledwie to znosiłam. Jak dotąd udawało mi się zachować spokój. On był silny. Czy muszę jeszcze dodawać, że kiedy wspominałam mu o życiu, które mnie czeka - mała posiadłość w Szkocji, stadko owiec - wrzeszczał „Przestań!”, albo po prostu „Nie!” Po czymś takim wydawał się rozczarowany sobą, jakby na chwilę się zapomniał i przestał działać w sposób, który tylko on rozumiał. Pocierał wtedy ręką o coś, co znajdowało się najbliżej: ścianę, krzesło, albo drzewo.

Kiedy jego frustracja mijała, stawał się jeszcze czulszy i miał nowe plany: odwiedziny leśnej szkółki, odbudowa ruin nad jeziorem lub wieczór u Ronniego Scotta w Londynie.

Wszystko, co nas dzieliło, związywało nas jeszcze bardziej. Czekaając, aż się zgodzę, przyglądał się mojej twarzy z uśmiechem, który

miał przysłonić panikę w moich i jego oczach. Wiedział, że kiedy przyjdzie czas, zdobędę się na to, by wyjechać, tak po prostu. Miał rację. To właśnie mnie gryzło.

Zostawałam w domu, podczas gdy on wyjeżdżał i zajmował się tym, co najbardziej lubił. „Diabeł tkwi w szczegółach - mówił. - Za dużo potem z tym kłopotów, lepiej sam się nimi zajmę. Przynajmniej będę pewny, że wszystko zostało zrobione”. - Ale nie było.

Siedząc na leżaku u stóp schodów, usłyszałam za sobą jakiś ruch. Curtis. Niósł drabinę, aby wytrzeć z kurzu książki w oszklonej biblioteczce. Siedziałam na słońcu i nie przesunęłam się ze swojego miejsca.

- Znowu książki? - rzuciłam przez ramię.

- Już czwarta półka, panienko. Ledwie kończę, a znowu muszę zaczynać. Zaraz znowu będę przy Vertue. Lubię go. „Sculptures par G. Vertue”. Taka piękna czerwień, dobrze jej robi lekkie przetarcie. Warto się pomęczyć.

Rozłożył drabinę i podszedł do mnie. Szary fartuch i podejrzenie wciągnięty brzuch. Dlaczego nigdy wcześniej nie wpadłam na to, że nosi gorset? Na rękę miał miedzianą, grawerowaną bransoletę.

- Popatrz - powiedziałam - widzisz te pajęczyny, przyglądałam się im. Wydaje się, że nie mają ani początku, ani końca, po prostu ciągną się donikąd.

- Nie mogę powiedzieć, że widzę, panienko.

- Oczywiście, że nie możesz. Nie zobaczysz, dopóki się nie schylisz. Schyl się, o tak. Tam, w kącie, słońce na nie pada.

Kolanami ścisnął ściereczkę od kurzu, zgarbił się, pochylił głowę w moją stronę i bacznie się wpatrywał.

- A tak. Teraz widzę. Muszą mieć z metr albo więcej, jeśli są przyłączone do drzewa czy nawet krzaków. - Snuł domysły na temat innych punktów zaczepienia, aż w końcu podsumował: - A to dopiero!

Aby nie patrzeć mu prosto w twarz, czekałam, aż stanie na szczycie swojej drabiny.

- No tak. A my ciągle tu jesteśmy.

- Tak, panienko.

- Ciągle tutaj.

- Tak, panienko.

- Nie zwolniliśmy się. Ani ty, ani ja, ani nawet pani Files.

- Nie, panienko. Myślę, że jeszcze trochę zostanę, dopóki pan Kennedy będzie chciał. Aż stanie na nogi.

- Ach tak. Tak właśnie mi się wydawało.

- Tak, panienko.

Ach, jak wsłuchiwałam się w te słowa i to, co w nich mogło być, ale nie znalazłam niczego, oprócz zgodnego przytaknięcia.

- Czy nie wydaje ci się, że on już stanął na nogi?

Przestał rytmicznie ostukiwać ściereczką książkę. Kiedyś mi powiedział, że tłuszcz z ludzkich rąk jest najlepszym sposobem, jaki zna, na utrzymanie okładek w dobrym stanie. Obrócił palcami miedzianą bransoletę i nie patrząc na mnie odpowiedział:

- Na to wygląda, panienko. - Po czym nasze spojrzenia się spotkały.

W taki sposób, znając go przez całe swoje życie, w końcu pojęłam, że Curtis troszczy się o mnie. Nie to, żebym wcześniej myślała na odwrót, ale po prostu na to nie wpadłam. W jego „na to wygląda, panienko” odnalazłam nieograniczoną przyjaźń, pozbawioną osądów czy oczekiwań.

Ile już lat dbał o to, aby nikt mnie nie zranił ani nie ośmieszył? Od kiedy zaczął się troszczyć o zamkniętą w sobie kobietę, jaka wyrosła z ponurej, małej dziewczynki o zmierzwionej czuprynie, którą woził i odbierał ze szkoły, pomagał w odrabianiu lekcji, pielęgnował podczas odry i zapalenia opon mózgowych, które przechodziła w rok po śmierci matki? A ja, co o nim wiedziałam? Nic, poza tym, że jego ukochany brat, z którym mieszkał w małym, schludnym domku zmarł, kiedy miałam osiemnaście lat. Z tego właśnie powodu przeprowadził się do mieszkania w tym domu. Zachowałam do niego dziecinny stosunek: to on brał udział w moim życiu, nie ja w jego. O jego słabostkach, nastrojach dowiedziałam się później. Potem o gorsecie, a na sam koniec, dopiero teraz, że trzyma moją stronę.

Przycisnął dół siebie rękę i obracał bransoletę od Leona.

- Ładnie ci w niej. - Tak było naprawdę, teraz, na tle jego skóry, nabrała koloru.

Zarumieniony z zadowolenia wyciągnął rękę, aby móc ją lepiej widzieć.

- I ja tak myślałem, panienko. On to ma gust. - Potem znów przysunął ją do twarzy, jakby chciał usłyszeć, co bransoletka do niego szepcze.

Zostawiłam go sam na sam ze „Stephani Thesaurus”. Po kolacji tego samego dnia Leon zniknął na górze i powrócił z plikiem papierów, które rozłożył na biurku, aby je posprawdzać

i zrobić notatki. Nic nie powiedziałam, ponieważ te papiery do bólu przypominały plany. Oczywiście. Były to mapy Sleet. Następne działki na sprzedaż. Nie mogłam się powstrzymać.

- Plany, Leonie?

- Taak.

- Tak też myślałam. Oczywiście plany Sleet, prawda? - Ponieważ nie odpowiedział, byłam pewna, że musi być bardzo źle, skoro pomimo jego niepowstrzymanego entuzjazmu woli mi nic ni mówić. -Ile akrów tym razem? - Nie byłam w stanie przestać.

- Czego?

- Sleet.

Słyszac niepokój w moim głosie zmarszczył brwi.

- Ach, chodzi ci o mapy. Nie, to Francja i Północna Afryka. Drogowe. To na naszą wycieczkę. Mój samochód ma ochotę się przejechać, więc musimy mu towarzyszyć. Widzisz to miejsce, Hawr? Tu zaczniemy. Potem Paryż. Musimy pojechać do Paryża. Byłaś tam kiedykolwiek?

-Nie.

- Świetnie. Potem udamy się tutaj i tu, a potem do Marsylii.

- Co jest pięknego w Marsylii?

- Sam nie wiem. Nigdy tam nie byłem, nigdy nie byłem w Europie. Podniecają mnie nazwy, to wszystko. Smakują jak spełnione marzenia, a tak łatwo sprawić, żeby stały się realne, po prostu tam jadąc. Marsylia jest miejscem zetknięcia się dwóch kultur. To z pewnością nora. Ale kto by się tym przejmował? Stamtąd popłyniemy statkiem do Północnej Afryki. A potem dokąd będziemy chcieli. Nie sądzisz, że to dobra nazwa? Marsylia, Marsylia. No, powiedz. Sama powiedz. Spróbuj. Smakuje nieźle.

Roześmiałam się i podeszłam, aby zasłonić okna, ale nadal było zbyt jasno.

- Przejdziemy się?

- Nie interesuje cię nasza wycieczka? Niechętnie przystąpiłam do jego gry.

- Dobrze, w takim razie kiedy?

- Na jesieni?

- Na jesieni? Pomyśl tylko. - Nie ma nic takiego jak jesień, dodałam w myślach.

Złożył mapy.

- Widzisz? Dlatego nie pokazałem ci ich od początku. Nie wie-

rzysz, że tak się stanie, ale ja wiem, że tak. Nic nie szkodzi. Jasne, że możemy iść na spacer.

Nie wziął mnie za rękę jak zwykle; tym razem objął mnie mocno za ramiona, pełen zrozumienia dla mojej wewnętrznej niepewności.

Kiedy wracaliśmy Leon, jakby nie chcąc zakłócać panującego w ogrodzie spokoju, powiedział cicho:

- Mam ogrodnika, który niedługo tutaj przyjedzie i zajmie się tym wszystkim - wskazał na grupę zniszczonych rzeźb, obwisłą per-golę klematisów, zachwaszczone donice, pustą fontannę i poprzerastane krzewy. Już nie pamiętałam, że kiedyś było tutaj pięknie. - Pomyślałem, że będziemy musieli przejrzeć stare zdjęcia w albumach, aby zobaczyć, jak to kiedyś wyglądało, i wszystko odtworzyć. Bo chyba nie uda się nam wymyślić nic lepszego, prawda?

- Tak.

- Jest jeszcze coś.

Wiedziałałam o tym. Jego głos zawsze stawał się nadzwyczaj uprzejmy, kiedy miał mi oznajmić o czymś dla mnie trudnym. -Co?

- Chcę, abyśmy wydali przyjęcie.

- Leonie, na litość boską! - Uwolniłam się z jego objęć.

- Daj spokój. Wysłuchaj mnie tylko. Z nikim się nie spotykamy, pani Sutherland. Jest tu dużo miejsca, nakryjemy stół w jadalni. To niedobrze tak się separować od ludzi. Chcę się z nimi spotkać i chcę, aby mnie poznali, dowiedzieli się, że tutaj mieszkam. Dobrze? Jeśli się nie pokażemy, będą o nas gadać.

- Gadać? Cóż, trudno. Myślisz, że teraz tego nie robią?

- Może.

- Z pewnością.

- Wszystko jedno. No i co, kogo w takim razie zaprosimy?

- Sam zadecyduj. To twoje przyjęcie, ja nie mam nic do gadania. Jesteś młody i oczywiście potrzebujesz towarzystwa. Rób wszystko, ale beze mnie.

- To nie jest odpowiedź. Przyjęcie jest dla nas dwojga. Po to, aby oficjalnie obwieścić, że jesteśmy dumni i szczęśliwi, mogą być razem.

- Po prostu nie potrafię.

- Bo nie jesteś ze mną szczęśliwa?

- Nie. Ponieważ, do licha, nie znam nikogo i szczerze powiedziawszy, to za duży dla mnie kłopot.

- Tak też myślałem. Kłopotów nie będzie, bo wszystko załatwię ja. Tobie pozostaje zaproszenie. Z pewnością znasz ludzi; nie chcesz sobie tylko zawracać nimi głowy. Wiesz co, za każdą zaproszoną osobę kupię ci jedno drzewo. Posadzimy mały lasek i nazwiemy go Lasem Spełnionych Marzeń.

- Drzewa... marzenia...

Kolacja miała się odbyć w sobotę wieczorem za dwa tygodnie i Leon chciał, aby przyszło na nią dwadzieścia osób, czyli komplet do jadalnianego stołu. Wątpiłam, czy uda mi się zaprosić choćby dziesięcioro gości.

Minęło już dużo czasu, odkąd ostatni raz rozmawiałam z Muriel. Nie przejąwszy się tym faktem zadzwoniłam do niej i zaprosiłam ją do ogrodu.

- Dlaczego chcesz wychodzić, tutaj jest wspaniale - powiedziała, wchodząc do salonu. - Coś zmieniłaś?

-Nic.

- Tak przypuszczałam. Ciekawe tylko, dlaczego jest tu jakoś inaczej. Wyglądasz prześlicznie.

Wyjaśniłam jej, że zostałam, aby pomóc Leonowi się urządzić -czego nie skomentowała - na cztery miesiące, i że ja, to znaczy właściwie my chcemy wydać przyjęcie, aby mógł poznać sąsiadów. Wydawało mi się, że wyczuwam jej całkowitą obojętność. Muriel słuchała z miną sędziego ze szkolnego przedstawienia. Moje tłumaczenia okazały się jednak niewypałem. Kiedy umilkłam, zapytała:

- A więc plotki są prawdziwe?

- Jakie plotki?

- O tobie i panu Kennedym. - W odpowiedzi wyjęłam z koka szpilkę do włosów. - A więc to tak. Mówisz o przyjęciu.

Domyślałam się, że po to tutaj jestem - obdarzyła mnie jednym ze swoich krzywych uśmiezków.

Spośród adresów sklepów, dostawców i biznesmenów, które wypełniały mój notatnik, pomogła mi wybrać dwunastu potencjalnych kandydatów. Mnie wydało się to cudem.

- Nie przyjdą. Po pierwsze dlatego, że zaproszenia dostaną z jedynie tygodniowym wyprzedzeniem, a po drugie co ich to w końcu wszystko obchodzi.

- Jak to co ich obchodzi? - kwiknęła Muriel. - Oszalałaś? Będą się zabijać, żeby przyjść! Jesteś pewna, że chcesz urządzić to przyjęcie?

- Nie, ja nie. To pomysł Leona.

- A ja myślałam, że twój. No, w takim razie dzwoniemy.

Matthew Hurst, handlarz dziełami sztuki, z którym konsultowałam kilka razy ceny obrazów, emerytowany pułkownik Peters, były członek zarządu w szkole St Mary zgodzili się od razu. Zadzwoiłam więc do Alicji Gross, mrukliwej wegetarianki i hodowczynie psów, od której trzynaście lat temu kupiłam Bunga i Ho. Powiedziała, że przyniesie dla siebie jedzenie, a ja przytaknęłam, uważając, że to dobry pomysł. Kiedy później opowiedziałam o tym Leonowi, nazwał mnie niegościnną i nieuprzejmą. Oddzwoniłam więc i powiedziałam, że przygotujemy dla niej wegetariańskie posiłki. Wydawała się tym wzruszona. Tricia Lock, żona miejscowego radnego, początkowo sądziła, że nie będzie mogła przyjść, ponieważ mąż wyjechał w delegację. Dwie godziny później zatelefonowała, że się pomyliła i że „przyjdą z radością”. Fred i Angel Grantowie także powiedzieli, że „przyjdą z radością”; ich farma sąsiadowała ze Sleet. Do tego doszli jeszcze Alan Sending z żoną; on był prezesem rady hrabstwa.

Kiedy rozmawiałam z panią Sending, do pokoju wpadł Leon. Ponieważ nie mogłam przerwać wywodu pani Sending na temat międzynarodowego zjazdu harcerek, który pomagała organizować, patrzyłam, jak go zamurowało na widok Muriel i jak się przedstawia. Ona usiadła na sofie z rękami w małdrzyk, i słuchała, co mówił. Znowy wyglądała jak szkolny sędzia.

- Co cię tak rozśmieszyło? - zapytałam, odłożywszy słuchawkę.

- Leon opowiadał mi o ciotce pani Files. A więc podoba ci się tutaj, Leonie?

- Tak, a pani Sutherland bardzo mi pomaga.

- Pani? - nie mogła się powstrzymać - No cóż, to oczywiste. Nie mogę się doczekać twojego przyjęcia. Znosi się na ciekawy wieczór. Powiadom mnie, jeśli będę mogła w czymś pomóc. Czy Melinda także może przyjść? Przyjeżdża do domu tylko na weekend i nie chcę jej zostawiać samej.

- Oczywiście - odpowiedzieliśmy.

- Cieszę się, że w końcu cię poznałam, Leonie. A tak przy okazji: do mnie mów po imieniu. Muszę już iść, Delio - była to prośba, abym odprowadziła ją do samochodu.

Leon uściśnął jej lewą rękę.

- Bardzo się cieszę, że przyjdiesz, i że wreszcie cię poznałem. Pa-

ni Sutherland mówiła mi o tobie. Rozumiem już, dlaczego tak za tobą przepada.

Uśmiech, którym go obdarzyła, był przelotny i smutny. Wyglądało, że chce coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Za drzwiami złapała mnie za ramię.

- Kupiłaś już tę ziemię w Szkocji?

- Tak. Jeszcze tam nie byłam. Podobno jest bardzo zapuszczona. Czemu o to pytasz?

- Wiem, że i tak o to nie zapytasz, więc sama ci powiem, co o nim myślę. Uważam, że jest szczerzy i bardzo, bardzo przystojny.

- Boję się, Muriel. - Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Jakby te słowa miały skrzydła i same chciały się wydostać z moich ust. To była prawda. Nie myślałam o tym wcześniej, ale się bałam.

- Tak - odpowiedziała, czytając w moich myślach. - Na twoim miejscu także bym się bała.

Odprowadziłam ją do samochodu, nieoczekiwanie pragnąc, aby nie odjeżdżała. Uruchomiła silnik.

- I to „pani Sutherland”. O co chodzi w tym wszystkim, staruszko? Odjechała, zanim zdołałam odpowiedzieć, co było o tyle dobre, że i tak nie potrafiłam.

Leon leżał na podłodze w salonie i czytał na głos nazwiska z innego notesu - starego czerwonego notatnika, który używałam jeszcze zanim Francis ostatecznie opuścił Sleet. Trzymał go nad sobą. Każde wyczytane nazwisko brzmiało jak echo tamtych czasów, chociaż nie należało do żadnego z bliższych ani dalszych sąsiadów. Kiedy powiedział: „Co to za Muirowie, Gaby i Henry? Śmieszne imiona” - wyrwałam mu notes z rąk.

- Skąd na litość boską wzięłeś te nazwiska? - To nie są moi przyjaciele! „Muirowie, Gaby i Henry” napisała zamaszysta ręka Francis’a; imiona zajmowały dwa razy więcej miejsca niż te, które sama wpisałam.

Przekartkowałam zeszyt. Wszystkie osoby, które wyczytał Leon, wpisane zostały przez jego ojca. - Dlaczego wybrałeś akurat te?

- Nie wiem, może dlatego, że się wyróżniają? Co się stało z Muirami?

Miałam mu powiedzieć? Brzęcząca Gaby Muir, hałaśliwa Gaby Muir, siedząca przy stole naprzeciw mnie we włoskiej restauracji...

- Poderwał jedną młodą dziewczynę, nie stąd, no wiesz... myślałam, że powinienes... - przyglądał się, jak moja twarz czerwienieje

z upokorzenia. Tam, u moich stóp, na podłodze w salonie, siedział młody chłopiec.

Pierwszy atak na mnie, jeśli można to tak ująć, miał miejsce w kościele. Nie byłam na niego przygotowana, bo chociaż wiedziałam, że ludzie o nas mówią i wyciągają własne wnioski, nie czułam tego bezpośrednio na własnej skórze. Pędziłam życie kilka mil od najbliższej wioski, od świtu do nocy za zamkniętymi drzwiami, izolując się od miejscowej społeczności. Potrzeba dużo siły i zaangażowania, aby przezwyciężyć taką samowystarczalność, którą owocuje przebywanie na odludziu. Z biegiem czasu łatwiej jest uwierzyć, że nie jest się samym na świecie, lecz raczej dla niego niewidzialnym. Co, oczywiście, nie jest zgodne z prawdą.

Poszłam do kościoła. Bez Leona. Nigdy o to nie prosił, a ja me nalegałam. Spóźniłam się. Ławki były jak zwykle zajęte, ludzie śpiewali pierwszy hymn „Boża miłość najwyższą miłością...”. Ławka Caldwellów znajdowała się w prawym rogu od ołtarza, pod marmurową tablicą z listą parafian, którzy polegli podczas I i II wojny światowej - jednym z nich był mój stryj. Kiedy do niej dotarłam, nie mogłam usiąść, ponieważ cała ława zapchana była starymi rupieciami, pudełkami z używaną odzieżą i zagubionymi modlitewnikami. Żaden pokrowiec nie chronił dębowego miejsca Caldwellów, nie sposób też było, nie robiąc hałasu, odsunąć rzeczy i usiąść. Kiedy szłam nawą z powrotem, wszystkie oczy obserwowały mnie z wielkim zainteresowaniem. Znalazłam w końcu miejsce i usiadłam.

Po nabożeństwie, podczas zwykłego ogólnego zamieszania, kiedy podeszłam do pastora, aby uścisnąć mu rękę, gotowa byłam zapytać go o moją ławkę. Wyciągnęłam dłoń, gdy skończył się witać z kobietą, która stała przede mną, a wtedy on, nawet nie mrugnawszy okiem, ponad moją głowę szeroko wyciągnął ręce do pary za mną. Nic nie powiedziałam Leonowi.

Kilka dni później otrzymałam list od zarządu szkoły St Mary. Była to szkoła kościelna, a ja zostałam wyznaczona na dyrektora przez radę kościelną po śmierci ojca, który piastował ten urząd wcześniej. My, Caldwellowie, daliśmy ziemię pod budowę szkoły. List oznajmiał bardzo urzędowo, że biorąc pod uwagę skargi członków zarządu, postanowiono, iż dłużej nie będę pełnić swojej funkcji.

Jeszcze trochę, jeszcze tylko trochę. Cztery miesiące są tylko krótkim fragmentem życia.

XV

- Ktoś dzwoni?

- Mówiłam ci już trzy razy. Jest piętnaście po ósmej. Zapraszaliśmy na ósmą do ósmej piętnaście.

- Wiem, ale czy uważasz, że ludzie naprawdę przyjdą o tej godzinie, na którą ich zaprosiłaś? Niesamowite. Będę musiał to zapamiętać. Poda mi pani ręcznik, proszę pani?

Leon był w mojej wannie w moim pokoju. Przyszedł się do mnie ubrać, ponieważ wciąż nie mógł zaspokoić swojej ciekawości na temat ludzi, którzy mieli przyjść, i musiałam mu dostarczać coraz to nowych szczegółów o nich, chociaż wiedział już dużo z gazet i oczywiście, od pani Files.

- Punktualność czasami się przydaje, nie sądzisz? - Byłam już za drzwiami.

- Hej! - Odwinął z siebie ręcznik i złapał mnie w niego. - Nie przejmuj się aż tak. Zobaczysz, że ten wieczór będzie cudowny. W przyszłym tygodniu sama zechcesz wydać następne przyjęcie. Czy muszę mówić, szanowna pani Sutherland, że nigdy jeszcze nie byłem tak szczęśliwy? No, chodźże bliżej. O tak.

Kiedy w końcu dotarłam do sali balowej, w której paliły się obydwa kominki, byli już tam Sendingowie.

Zwalista postać Alana i jego delikatny sposób bycia wzbudzały zaufanie. Czuło się, że to mądry człowiek o wielkim poczuciu odpowiedzialności. Znużenie, widoczne w jego oczach, sugerowało, że coś w sobie tłamsi. Wątpiłam, czy ma bujną wyobraźnię, niemniej jego zakłopotanie w tym momencie było raczej niewielkie. Z pewnością nieraz stawiał czoło sytuacjom znacznie bardziej niezręcznym niż moje spóźnienie. Zrobiło mi się głupio.

- Leon zejdzie za chwilę. Coś go... no cóż... zatrzymało - bąknęłam.

- Nic się nie stało, naprawdę - odparł.
- O Boże, Alanie, całe wieki nie byliśmy w tym domu! Od czasów twojego ojca, Delio. Nic się nie zmieniło, może poza kwiatami. Trzeba przyznać, że wyglądają jak na wystawie. - Pani Sending gościła się na kanapie, osłaniając kolana torebką.
- To zasługa Leona.
- Naprawdę? Wcale mnie to nie dziwi! - powiedziała z wielkim zainteresowaniem, delikatnie biorąc do ręki kieliszek sherry. - Widzisz? A nie mówiłam, Alanie, jak przejeżdżaliśmy samochodem, że maczał w tym palce jakiś artysta? Pani Sending była angielską damą w średnim wieku, która lata świetności swojej urody miała już za sobą, toteż jej próby bycia kobiecą i elegancką - różowa szminka, kwieciste szyfony - zakrawały raczej na perwersję. Nawet teraz, kiedy wspominam Ethel Sending, myślę, że trochę się ośmieszała, ale ostatecznie w jej niezdarnej życzliwości, zadowoleniu z tego, że jest ważna, załatwianiu i wtrącaniu się było coś wzruszającego. Gdyby nie takie kobiety, nie miałby kto się udzielać społecznie. Pomyślałam, że właśnie z takimi jak ona Leon powinien nawiązać dobre stosunki, co jednak wydało mi się mało prawdopodobne.
- Jaki to świetny pomysł, Delio - odezwała się znowu pani Sending - że wydałaś na jego cześć kolację. A tak przy okazji, gdzież on się podziewa?
- Zaraz przyjdzie. - Zirytowałam się na nią, ale jeszcze bardziej na Leona.
- To dobrze, że czuje się jak u siebie. Nikt nie powinien się tego wstydzić. Poza tym, jego dom jest przecież daleko stąd. Już miałam powiedzieć, że jego dom jest tutaj, kiedy przybyli Matthew Hurst i Alicia Gross. Ona prowadziła, więc on mógł się napić. O Alicii, która miała już dobrze po pięćdziesiątce, mówiono za plecami, że musiała kiedyś być pięknością. W kontaktach z ludźmi była nieśmiała, o ile nie miała pod ręką jakiegoś psa do głaskania. Bung i Ho skwapliwie skorzystały z okazji. Trzymając przez minutę ucho Ho, który w tym czasie rozpaczliwie skrobał tylnymi łapami o podłogę, orzekła:
- Trzeba mu wpuścić krople, Delio. Przyślę ci jakieś jutro.
- Faj, tylko nie przed jedzeniem, Alicia, błagam.
- No cóż, przepraszam, ale coś mu się tam robi. To ważne, może mieć ropne zapalenie.

Matthew Hurst, kawaler o smutnym, zbolałym wyrazie twarzy, nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt lat. Swojego czasu narobił szumu romansami z kilkoma miejscowymi mężatkami. Wszedłszy do bawialni, stanął dokładnie pod olejnym obrazem, wiszącym obok kominka. Ze zwieszoną głową i założonymi rękami przypominał mi Leona, który w końcu zszedł na dół, jednocześnie z Grantami i Lockami.

Rozmowy na chwilę ucichły, gdy Leon pocałował mnie w policzek. Potem podszedł do Matthew. Padli sobie w ramiona jak starzy kumple. Leon bywał w jego sklepie i prosił go o odszukanie kilku obrazów. Przeszłam z nim po salonie, przedstawiając go raczej niepotrzebnie, ponieważ i tak już wcześniej poznał wszystkie nazwiska, a własne podawał jak stary znajomy.

Pani Sending nie wyciągnęła do niego jednej ręki, lecz dwie.

- Witaj w naszym kraju! - powiedziała, starannie wymawiając słowa, jak to zwykle czynią Anglicy, zwracając się do obcokrajowców i imbecyli.

Leon uściśnął jej dłonie, przyciągając je do piersi, przez co znaleźli się bardzo blisko siebie.

- Dziękuję pani bardzo. To miło z pani strony.

Pani Sending odżyła. Rozpływała się w uśmiechach, z trudem patrząc mu prosto w oczy.

- Nie nie, ja chciałam...

- To pani organizuje ten festyn, prawda? Ten wielki festyn we wsi. Czytałem o nim w „Echu”. Musimy potem o tym pomówić, chciałbym usłyszeć o pani planach.

- Na pewno, Leonie. Na pewno. - Puścił jej ręce i dopiero po chwili zorientowała się, że może je opuścić.

Do Alana Sendinga powiedział:

- Cieszę się, że w końcu mogę pana poznać. Czy szefem departamentu planowania jest pan Pocock? To on mi mówił, że był pan zwolennikiem mojego pomysłu zagospodarowania Ragge Down.

Alan z zakłopotaniem podrapał się w szyję i odwrócił wzrok.

- Mhmm, tak, no cóż, nie jestem od spraw zagospodarowywania ani planowania. Nie mam na takie rzeczy wpływu.

- Rozumiem, ale cieszę się, nareszcie nieoficjalnie, że stanął pan po mojej stronie.

Sending przytaknął z bliżej nieokreślonym lękiem. Popatrzył na Leona odchylając głowę do tyłu, tak że jego wzrok spoczął gdzieś na czole tamtego.

- Nie, nie. Ale to dobry pomysł, zagospodarowanie Ragge Down. Tego tutaj było potrzeba.

Następnie Leon zwrócił się do Angel Grant:

- Musi pani porozmawiać z Matthew Hurstem. Był w Courtauld na pani seminarium. Mówił, że jest pani geniuszem. Mamy kilka obrazów, które wymagają odrestaurowania. Będzie mogła mi pani coś doradzić? - Po czym zwrócił się do jej męża: - Jak miło spotkać sąsiadów. Co u państwa słychać? Pani Sutherland stwierdziła, że wasza farma „graniczy” ze Sleet. Nie wydaje się panu, że to zbyt formalne stwierdzenie? Chociaż z drugiej strony daje poczucie bezpieczeństwa.

- Istotnie, teraz też mam takie wrażenie. Nigdy wcześniej nie myślałem o tym w taki sposób. Właściwie lepiej byłoby powiedzieć, że idziemy „ramię w ramię”. - Czubki jego palców o poobgryzanych paznokciach błędziły w okolicach ucha i w końcu zaczęły mierzwić rzadkie żółtawe włosy.

- Właśnie, Fred. Załapałeś, o co mi chodzi.

- Świetnie! Świetnie! - Fred wyglądał na niezmiernie zadowolonego z siebie, chociaż był nieco skrępowany.

I tak dalej. Leon rozbroił wszystkich swoim wdziękiem i wesołością.

Wiedział nawet o ogrodzie pułkownika Petersa i zapytał, czy może tam wpaść. Duma pułkownika, którego ogród był oczkiem w głowie, została mile polechtana. Chciałam się cieszyć z odwiedzin u Petersa, to oczywiste; nie wiedziałam jednak, ile miał wspólnego z odwołaniem mnie ze stanowiska dyrektora szkoły. Kiedy wpadł do pokoju, zupełnie jak dawniej mój ojciec, wszystko się wyjaśniło.

- Po kolacji pogadamy, Delio. O wszystkim już słyszałem, to jakaś cuchnąca sprawa. Skończona głupota.

Właśnie to, nawet bardziej niż rozmowa z Leonem w łazience, poprawiło mi humor na resztę wieczoru.

Fullerowie przybyli mocno spóźnieni, z przeprosinami i Melindą. Piękną, przepiękną Melindą. Nic więcej nie można było o niej powiedzieć. Patrząc z bliska na jej twarz przypomniałam sobie, co powiedziała jej matka: „Po przygodzie z jakimś chłopakiem zostało jej jeszcze parę siniaków”. Rzeczywiście, zostało. Ot, bolesne ślady utraty złudzeń, czego wszyscy młodzi muszą doznać na własnej skórze. Niesforne jasne włosy miała upięte w kok. Ubrała się w czarne legginsy i wyszywany złotą nitką T-shirt. Domyśliłam się, że powinnam się była poczuć zaszczyciona jej wieczorowym strojem.

W drodze do jadalni usłyszałam, jak Leon mówi do Alicii:

- Bung cię naprawdę polubił. Mnie także darzy sympatią. Ale Ho - nie. Nie rozumiem dlaczego, tak się przecież staram. Założę się, że wszystkie psy cię lubią.

- Wiem, co czują. Rozumiem je. To wszystko. Żadna tajemnica. Była bardzo rzeczowa, kręciła guzik od marynarki.

- Czy nie byłoby dobrze, Alicio, gdybyśmy wszyscy byli tacy dla siebie nawzajem? Pomyśl tylko, ile czasu można by było zaoszczędzić. Patrz, tu jest miejsce dla ciebie. - Odsunął jej krzesło, chociaż Curtis i jakieś dwie młode pannice, które czekały na swoją kolej, mogły równie dobrze zrobić to za niego (były to wnuczki pani Files, o czym poinformował mnie Curtis w przerwie między pieczoną kaczką a sorbetem). Kiedy Leon pokazywał Muriel i Tricii, gdzie mają usiąść, Alicia śledziła go wzrokiem.

- Masz całkowitą rację, Leonie. Szkoda tylko, że nie potrafię. Na stole nie leżał żaden surowy adamaszkowy obrus, jakich zwykle

używano w Sleet. Dzięki temu w lśniącym blacie odbijały się płomyczki świec, rozjaśniające półmrok jadalni; ich dwa długie rzędy były jedynym oświetleniem, ponieważ nie zapalono żyrandoli. Na końcu tej świetlnej autostrady uśmiechała się do mnie rozpromieniona twarz Leona.

Boże, do tego w końcu doszło, pomyślałam i starałam się nie popaść w letarg, który zwykle zaczynał mnie ogarniać na początku kolacji w moim domu, kiedy usłyszałam szept Toma Fullera:

- Hej, Delio, tylko teraz nie ziewaj.

- Ja? Ziewam? - zdziwiłam się, wydłubując coś, co utkwilo mi w zębach.

- Pamiętam, że zawsze ci się to zdarzało na przyjęciach. Właściwie Muriel robi to samo. To nerwy. Tak się zwykle kończą nasze starania.

- To nie moje. Wszystko przygotował Leon. Wychodzi mu to całkiem naturalnie.

- Mówiliśmy z Muriel, że żadne z nas nie wyobrażało sobie tego. Jego tutaj. Razem z tobą. Gdy odwiedzaliśmy Francisa u niego na Abacos, Leon był małym szkrabem.

- Muriel mówiła, że byliście tam tylko raz.

- Tak, to prawda. Zostaliśmy przyjaciółmi zaraz po tym, jak przestaliście ze sobą mieszkać. Nie na długo. Jednak trudno było nam, ciągle dorabiającej się parze, odmówić zaproszenia na Wyspy Bahama, gdzie on za wszystko zapłacił.

- A więc znacie Leona i Eaturpię... Jeanne.

- Nie powiedziałbym „znamy”. To za wielkie słowo - nerwowo zacisnął swoje wąskie, bankierskie usta.

Pomyślałam, że poznaję go teraz od innej strony niż zwykle. Podczas rozmowy przyglądał się Leonowi. - Mieszkali niedaleko, byli jak postacie w tle. My, jego goście, do tego Anglicy, czuliśmy się zażenowani. Wiedzieliśmy, kim są, ale nie rozumieliśmy, dlaczego. Sama rozumiesz. Ona siadała cicho przy stole i kiedy się odzywała, zawsze jej przerywał; krzyczał, jeśli maluch robił zbyt dużo hałasu, i tak dalej. To dziwne widzieć go dziś wieczór. - Usta znów nerwowo mu zadrgały. - Ma w sobie to samo, co ona - tę samą nieubłagalną słabość, która każe ci mu służyć, nawet jeśli jest to ostatnia rzecz, którą miałoby się ochotę robić. I, jak przypuszczam, ostatnia rzecz, której on by wymagał. Popatrz tylko na starą Tricię, która siedzi obok niego.

Spotkałam Tricię Lock kilka razy i uważałam ją za kobietę przywykłą do bycia atrakcyjną, a nawet tym znudzoną; nie tym jednak razem, kiedy siedziała obok Leona. Wdzięczyła się do niego, nachylała się, dotykała, żartobliwie go napominała, a on odpowiadał jej tym samym z jeszcze większym zapalem.

- Zawsze myślałam, że jest bardziej powściągliwa. Mam nadzieję, że Leon pogada trochę z moją biedną Melindą. Jest taka nieśmiała.

Rozmowa w naturalny sposób zamarła. Odezwał się wówczas Nigel Lock:

- Oho, ale z was aniołki. Zobaczmy, która to godzina - spojrzął na zegarek. - Jest, moi drodzy, dwadzieścia po dziewiątej. Za dwadzieścia, dwadzieścia po. Zawsze to samo.

- Boże, co za nudziarz z tego gościa - powiedział Tom, kiedy wszyscy znowu zaczęli rozmawiać. - Kto by pomyślał, że sam na niego głosowałem. Najśmieszniejsze ze wszystkiego jest to, że inni też go lubią. Mam na myśli Leona, nie Nigela. Nie jest groźny, chociaż flirtuje.

Tak, pomyślałam, rzeczywiście. Leon flirtuje z Tricią. Czekałam, aż poczuję starą, znajomą gęsią skórę albo krew uderzy mi do głowy i utrudni koncentrację - czyli na to wszystko, co mi się przytrafiało, gdy widziałam flirtującego Francisa. Nic z tego. Nie zdarzyła się żadna z tych rzeczy i szczerze wierzyłam, że cieszy mnie towarzystwo Toma i pułkownika.

Fred Grant demonstrował coś Alicji za pomocą nie używanych noży, pożyczając od niej widelec.

- To jest hydrauliczna, nadmuchiwana proteza członka... - usłyszałam.

- Bardzo poręczna - odpowiedziała. - Czy psy także mogą jej używać?

Muriel i Matthew Hurst od początku rozmawiali ze sobą. Na koniec Nigel Lock musiał opuścić pokój i po drodze poklepał Leona po plecach.

- Udane przyjęcie, Leonie. Świetna zabawa. - Leon odpowiedział niskim ukłonem.

Po jego wyjściu pomiędzy panią Sending a Melindą, z którą Leon nie rozmawiał do tej pory, ponieważ Tricia mu nie pozwoliła, zrobiło się puste miejsce. Pani Sending także jeszcze nie rozmawiała z Melindą. Odezwała się za to do Leona.

- Leonie, mówiłeś coś o wakacjach. Jedziesz na wakacje, czy już na nich jesteś, no wiesz, o czym mówię?

- Nie, proszę pani, nie jestem tutaj na wakacjach, tylko w domu i w pracy, ale tak, rzeczywiście, planujemy wyjazd. Inne rozmowy ucichły i w oczywisty sposób stało się jasne, o co tak naprawdę chodzi. Podniosłam ręce do góry i udałam, że się przeciągam, by zwrócić na siebie uwagę Leona, po czym dyskretnie pokazałam na migi „nie”.

Umyślnie wolno rozszyfrowywał tę informację, a po chwili z uśmiechem nachylił się do pani Sending.

- To znaczy ja, ja jadę na jesieni do Francji, stamtąd do Marsylii, a potem statkiem do Afryki.

- Och, jakie to wspaniałe, mój drogi! Korzenie! Co? Znasz tego człowieka. Jak się nazywał? Kunt coś, Kunta, no wiesz.

Matthew Hurst zaczął się krztusić.

- Wody? - zapytała Muriel, od czego tylko mu się pogorszyło. -Kunta Kinte, chyba o niego ci chodzi, Ethel? -

powiedziała do pani Sending, która patrzyła na nią wyczekująco, po czym porozumiewawczo spojrzała na Matthew.

- Proszę pana! - zwróciła się do niego. Wziął się w garść.

- Tak, słucham?

- Wie pan, że byłam w pańskim sklepie. Wzniósł ręce do góry.

- W takim razie jestem skończony, proszę pani. Już się uspokajam.

Pani Sending przyglądała się chwilę pękającemu ze śmiechu towarzystwu i zajęła się torebką, z której wydobyła puderniczkę. Z uwagą zaczęła studiować fragment swojej twarzy.

Wrócił Nigel Lock, Leon rozmawiał z Melindą. Po chwili przestałam zauważać wszystko inne. Wydawało mi się, że Leon powinien był traktować Melinę w taki sam sposób jak Tricię. Ale nie. Ci dwoje, Leon i Melindą, siedzieli na krzesłach zwróconych przodem do siebie; przestali zwracać uwagę na Tricię. Ta była skwaszona, mając obok siebie tylko Muriel. Matthew i Angel Grant, siedzący po prawej, byli zajęci rozmową.

Siedząc z Melindą Leon zachowywał się powściągliwie, z rezerwą, jakby przebywał z jakąś nerwową obcą osobą. Pozwolił jej mówić, co nie było proste; ją aż skręcało, jąkała się, więc swoją skupioną uwagą starał się ją ośmielić. Ich głowy znajdowały się bardzo blisko siebie. Kiedy skończyła coś wyjaśniać pomagając sobie nerwową gestykulacją, i zwróciła ku niemu twarz, przypomniałam sobie zdjęcie z jego pokoju: to, na którym tańczył z jakąś dziewczyną. Melindą patrzyła na niego z tym samym zaufaniem i zrozumieniem.

Poklepał ją delikatnie po policzku i prawie po ojcowsku pokiwał na zakończenie palcem. Tak, ona widziała w nim kogoś mądrego. I miała rację. Nie był chłopcem. Nigdy nim nie był. Nie poczułam nic takiego jak uderzenie krwi do głowy, nic tak mało znaczącego i prozaicznego jak zazdrość. Po prostu stałam się całkowicie, bezwolnie świadoma. Tak, że aż zrobiło mi się słabo.

- Delio, dobrze się czujesz? - zapytał Tom.

- Cholernie tu duszno. - Pułkownik Peters wachlował mnie swoją serwetką.

- Powinniśmy się przenieść - powiedziałam.

W bawialni zrobił się ruch. Do mnie przyczepiła się pani Sending.

- Czy jest tutaj jakaś toaleta?

- Oczywiście. Za schowkiem, po prawej stronie.

- Delio, poczekaj - powiedziała Muriel, biorąc mnie za rękę. - Chodźmy wszystkie do twojego pokoju.

Zapomniałam o tym. Zapomniałam, że starym zwyczajem wszystkie kobiety po kolacji zbierały się w sypialni gospodyni. Do jasnej cholery, pomyślałam. Poszłyśmy więc na górę. Oczyma wyobraźni widziałam porzucane ubrania Leona pomiędzy moją sypialnią i łazienką, jeśli nie wspomnieć o innych jego śladach, których sama już nie zauważałam, a które niewątpliwie istniały.

Jak to zwykle bywa, ktoś (kto, jeśli nie Curtis?) był tam przed nami. Kiedy u licha miał czas usunąć wszystkie dowody obecności Leona i ułożyć obok umywalki stertę poskładanych ręczników?

Usiadły na naszym łóżku, moim i Leona: Angel, Tricia, Melinda, pani Sending i Alicia, od której tego wieczora wszyscy chcieli dostać szczeniaki. Pierwsza odezwała się pani Sending.

- Nic mnie nie obchodzi, co sobie myślą inni, ale ja uważam, że on jest kochany.

- Kto jest twoją kucharką, Delio? - spytała pośpiesznie Tricia, przysuwając się do lustra. - W żadnym prywatnym domu nie jadłam tak wyśmienitych potraw.

- Pani Files.

- Nie wierzę. Ta stara plotkara? -Tak.

- Cóż, w takim razie jest geniuszem. - Angel nachylała się za Tricią, aby także móc się przejrzeć.

- Ale to zasługa Leona - dodałam. - Pani Files nigdy wcześniej tak nie gotowała. - Poprawianie makijażu, czesanie i rozmowy zamarły. - Nie mówię, że on gotuje sam, ale się tym interesuje i wszystko z nią planuje.

- On jest wspaniały, Delio, prawda? - Angel odgarnęła z twarzy kosmyk krótkich, brązowych włosów, aby móc mnie lepiej widzieć.

- Tak - cisza trwała, jak gdyby rozmowy mogły mi przeszkodzić w rozwinięciu tego prostego stwierdzenia.

Powiedziałam więc: - Jeśli już skończyłyście, chodźmy na dół.

Stłoczyły się w drzwiach wszystkie naraz, z wyjątkiem Muriel i Melindy.

- Idź, kochanie - poprosiła córkę Muriel. - Chcę zamienić parę słów z Delią. Lepiej się już czujesz? - zapytała, kiedy tylko zatrzasnęły się drzwi.

- Lepiej?

- Po kolacji byłaś trochę blada.

- Żałuję, że przystałam na jego pomysł wydania kolacji. Muriel usiadła, zrzucając pantofle.

- Jak to się skończy, ta cała sprawa z tobą i Leonem? - pogrzebała w torebce w poszukiwaniu papierosa. - Nie mów Tomowi, on myśli, że rzuciłam palenie.

- O tym, że czuję lęk, już ci opowiadałam. Na myśl o przyszłości.

On uważa, że będzie wspólna. Ale to nie ma sensu. - Nie odpowiedziała, zaciągając się dymem. - Prawda? W swoim czasie przyznała mi rację.

- Podczas kolacji były takie chwile, w których myślałam, że przy stole siedzi Francis. Podobieństwo jest ogromne. Przypomniały mi się dawne wieczory tutaj. Tak podziwiam twoją dumę i godność. Wyjeżdżając powiedziałam: „Nigdy nie zrób mi czegoś takiego, Tom, nie upokarzaj mnie tak. Nie jestem Delią, nie zniosłabym tego”.

- Wina nie leżała tylko po jego stronie, a ja byłam bardzo młoda.

- A teraz?

- Teraz? Z nim? - wskazałam na drzwi. - Tak.

- Teraz jestem bardzo stara. - Roześmiałyśmy się tym śmiechem, który dopada ludzi, kiedy mają wszystkiego dosyć.

- Lubię te mentolowe. Dzisiaj nikt ich już nie pali. A ty? - Muriel patrzyła na niedopałek swojego papierosa. -

Przyszły tutaj strzępić sobie języki, a teraz wszystkie są pod wrażeniem Leona. Począwszy od bezmyślnej Ethel, skończywszy na Melindzie. Nawet ja miałam okazję się o tym przekonać. Próbowałam rozpracować jego metodę wpływania na ludzi. Interesujące. Człowiek wprost musi go lubić, prawda? Wygląda na takiego, który lubi o tym wiedzieć. I oczywiście, podobnie jak jego matka, wie.

- Ona nie żyje, wiesz o tym?

Muriel krótko zaciągała się swoim papierosem, zupełnie jak paląca po kryjomu uczennica. Nie rozumiałam jej braku zainteresowania, dopóki nie powiedziała:

- To przyczyniło się do rozdźwięku między nami. Tom i Jeanne. Jego pierwsza zdrada. Teraz już się nauczyłam, jak nie wiedzieć. Może ma kogoś, może nie ma.

- Z nią? Z Jeanne?

- Nie potrafię powiedzieć, czy Francis o tym wiedział. Zadawał jej cierpienia, tak uważam, a ona chciała, żeby był zazdrosny. To wszystko.

- A ja myślałam, że ty i Tom to taka szczęśliwa para.

- Och, szczęśliwa, niezmiernie szczęśliwa... - Patrzyła badawczo na moją twarz, zastanawiając się, czy rzeczywiście jestem taka tępa, czy tylko udaję. Opadła ciężko na krzesło, podpierając się łokciem. - Wracając do rzeczy, czy podczas kolacji zdarzyło się coś szczególnego, co wprawiło cię w zły humor?

- Zobaczyłam Melinę razem z Leonem. I to, jak do siebie pasują- Wiem, że nie chodzi o Melinę. Wcale nie o Melinę, lecz tak, o dopasowanie. Delio, on jest młody, będzie chciał założyć rodzinę. To naturalne. Ludzie, społeczność, jeśli wolisz, będą go do tego popychać. Traktują was oboje jako zagrożenie tylko dlatego, że to ich razi. On jest właścicielem Sleet, przystojnym, czarującym. Do diabła z więzami krwi, mają go. To oczywiste, że go zaakceptowali. Należy do śmietanki towarzyskiej, a ciebie, jeśli się nie mylę, z niej wykluczą. Znowu może cię spotkać krzywda, taka sama, jaka dotknęła cię z rąk Francisa. - Muriel zaczęła szukać na toalecie popielniczki, w końcu cisnęła papierosa do kominka. - Och, Delio, masz taką biedną twarz. Ale jak mogłabym nie powiedzieć ci tego wszystkiego i nadal nazywać się twoją przyjaciółką?

Zaczęłam cała się trząść. Nogi założone jedna na drugą, kostki, ręce, przyciśnięte do boków tak mocno, że czułam pod palcami własne żebra. Drżałam i drżałam, zatrzymując w sobie tak długo, jak tylko mogłam, resztki szczęścia.

- Właśnie dlatego nigdy cię za nią nie uważałam. Jestem przerażona. Czy możesz zrozumieć mój strach o spokój, szczęście? Kocham życie, Muriel.

- Mogę, pod warunkiem że ty zrozumiesz: to szczęście jest samo-lubstwem.

- A więc to tak. O to ci chodzi. W końcu to z siebie wyrzuciłaś, co? Nie można tego przemilczeć. Moje szczęście jest samolubne. Blokuję mu drogę do spełnienia, czymkolwiek ono jest. Nawet nie wiesz, ile razy szykowałam się do wyjazdu. - Tarłam twarz aż do bólu. - Nie, proszę, nie ruszaj mnie, chyba się rozpadam. Gdyby tylko ta kolacja nigdy się nie odbyła! Jedno z nas musi przestać śnić.

Grantowie i Lockowie byli już przy drzwiach, wszyscy lekko wstawieni, piejąc z zachwytem na cześć udanego wieczoru. Po wyjściu wykrzykiwali obietnice zatelefonowania, spotkania, powtórzenia tego jeszcze raz. Ciągłe na siebie wpadali, otwierając drzwi niewłaściwych samochodów. Stałam nadal na schodach, gdy pojawili się za mną pułkownik Peters i Sendingowie.

- Co za wspańiały wieczór, Delio. Jesteś pewna, że nie chcesz, abym zainterweniował w sprawie szkoły? Byłbym przeszczęśliwy, mogąc ci pomóc.

- Zgoda, dzięki, pułkownik.
 - Delio, dziękuję. - Pani Sending uścisnęła mi dłoń. - Co za kolacja! Kiedy byłaś na górze, on puszczał nam kasety z jazzem. Cudowne.
 - O tak. Szaleje za jazzem. Zupełnie jak mój ojciec. Mówił ci, że gra na klarncie?
 - Czemu miałby nie grać? Może. Ten rytm, no wiesz...
 - Chodź już, Ethel. Dobranoc, Delio. Dziękujemy.
- Matthew Hurst i Leon siedzieli obok Melindy na sofie w bawialni. Leon podszedł do mnie natychmiast, jak tylko weszłam. - Co się dzieje? - zapytał niezbyt cicho, ale wtedy zostaliśmy zalani wylewnymi podziękowaniami Fullerów. Leon odeskortaował Melinę do drzwi.
- W nasze ślady poszli Alicia i Matthew. On pocałował mnie w rękę.
- Było wspaniale, Delio. Dziękuję ci, że mogłem wziąć w tym udział.
- Alicia dodała:
- Ma rację. Dziękujemy. Zadzwoń do Leona w sprawie szczeniaka. Będzie tej samej rasy co Bung i Ho, ucieszysz się. Opadłam na sfatygowaną kanapę. Pomimo głosów, nadal rozbrzmiewających w hallu, ostrego zapachu perfum, papierosów i cygar, w tym iście królewskim salonie znów zapanował ziąb.
 - Nienawidzę tego pokoju - powiedziałam, kiedy wrócił Leon -i tych wszystkich mebli.
 - A więc zmienimy je. Ale niektóre są ładne. O co ci chodzi?
 - O nic. - Zakryłam twarz rękami.
 - Dobrze się bawiłaś?
 - Bardzo. A ty?
 - O tak. Było miło - odparł. - Podobało mi się - powstrzymał się od dodania jakichkolwiek innych słów, które mogłyby zerwać cienką nić porozumienia, jaka pomiędzy nami powstała, póki nie dotrze do sedna sprawy, którą wyczuwał tuż pod powierzchnią.
 - Jak ci się podobała Tricia? - zapytałam.
 - Która to była? Opadły mi ręce.
 - Chyba żartujesz. Jak to która? Pytasz mnie po tym całym przedstawieniu, jakie urządziłeś podczas przyjęcia?
 - No, już dobrze. Opowiadała, jak kilka miesięcy temu poroniła. Jak na początku nie chciała tego dziecka sądząc, że jest już za stara,

a potem się cieszyła, że wniesie w jej życie „więcej sensu”, jak to określiła. Potem poroniła, miała usuniętą macicę i wpadła w depresję. Nie są chyba zbyt szczęśliwi, ona i ten jej facet, jak mu tam, Nigel.

- Powiedziała ci to wszystko?

- Powiedziała. Kobieto, ona ma takie bruzdy koło ust, że wyglądają jak grota - wskazał miejsce na swojej twarzy, gdzie sam nie miał żadnych zmarszczek.

- Tylko tyle? Podsumowanie intymnych zwierzeń „kobieto, ona ma takie bruzdy koło ust, że wyglądają jak grota”?

No cóż, sama też je mam. Popatrz. Tutaj. Ludziom się robi coś takiego, kiedy się starzeją.

- Wiem - wciąż się starał nie mówić zbyt wiele. - Ale kiedy twoja grota się otwiera, wylatują z niej ptaki.

Byłam zbyt zmęczona, aby siedzieć prosto. Opadłam więc do tyłu, zasłaniając sobie twarz, tym razem ramieniem.

Poczułam, że się do mnie zbliża. Pogłaskał mnie po głowie.

- Powiedz mi, o co chodzi. Czy ktoś ci coś powiedział? Tak, prawda? Dlaczego tak długo byłaś na górze? Czemu zasłabłaś podczas kolacji?

- Widziałeś?

- Oczywiście.

- A Melinda? Co o niej myślisz?

Nie wiedział, że podglądał go przez szparę pomiędzy łokciem a ręką. Opuścił głowę, a pomiędzy brwiami pojawiły się mu zmarszczki.

- Jest słodka. Lubię ją. Była z chłopakiem, który owinał ją sobie wokół palca, a ona nie była w stanie tego przerwać, dopóki nie znalazła w sobie tyle siły, aby...

- Już dobrze, dobrze. Znasz więc i jej historię. Czy właśnie to ci się przytrafia, kiedy obcujesz z kobietami? Że opowiadają ci o swoich tragediach?

- Chyba tak. Czasami. - Chciał się roześmiać.

- Muszę cię ostrzec: kobiety zmyślają, żeby w mężczyznach twojego pokroju wzbudzić litość. - Znudzony wzruszył ramionami; zrozumiałam, że nie przejmują się zwierzeniami, które trawi i wydala razem z jedzeniem. - Ale nie Melinda - dodałam. - Ją traktuj poważnie, Leonie. To dobrze, że ją lubisz. Jest w twoim wieku.

- Ma dopiero dwadzieścia lat. Dlaczego to robisz? Dlaczego taka jesteś? Próbujesz być twarda? Przecież wiesz, co do ciebie czuję, i że

to prawda. Dlaczego więc traktujesz mnie jak śmieć, jakbym cię zranił, jakby nie było prawdą, że nikt nie znaczy dla mnie tyle co ty?

- Bo to nie jest prawda.

- Jest!

- W takim razie przestaje nią być.

Nie pozwolę mu się dotknąć, nie po tym, jak zadałam mu taki cios... Nie pozwolę, aby się domyślił, jak bardzo chcę, aby nic się nie zmieniało, aby wszystko trwało jak przedtem, póki świat nie zaczął się mieszać w nasze sprawy...

Dotknął mnie. Ukląkł przy kanapie i wtulił głowę w mój brzuch. Ręce położył na moich piersiach.

- Nie czas na rozmowy - powiedział. - Jeśli pozwolę ci mówić, wpadniesz we własną pułapkę. Wiem, co powiesz. Co próbujesz powiedzieć. Nie masz racji. Nie mogę uwierzyć, że wciąż nie rozumiesz. Jest nam dobrze razem i to nie minie. Nie zmieni się.

Kiedy mówił, cały czas mocno tuliłam jego głowę.

- No widzisz, twoje ręce mówią prawdę, chociaż sama udajesz co innego.

Ciągle przytuleni poszliśmy na górę, do mojej sypialni, która stała się teraz naszą sypialnią. Rozebrał się, a kiedy i ja robiłam to samo, przyglądał mi się jak niewolnicy.

Za każdym razem, kiedy się kochaliśmy, coś do mnie mówił. Nie zawsze słyszałam co. Sama odzywałam się rzadko. Pewnych rzeczy musiałam się jeszcze nauczyć. Miałam nadzieję, że wszystko przekazuję dotykiem, i myślę, że tak było. Tak. Tym razem jednak, w ciemności, jego pytania były dla mnie niezrozumiałe. Zwykle zapalaliśmy świece, aby móc się widzieć, ale tej nocy tego nie zrobiliśmy. Było zbyt późno, byliśmy zmęczeni. Szeptał swoje pytania całym ciałem. Tylko jedno zdanie usłyszałam wyraźnie.

- Wszystko jest dobrze - powiedział - rozumiem milczenie.

Z upływem tygodni ten jego gorączkowy uścisk każdej nocy stawał się coraz lżejszy, pozbawiony początkowego lęku. Tego wieczora znów powrócił do pierwotnej formy - za każdym razem, kiedy się odwracałam, odruchowo chwycił mnie mocniej, nawet śpiąc głębokim snem. Ścisnął moją rękę tak mocno, że za dnia potraktowałabym to jako znęcanie się. W nocy rozumiałam, zawsze rozumiałam.

Nie sądzę, abym w ogóle spała; po prostu nie chciałam zasnąć. Pragnęłam liczyć każdą minutę nocy, słyszeć go, widzieć, kiedy zacznie świtać, i na koniec patrzeć, jak pogrąża się w swoim najgłęb-

szym śnie. To ostatnie było najtrudniejsze; jego ciało wydawało się tak czujne. Kiedy usłyszałam, jak Mike nawołuje krowy, wysupłałam palce z jego pięści, i pozwoliłam, aby się zwinęła sama. Ostrożnie, bardzo ostrożnie wyswobodziłam się z jego objęć. Spał nadal. Zabrałam rzeczy z krzesła i ubrałam się na korytarzu. Nie troszcząc się o pantofle, których zapomniałam wziąć, udałam się do schowka, gdzie odnalazłam jakieś wiekowe, popękane buty ojca. Wyjściowe drzwi zostawiłam uchylone, aby nie dopuścić do niepożądanego trzaśnięcia. Był rześki poranek. Bung i Ho szybko i ukradkiem do mnie dołączyły. Szczękając z podniecenia zębami, posłusznie wskoczyły do samochodu, obwąchując ze zdziwieniem swoje miski.

Sięgnęłam do stacyjki. Wiedziałam, że odgłos uruchamianego silnika obudzi Leona. Musiałam działać szybko. Bardzo szybko. Moje palce szukały kluczyka, ale go nie znalazły. Trzeba było wrócić do domu. Zostały na stole. Zabrawszy kluczyki obejrzałam się na schody. Na górze, w promieniach światła stał nagi Leon. Rzucił się biegiem na dół, nawet się nie potykając. Nie wiem, jak mu się to udało..

- Nie!!! - Był to okrzyk rozpacz.

Skoczył do mnie, zanim zdążyłam umknąć, chwycił mnie za ramiona. Twarz miał wykrzywioną histerycznie. Potrząsając głową był w stanie powtarzać tylko to jedno słowo. Opadliśmy na kolana.

- Proszę, kochany, pozwól mi odejść - wyszeptałam, by mieć pewność, że usłyszysz także i mój ból.

Objął mnie za szyję, wtulił w nią twarz, mocząc mnie łzami i śliną. - Nie. Nie możesz. Nigdy tego nie zrobisz. Chcę, abyś była szczęśliwa. Nie odchodź. Pozwól, abym uczynił cię szczęśliwą.

- Błagam, Leonie, błagam, kochany. - Słuchałam, jak echo mojego głosu odbija się o ściany starego hallu. Byłam tak opanowana. Skąd mi się to wzięło? Jak mogłam kłamać doskonale, skoro nie byłam kłamczuchą?

Ściskając mój nadgarstek jedną ręką, drugą otarł twarz, próbując się uspokoić.

- Musisz mnie wysłuchać - spojrzał mi prosto w twarz. Był poważny w swojej szczerości i z wyjątkiem paniki w oczach spokojny. - Musisz mnie wysłuchać, Delio. - Wymawiając moje imię, moje prawdziwe imię, zamknął oczy, jak gdyby nie mógł go znieść; palcami mocno dotknął moich warg. - Delia - uśmiech rozjaśnił jego twarz. - Kocham twoje imię. To imię dzielnej kobiety. Kocham cię,

Delio, kocham bezsilnie, prosto i bez zastrzeżeń. To najlepsze, co kiedykolwiek zrobiłem i będę mógł robić. Pocałowałam i go wstałam - jak młode ciele, które pierwszy raz w życiu staje na własnych nogach. Nie wiadomo skąd pojawił się Curtis. Przyniósł koc, którym owinał Leona. Klęczącego Leona. Curtis w swoich spodniach, kamizelce i szelkach, z wypiętym, dawniej utrzymywanym w tajemnicy brzuchem. Pokiwał do mnie głową i, jak mi się wydawało, mrugnął, jeśli w ogóle człowiek jego pokroju mógł się zdobyć na tak niesubtelny gest. Nakłonił mnie do wyjścia. Stał, lekko pochylony, przytrzymując koc na ramionach Leona. Składał usta w niemym pocałunku, mrugał i namawiał: „Idź, idź. Wszystko będzie dobrze”.

Kiedy stanęłam w drzwiach, Leon znów krzyknął.

- Nie, nie odchódź!!!

Pobiegłam do samochodu, skąd usłyszałam jeszcze:

- Delio, ty nadal nic nie rozumiesz!!!

Tak właśnie widziałam go po raz ostatni: na schodach Sleet, wraz z Curtisem, któremu próbował się wyrwać. Jego krzyki zagłuszył ryk silnika.

Część czwarta

XVI

Ot, i cała historia. Nic więcej nie będzie. Byłam dzieckiem, kiedy powinnam była stać się żoną; byłam kochanką zamiast być matką, i matką - zamiast przyjacielem.

Wiedział, że nie ma po co mnie szukać; że nie zadzwonię, nie napiszę. Długo przyglądałam się jego życiu, na tyle długo, aby uwierzył, że z niego zniknęłam, nie biorąc pod uwagę jego nadziei.

Udałam się do Flow Country na dalekiej północy Szkocji, do posiadłości, którą kupiłam osiem miesięcy temu od pewnego fotografa, po jednej wizycie i nie wróżącej nic dobrego ekspertyzie. Sto akrów ziemi, mały domek i budynki gospodarcze: stodoła, spichlerz, obora, stajnia oraz schowki na narzędzia. Nie uprawiane od kilku lat pięćdziesiąt akrów rolnej ziemi stało ugorem, zarośnięte pastwiska były nie wykorzystane.

Rozległa, podmokła dolina lśniła błękitnymi i białymi lustrami wody. Niektóre z nich były zaledwie kałużami, inne - sporymi jeziorami. Porastały ją drzewa iglaste, a wokół rozciągały się ośnieżone stoki gór. Z mojego domu nie było widać żadnych innych mieszkańców tej ziemi.

Nie wiem, czy kupiłam ją z myślą, że nigdy tutaj nie przyjadę, czy raczej podświadomie przeczuwałam, że pewnego dnia to opuszczone miejsce wraz z jego surową i wymagającą ziemią stanie mi się niezbędne. Kobieta, którą wtedy byłam, tak bardzo się oszukiwała, że nawet dzisiaj nie mogę dociec, co udawała i dlaczego. Poza tym spartańskie warunki, w jakich tam żyłam przez pierwszy miesiąc -materac na podłodze jednego z trzech pokoi na piętrze, brak ciepłej wody, zepsuta toaleta, która zmusiła mnie do wykopania dołu na zewnątrz, awaria instalacji elektrycznej (jeśli potrzebowałam światła, korzystałam z lamp naftowych, choć zdarzało się to rzadko dzięki długim, letnim dniom i krótkim nocom) - były tak wyczerpujące, że

zmęczenie nie zostawiało mi miejsca na żale, wątpliwości i przemyślenia. Żyłam niczym zwierzę, zaspokajając jedynie potrzeby ciała: głód, pragnienie, potrzebę bezpieczeństwa i ciepło w nocy. Bez refleksji i oczekiwań. W moich uczuciach, zwłaszcza na początku, dominował przejmujący smutek, który zadomowił się w mojej duszy na dobre i już tam pozostał.

Naprzeciw zbyt długiego, imponująco błyszczącego krwistą czerwieńią pieca zainstalowano inny, solidniejszy. Na pewno Leon by go pochwalił. Na nim gotowałam, grzałam też wodę, wystarczającą na moje potrzeby, oraz jedzenie dla psów. Od pierwszej chwili, kiedy w nim napaliłam, usadowiły się obok i od tej pory rzadko się z tego miejsca ruszały, śledząc mnie wzrokiem, z nieruchomymi łbami, mlaszcząc siwymi pyskami i przestępując z łapy na łapę. „Leżeć -mówiłam. - Leżeć, chłopaki”. Były posłuszne, czekały, zawsze gotowe, gdybym nagle chciała je opuścić. Szczenięce lata miały już za sobą. Obchodziły podwórko, kiedy musiały, węsząc podejrzliwie, rozglądając się ukradkiem dookoła, stąpając chwiejnie na swoich dotkniętych artretyzmem łapach. Wychodziły ze mną na spacer tylko wtedy, gdy je długo namawiałam. Jadły mało. Były za stare na przeprowadzkę - woda im nie odpowiadała, a powietrze było złe.

Najpierw zajęłam się urządzeniem domu. Kupowałam meble na sprzedażach wysyłkowych oraz w sklepach w Thurso. Gdziekolwiek jednak je wybierałam - z katalogów, w sklepie czy aukcji - kierowałam się jego opiniami: „Nie to, pani Sutherland, weź tamto, jest prostsze i wygodniejsze, ma piękny wzór”. To samo było z odzieżą, którą musiałam sobie kupić, gdyż przyjechałam z pustymi rękami. Wybierałam miększe tkaniny, łagodne linie, subtelne kolory. Raz znalazłam sukienkę, której nigdy bym nie kupiła. „To jest naprawdę to”, usłyszałam - i nabyłam ją, chociaż wiedziałam, że nie będę miała okazji jej nosić.

Nie przysłano mi moich rzeczy; nikt w Sleet nie wiedział, gdzie jestem. Chciałam, żeby tak było. Jeśli w ogóle wspominałam Sleet -kto wie, co wydarzało się w moich snach, zbyt głębokich, abym je pamiętała - to niezmiennie wracałam myślami do moich chińskich figurek.

Po kilku tygodniach byłam gotowa zająć się zdziczałym otoczeniem domu. Najpierw naprawiłam groble, obłożone płytami ustawionymi jedna przy drugiej, jak czoło lodowca, wkopanymi na jedną trzecią wysokości w torfową ziemię. Z okna mojej sypialni widzia-

łam ich zarys, wyraźnie odcinający się od brązowej gleby. Opróżniłam także schowek na narzędzia i odnowiłam go. Kiedy skończyłam robotę z dachem stajni, mogłam już kupić na miejscowym targu owce - pięćdziesiąt sztuk rasy cheviot oraz barana.

Baran był wspaniały. Oznaczywszy jego klatkę piersiową ochrą zmieszaną z olejem silnikowym, co dało kolor niebieski przez pierwsze tygodnie, a czerwony później, dzięki farbie, jaka zostawała na runie owiec, z łatwością zauważałam jego postępy w kryciu. Za pośrednictwem „John o'Groat's Journal” kupiłam też starą jałówkę ayrshire, która miała się ocielić w październiku, oraz tuzin młodych kur.

Moje owce nie należały do tych samowystarczalnych owieczek, jakie spotyka się na północy; były wyjątkowo głupie i całkowicie uzależnione od hodowcy, a przy tym miały skłonność do przysparzania mi typowych owcom problemów. Najgorszym była epidemia choroby bliźniaczych jagniąt. Latałam za nimi ze strzykawką pełną glukozy zmieszanej z gliceryną, ale pomimo letargu spowodowanego chorobą wciąż potrafiły mi umknąć, kiedy byłam zajęta czymś innym.

Na krótko przed przybyciem Leona do Sleet zostawiłam instrukcje prawnikom, którzy zajmowali się moimi sprawami, nie po to, aby komukolwiek ujawnić miejsce swojego pobytu, ale żeby otrzymywać pocztę. Mimo to na Boże Narodzenie dostałam kartkę i list od Davida Rosena. Domyślił się, gdzie jestem. Nie miał z tym kłopotu, gdyż w ramach ostatniej usługi prawniczej nabył w moim imieniu tę właśnie posiadłość. Pisał, że chciałby odnowić naszą przyjaźń, albo przynajmniej „przypomnieć o tym, że jest mi życzliwy”. Kiedy to przeczytałam, wybuchnęłam śmiechem. Stał mi przed oczami jak żywy. Był zabawnym, uprzejmym człowiekiem, nawet w tym liście. Ale kiedy przeczytałam ostatnią linijkę „Zastanawiam się, czy może mógłbym cię odwiedzić”, pomyślałam: Czemu nie? - i zaprosiłam go listownie.

Zaraz po Nowym Roku zdechł Bung. Wylew sparaliżował mu tylne łapy, spędziłam więc dwie noce przy piecu. Tuliłam jego stary, poczciwy łeb i próbowałam wykrzesać z siebie dość odwagi, by móc zadzwonić po weterynarza i go uspić; Ho przyglądał się wszystkiemu z boku. Po trzech dniach nastąpił powtórny wylew, który Bunga wykończył. Po tym wszystkim zabrałam Ho do swojego łóżka, ale nie potraktował tego jako nagrodę, tak jak to było za dawnych czasów. Po kilku nocach wybrał miejsce na dole, przy piecu. Pewnego poran-

ka, kiedy zeszłam do kuchni, znalazłam go zeszywniałego, prawie zimnego, z oczyma zasłoniętymi owymi dwiema uroczymi kępkami, które u psów pełnią funkcję brwi. Nie mogłam uwierzyć, że nie żyje.

Byli już staruszkami, moi dwaj chłopcy, bracia z jednego miotu; mieli udane życie. To, że umarli, było zwykłą koleją losu, ale świadomość tego nic mi nie ułatwiła. Jediną rzeczą, która mi teraz została po dawnych czasach, były stare buty ojca. Zajmowały miejsce po przeciwnej stronie pieca niż ta, gdzie mieszkały psy.

Nie czekałam długo, aby kupić wytresowanego i doświadczonego collie. Chciałam go mieć od momentu, kiedy nabyłam owce, ale nie zaspokoilałam tego pragnienia ze względu na Bunga i Ho.

Pies wabił się Pete i próbował zakamuflować swoją błyskotliwą inteligencję głupimi minami i bezustannym śmiechem. Powiedziałam mu więc: „Znam cię. Jesteś mądrym psem. Nie masz powodów, aby udawać”. Tak, istotnie był uroczym, kochanym łobuzem, ale ponieważ stanowczo chciałam, aby został moim pomocnikiem, zaczęłam zamykać go na noc w stodole i nigdy nie wpuszczałam do domu.

Przyszędł kwiecień, moja trzoda zaczęła się rozmnażać, więc razem z Pete'em spędziliśmy wiele bezsennych nocy doglądając owiec i wypatrując oznak ewentualnych kłopotów. Było ich mnóstwo.

Żadna nie rodziła łatwo, więc nie chcąc, by na skutek długotrwałego wysiłku matka całkowicie osłabła, wczółgiwałam się pod nią. Leżąc z czołem opartym na ręce, z oczami zamkniętymi ze skupienia, wkładałam najpierw palce, a potem całą dłoń w ściśniętą, opuchniętą pochwę i zanurzałam się aż po łokieć w lepłą ciemność. Tam wymacywałam kopytko, po nim trafiałam na głowę, rozplątywałam bliźnięta lub obracałam dorodniejszego jedynaka tak, aby z nosem w mojej dłoni przepchnął się ku wyjściu. Potem jego ciało wyślizgiwało się na świat. Naznaczone na niebiesko samice zaczynały się kocić w jednej chwili, jedna za drugą. Wymagało to ode mnie tak wielkiej uwagi, że stworzyłam istny oddział położniczy, dzieląc oborę na szesnaście boksów. W ten sposób mogłam mieć nad wszystkim pieczę - nie tylko nad rodzącymi, ale także nad niesolidnymi, początkującymi matkami. Był to także dobry sposób na to, aby zapobiec podkradaniu noworodków przez kilka matek, których jagnięta przyszły na świat martwe. Dwukrotnie z powodzeniem podmieniłam małe, szybko usuwając dopiero co zmarłe niemowlę i zastępując je jednym z trojaczków od innej matki. Wszystko to wymagało wielkiego zaangażo-

wania, było wyczerpujące, ale naprawdę opłacalne. Dzień i noc otaczało mnie kwilenie maluchów i krzepiące pobekiwanie matek.

Wizyta Davida nie doszła do skutku przed nadejściem sierpnia. Najpierw on zaproponował kwiecień, który był dla mnie najbardziej pracowitym miesiącem, jeżeli chodzi o owce. Umówiliśmy się więc na koniec maja, ale z niewiadomych przyczyn odwołał przyjazd. Czekać na stacji obliczyłam ze zdziwieniem, że od mojego przyjazdu do Flow Country minął już rok.

Zobaczyłam niską, szykowną postać, idącą ku mnie ze staromodną skórzaną walizką. Przypomni mi wycięte z papieru ludziki, zrobione z tekturowych pudełek, jakie przykleja się na stacjach kolejowych. Nie miał swojej aktówki. Nigdy przedtem nie widziałam go bez niej i pomyślałam sobie: „Dobra robota, Davidzie”. Zawsze było mu trudno łamać stare przyzwyczajenia. Machał ręką od chwili, gdy mnie zobaczył, co sprawiło, że się lekko nastroszyłam. Z rękami w kieszeniach zaprowadziłam go do samochodu i pochyliłam się, aby otworzyć mu drzwi. Oboje najpierw wsiedliśmy, a dopiero później się przywitaliśmy, całując w policzki.

- Co z twoimi włosami, Delio? - zapytał, gdy ruszyłam. Przyglądał mi się z założonymi rękami.

- Nic takiego.

- Kiedy to zrobiłaś?

- Zaraz na początku. Za dużo było z nimi kłopotu, to czesanie i tak dalej. Już dawno powinnam była je obciąć.

- Zawsze uważałam, że długie włosy są najbardziej kobiece, ale teraz nie jestem tego taki pewien. Wyglądasz wspaniale, i jeśli się nie pogniewasz - z dziesięć lat młodziej.

- Nie pogniewam się. Dziesięć lat młodziej czy dziesięć lat starzej - dla mnie to to samo.

Roześmiał się:

- Czyżbyś wcale się nie zmieniła?

Spojrzałam na niego. Nasze oczy spotkały się na chwilę. Odwrócił wzrok i zamiast mnie patrzył na drogę; po czym, lekko zaczerwieniony, pokazał mi na nią palcem, aby odwrócić moją uwagę. Nie mogłam mówić.

Milczenie zaczęło nam ciążyć, choć nie trwało długo. Nie powinnam była go zapraszać; należał do przeszłości, do tego, co już minęło. Pytania, na które nie chciałam znać odpowiedzi, układały się same mimo woli. Życie toczy się dalej, myślałam. Cóż, oczywiście,

a czego oczekiwałaś? Oni wszyscy tam są, żyją: Curtis, pani Files i cała reszta. Reszta. I Leon.

- A co u niego? - zapytałam. Co u niego. Jeszcze nie dojechaliśmy do domu, a ja już zapytałam.

- Wszystko w porządku - powiedział to miłym głosem i dotknął mojego ramienia. To były nasze ostatnie słowa przed dotarciem na miejsce.

David postawił walizkę na podłodze w kuchni. Złożył ręce jak małe grzeczne dziecko i nie zrobiwszy nawet kroku powiedział:

- Ależ to urocze!

- Cieszę się.

-Mówię poważnie. Kogoś zatrudniłaś, jakiegoś dekoratora wnętrz?

- Nie żartuj sobie.

- Nie, przecież mogłaś. Jest przyjemnie i miło. Prawdziwie gościnnie. To zabawne, że sama to wymyśliłaś.

Tak, to byłoby rzeczywiście zdumiewające, gdybym rzeczywiście wszystko zaaranżowała samodzielnie, ale jak miałam mu wyjaśnić, że to nieprawda? Że wszystko, począwszy od wyłożonej płytkami podłogi na parterze, a skończywszy na puchatych kołdrach, na miękkich, tweedowych kotarach i zgrabnych fotelach, zawdzięczam wycuciu przejętemu od kogoś, dla kogo było ono czymś naturalnym.

Pokazałam mu jego pokój i zostawiwszy go, by się przebrał, wróciłam na dół. Nie będę mogła kontynuować tego, co zaczęłam. Tylko jedna noc. Od chwili, w której go ujrzałam, wiedziałam, że nasza zażyłość nie wystarczy, aby uchronić mnie przed odkryciem świata, jaki dla mnie przestał istnieć. To, co wydawało się ścianami, przez niego stało się jedynie zasłonami.

- Ponury krajobraz.

Wyglądałam na podwórko przez kuchenne okno i patrzyłam na rozciągające się w oddali góry. Gapił się na mnie.

- Wyjdziemy sobie na trochę? Na mały spacer?

- Mały patrol? - zapytał, i wtedy coś się ze mną stało, coś dziwnego: słyszałam, jak mówi, ale nie rozumiałam. Potok słów i wreszcie:

-Nie muszę tutaj zostać, Delio. Mam wieczorem pociąg. Wszystko rozumiem.

Tak, tak będzie lepiej. Wyjeżdż. Nie każ mi patrzeć wstecz na to, co przeszłam.

- Nie bądź śmieszny. Nie możesz wyjechać. Chodź, poznasz Pete'a i Deirdre.
- Och, no dobrze. A więc nie jesteś tutaj sama? W oborze przedstawiłam mu Deirdre i jej cielaka.
- Ma już prawie rok, a ja do tej pory nie wymyśliłam mu imienia. Nazywam go po prostu Małym Cielaczkiem. Tak mówią na niego dzieci.
- Dzieci? Czy tym razem masz na myśli jakichś ludzi?
- Tak. Czasami przyjeżdżają tutaj na rowerach. Mieszkają daleko, ale lubią mi pomagać. Jestem im wdzięczna, wiele zrobiły. Z przyjemnością słucham ich śmiechu.
Zmierzył łeb Pete'a.

- Ktoś jeszcze?

- Nikt.

- Tylko ponury krajobraz.

- To ty tak mówisz. Nie jest ponury. Nie dla mnie.

- Czy nie czujesz się czasem samotna?

Całe wieki temu, pewnego wieczora w Sleet zadał mi to samo pytanie. Nie pamiętam swojej odpowiedzi, tylko tyle, że zakrztusił się wtedy swoją brandy.

- Nie wiem - odparłam tym razem. - Nie wiem, a więc nie jest to nic istotnego. - Kiedyś nie byłam samotna; tamtymi czasy nie miałam powodu.

Nie poruszając tematu swoich odwiedzin w Sleet, David wypytywał mnie, czym będę w najbliższym czasie obsiewać pola. Ciągłe nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że mi się przygląda, próbując określić coś, czego nie był w stanie odczytać z mojej twarzy. Po powrocie do domu zaczęłam się zastanawiać, czy nie mam racji. Czekał na dogodną okazję, aby powiedzieć mi coś, o czym według niego powinnam była wiedzieć.

Kiedy weszliśmy do kuchni, dostrzegł, że patrzę na zegar, wiszący nad piecem, i zażartował:

- Obawiam się, że jest za późno. Pociąg już odjechał.

Musiałam się uśmiechnąć, choć ten znajomy mężczyzna, który był moim przyjacielem, przerażał mnie.

Wieczorem słodowa whisky usunęła poczucie skrępowania, które dzieliło nas do tej pory. Po posiłku rozsiedliśmy się w fotelach w kuchni, tym razem nie oddzieleni od siebie kominkiem, jak dawniej w salonie, ale dużym oknem, które sięgało niemal podłogi. Przez nie oraz przez otwarte drzwi wpadało do środka wieczorne światło.

- Trudno uwierzyć, że jest tak późno, a noc jeszcze nie zapadła - stwierdził David.

- Za parę godzin zrobi się trochę ciemniej, ale nie bardzo. Można się przyzwyczaić.

Patrzyliśmy na siebie. Skąd się wziął ten lęk? Nie przejmowałam się niczym, poza tym, co i tak mi już odebrano; tych, których kochałam, straciłam albo opuściłam. W takim razie co? Czyżby ten zadbany, budzący szacunek mężczyzna, który od lat chciał ode mnie więcej, niż mogłam mu ofiarować, miał mi się kojarzyć wyłącznie z tym, co straciłam? Strach należało przezwyciężyć.

- Opowiadaj o Sleet, jeśli chcesz - poprosiłam. - Jestem gotowa. Często go widzisz?

Poprawił się na fotelu, spojrzął mi w oczy, zmarszczył brwi nad swoją whisky i umoczył w niej usta.

- Tak. Widuję go regularnie. Rozumiesz chyba, dlaczego nie przychodziłem, kiedy jeszcze tam byłeś? Jak mógłbym omawiać z nim sprawy tak samo jak kiedyś z tobą, zwłaszcza że miał te swoje pomysły?

- Sza. Rozumiem. - Wzięłam go za rękę. Był tym zdziwiony, ja zresztą także. - Nigdy nie uważałam, że coś robisz źle, Davidzie.

Przyglądał mi się w milczeniu, a w jego oczach widać było zamyślenie. Na mój temat.

- Same pozytywy - mruknął, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy jakkolwiek inny język świata ma tyle ogólników, co angielski.

Pozwoliliśmy naszym rękom rozdzielić się łagodnie i opadliśmy każde w swój fotel. David założył nogę na nogę.

- Odniósł ogromny sukces. Projekt Ragge Down zakończony. Ma mnóstwo pieniędzy, a każdy interes, który zaczyna, przynosi mu ich więcej. Naprawdę nadzwyczajne.

- Co jeszcze? - zapytałam. Wiedziałam, że jest coś jeszcze.

- Sam nie wiem. Jest lubiany, nawet bardzo lubiany. Jest taki prostoduszny, prawda? Chciałaś mu pomóc najlepiej, jak tylko potrafiłaś. Ma cały sztab doradców, specjalistów od turystyki i rekreacji, księgowych. Dzięki tobie. Przez nich stał się jakiś odległy, niecierpliwy. Jeśli jego zdaniem ja także jestem powolny albo pedantyczny...

- Ty? Pedantyczny? Daj spokój - dolałam mu whisky z butelki, którą trzymałam przy nogach.

- Taki właśnie jestem - westchnął i poprawił sobie mankiety. - Ale on nie będzie czekał. Zatrudni kogoś, kto jest szybszy.

- W takim razie zrezygnuj - powiedziałam bardzo spokojnie.

- Przecież wiesz, że nie mogę mu tego zrobić.

Czekał, aż odpowiem. Co chciał usłyszeć? Że ja to zrobiłam? Że to proste? Nie zamierzałam się odzywać, więc ciągnął:

- Raz dałem mu to do zrozumienia, ale powiedział stanowczo, że jestem niezbędny. Co, rzecz jasna, nie jest już prawdą, ale tak samo...

- A Curtis?

- Bardzo się postarzał. Jest bardzo Leonowi oddany i to z wzajemnością, ale prawda jest taka, że jego umysł szwankuje. Szczerze mówiąc, dość poważnie.

- Dlaczego?

David potrząsnął głową.

- Nie mogę ci powiedzieć. - Czyżby o to chodziło? Czy ta wiadomość miała mnie zwalić z nóg? Chyba tak, bo w końcu się zdecydował. - No dobrze, powiem. Ostatnio, kiedy tam pojechałem z wizytą, tak jak dawniej jeździłem do ciebie, stary, poczciwy Curtis podawał do stołu w pełnym stroju wieczorowym. - Zamilkł.

Zorientowałam się, że skończył, i że teraz moja kolej.

- Chyba nie ma nic w tym złego.

- Tylko że był to strój damski, Delio. Damski. Błękitne, obszyte cekinami bolerko i suknia do ziemi. Lata pięćdziesiąte. Nie miał nic pod spodem. Odkryte ramiona i tak dalej, to mam na myśli. Kursował tam i z powrotem. Nie wiedziałem, gdzie podziąć oczy.

Wydawałam się bardziej zainteresowana wyglądem przez okno niż tym, co powiedział.

- To nie jest śmieszne, Delio. To żalosne. I niezwykle smutne. Curtis jest porządnym człowiekiem, on nie powinien być pozwolony... Nie mogę uwierzyć, że tak cię to śmieszy.

Otarłam oczy. Niech myśli, że się śmieję; prawdopodobnie miał rację.

- Co na to Leon?

- Nic, dopóki kolacja nie dobiegła końca.

- A potem?

- Powiedział, że w różowym jest mu bardziej do twarzy.

David w końcu chyba się domyślił, bo podszedł do mnie i wziął mnie za rękę.

- Uspokój się i usiądź.

To jeszcze nie koniec, pomyślałam. Nie powiedział mi tego, co najważniejsze, wszystko jeszcze przede mną. Tym razem on nalał do kieliszków.

- Nie ma przyjaciół. Leon - powiedział. - Widziałem u niego mnóstwo zaproszeń, sam chętnie wydaje przyjęcia, kolacje, które potem stają się głównym tematem rozmów. Podobno. Ale jak już mówiłem, przyjaciół to on nie ma.

- Skąd ta pewność?

- Tak przypuszczam.

- A pani Files?

- Nigdy nie wyjeżdża ze Sleet.

Wzięłam dwa głębokie wdechy i chciałam o coś spytać, ale zrezygnowałam. Zająłam się swoją whisky. David i tak mi odpowiedział.

- Tak. - Podniosłam wzrok znad kieliszka. - Pyta o ciebie. Naprawdę. To właśnie chciałaś wiedzieć, prawda? Raz czy dwa dał mi listy, zaadresowane do ciebie, ale zawsze zabierał je z powrotem, zanim zdążyłem wyjechać. Z pytaniem, a zawsze miał tylko jedno, czekał do ostatniej chwili, i kiedy je zadawał, nigdy na mnie nie patrzył. Bawił się czymś albo głaskał psa. Ma teraz czarnego labradora, bardzo podobnego do Ho, kiedy był młody. „A pani Sutherland?” - tak właśnie pyta. „Nie wiem, Leonie - odpowiadam - nie widziałem się z nią”. Za każdym razem tak samo. Nigdy nie rezygnuje i za każdym razem pyta w ostatnim momencie. Zanim jednak do tego dojdzie, to pytanie wisi w powietrzu. Nigdy go nie zmienia, a ja nie zmieniam odpowiedzi. Tak jest prościej.

- A teraz, skoro już...

- Skoro się z tobą zobaczyłem? - Rozprostował nogi, co nie przyniosło mu ulgi. Podeszedł do drzwi, wychylił się przez nie, wrócił! i stanął na środku pokoju. Podrapał się delikatnie po świeżo umytej czuprynie. - Gdybym miał cokolwiek zmienić, powiedziałbym, że się zmieniłaś; że jesteś inną kobietą. Ciepłą, czulszą, bardziej życiową. Powiedziałbym, że masz w sobie to wszystko, czego się spodziewałem, czego byłem pewien, a co w sobie ukrywałaś. Tylko widzisz, nie sądzę, że uznałby to za zmiany. Przecież dla niego zawsze taka byłaś. Mam rację? Wzięłam go pod rękę.

- Daj spokój, stary przyjacielu, chodźmy na przechadzkę, a potem będzie najwyższy czas, żeby iść spać.

- Najprawdopodobniej nie będę w stanie spać, nie przy świetle.

- Położysz się i będziesz się starał. Zobaczysz, noc minie.

I rzeczywiście noc minęła. Jego wizyta także. Następnego dnia był łatwiejszy. Do tematu Sleeta prawie nie wracaliśmy. Zawiozłam go na stację na wieczorny pociąg, weszliśmy na peron. Mieliśmy dziesięć minut do odjazdu. Wsiadł do przedziału, zajął miejsce przy oknie, stawiając na nim swoją walizkę, chociaż nie było żadnych innych pasażerów, i wrócił, aby porozmawiać ze mną w drzwiach. Paplaliśmy tak do chwili, kiedy wróciło do mnie to dziwne przeczucie.

- Pójdę już - powiedziałam.

- Nie, poczekaj.

- Lepiej nie. Za chwilę odjeżdżasz. Muszę wracać do... - Nie myślałam o tym, do czego mam wracać, ale się odwróciłam.

Złapał mnie za ramię.

- Jeszcze jedno. Nie wiem wprawdzie, jak to ująć, ale to dobra wiadomość. Chyba dobra. - Na twarzy miał wypisane coś wręcz przeciwnego. - On się zaręczył, Delio, z dziewczyną imieniem Mehn-da Fuller. Powiedział mi to jakiś czas temu. Dlatego odwołałem majowy przyjazd. Miałem nadzieję, że do tej pory się o tym dowiesz.

- Oszukałeś mnie. Powiedziałeś, że nie ma przyjaciół.

- Bo nie ma.

- Chciałeś tylko jednego! - Chyba krzyczałam.

- Żałuję, że nie powiedziałem ci tego wcześniej. Byłem tchórzem. Nigdy nie spotkałem jej w Sleecie. Po prostu pewnego kwietniowego dnia powiedział mi o tym, i nic się nie zmieniło. Ostatnio nawet zapytałem, czy wciąż jest zaręczony, a on odpowiedział: „Oczywiście . „Tylko tyle”. O Boże, już odjeżdża, pociąg odjeżdża! Gdzie moja walizka?

- Na siedzeniu, Davidzie. Żegnaj.

XVII

Sądziłam, że świadomość, iż postąpiłam właściwie, będzie jakimś pocieszeniem, i da mi przynajmniej cię satysfakcji. Mój potajemny wyjazd, porzucenie jego i całego życia, które szczęśliwie wiedliśmy razem, wydawał się najlepszym wyborem. Po tym wszystkim on bez wahania rzucił się w wir konwenasów, czyż nie tak? Co czułam? Nic, oprócz przerażenia, od którego zasychało mi w gardle. Tak szybko? Równie szybko, jak ja odjeżdżałam od niego samochodem. Równie szybko znalazł sobie młodą żonę, jakby tylko czekał na tę sposobność.

Postanowiłam odpłynąć w bezmiar, który pamiętałam sprzed wizyty Davida; znów wmówić sobie, że to, czego nie widzą moje oczy, nie istnieje. Leon żył w innym wymiarze. Był kochany i zamierzał się ożenić. Jakoś uodporniłam się na rzeczywistość.

Melinda Fuller. Piękna, wrażliwa Melinda Fuller. To takie oczywiste; tak trywialne. Czy sama mu nie powiedziałam: „Traktuj ją poważnie, to dobrze, że ją lubisz”? I tak właśnie zrobił. Może byłoby mi łatwiej, gdyby David nie wymienił jej imienia. Zresztą kto wie?

Przez całą jesień, kiedy porządkowałam, orałam i obsiewałam kilka poletek, a baran rozkoszował się drugim okresem godowym, przed oczyma stawały mi obrazy, surrealistyczne sceny ze ślubu i nasi goście. Identycznie powieleni: tuzin Ethel Sending, sypiących stronami „Roots” jak confetti, tuzin Matthew Hurstów i tak dalej, Curtisa (tylko on był pojedynczy), ubranego w kolejną z sukien firmy Norman Hartnell mojej matki. Myślę, że za wieloletnią troskę o te suknie należała mu się jakaś nagroda.

Późną wiosną, kiedy kocenie się owiec miałam już prawie za sobą, wyobraziłam sobie Leona z jego własnym dzieckiem. To było mi już łatwiej znieść. Uspokoiła mnie ta myśl. Moje wizje przestały być tak szalone i bolesne. Był młodym żonatym mężczyzną z własną rodziną, czyli tym, czego ani jemu, ani jego ojcu dać nie mogłam. Za-

częłam uznawać za słuszne, że w Sleet mieszka Leon ze swoją żoną. I dlaczego tylko z jednym, a nie z chmurą dzieci? Takie myślenie mi pomagało. Umieszczałam go w scenach, w których sama nigdy me miałam brać udziału. Wierzę, że Davidowi przekazałam jedno: że choć nie mogę być do końca szczęśliwa, jestem przynajmniej zadowolona. Mam rzeczy, które z całą pewnością zawsze miały dla mnie największą wartość, czyli ziemię, pracę na niej i towarzystwo psa. Otrzymałam od Davida jego „wiadomości z ostatniej chwili”, celowo nie analizowałam zbyt wnikliwie tego, co się ze mną dzieje. Choć wszystko miałam już za sobą, byłam zajęta, skoncentrowana na czymś innym, wgłębianie się we własne odczucia mogłoby być zbyt niebezpieczne moje pogodzenie się z rzeczywistością było jedynie pozorne. A jesh tak, oznaczało to ni mniej, ni więcej, że odkąd przybyłam do Flow Country, cały czas miałam nadzieję. Czyli że pozostałam tym, kim zawsze byłam - kobietą nieszczerą wobec samej siebie.

List od Muriel Fuller otrzymałam w środku lata. O tej porze roku noce są tam tylko trochę ciemniejsze niż dni. Od wczesnego ranka przebywałam na dworze. Spacerowałam groblami, sprawdzając, czy nie ma w nich żadnych szczelin, i poprawiałam obsunięte płyty. Po powrocie zobaczyłam, że listonosz zostawił na kuchennym stole żółtą paczkę, w jakich co miesiąc prawnicy przysyłali mi bilans oraz informacje na temat bieżących spraw. Nie przypominam sobie, abym oprócz poprzedzającej przyjazd Davida notatki otrzymała przez ten rok cokolwiek od prywatnej osoby. Zresztą dlaczego miałabym otrzymać? Nigdy do nikogo nie pisałam.

Zobaczywszy na końcu pliku kartek podpis Munel, odłożyłam je na bok i czekając, aż zagotuje się woda w czajniku, przyglądałam się im z pewnej odległości. Następnie, wzięwszy drewniane krzesło, kubek herbaty i list, wyszłam na podwórze. Oto, co napisała:

Droga Delio,

już zobaczyłaś, od kogo jest ten list, i mam nadzieję, że go nie podrzesz przed przeczytaniem, choć wiem, że mogłabyś, i rozumiem, dlaczego Wierz mi, sama kilka zdążyłam podrzeć. Pan Curtis dał mi adres twojego prawnika, ale nie mam pojęcia, kiedy i czy w ogóle ten list dostaniesz, więc czuję się tak, jakbym pisała w próżnię. Być może dzięki temu jest mi łatwiej.

Czy to głupie zastanawiać się, gdzie mieszkasz i czy jesteś szczęśliwa? Niebezpieczeństwo zestarzenia się przedwcześnie polega na tym, że zaczynasz myśleć, że wiesz, podczas gdy tak naprawdę nie wiesz, a błąd ten staje się tym gorszy, kiedy przystępujesz do udzielania rad. Pamiętam naszą rozmowę w twojej sypialni w Sleet. Ile miała wspólnego z twoim wyjazdem? Właśnie nad tym cały czas się zastanawiam. Mówiłam wtedy o konwenansach, o nieubłagalnych regułach, dzięki którym społeczność ludzka pozostaje normalna i ograniczona. Uwierz mi, Delio, że obawiałam się szczerze także i o twoje szczęście. Jakkolwiek nie zmieniam to ostatnie zdanie, nie brzmi ono szczerze, choć powinno, ponieważ jest prawdziwe.

Następnego dnia po waszym przyjęciu Melinda przyszła do Sleet z kwiatami z naszego ogrodu, które chciała ci dać w podziękowaniu. Znalazła tam Leona - tak, znalazła go. Nie potrafię opisać, co zrobiła, ale kiedy wróciła do domu, łkała w moich ramionach nad nim i jego nieszczęściem. Gdybym mogła cię wtedy znaleźć i nakłonić do powrotu, zrobiłabym to, ponieważ, jeszcze o tym nie wiedząc, trzymałam w objęciach cały smutek nadchodzących miesięcy. Oczywiście zakochała się w nim, a on jej na to pozwolił. Dlaczego miałby zabronić? Sam ledwie dawał sobie radę z własnymi uczuciami. Przez pierwsze miesiące widywałam go dość często, aby zobaczyć, jak uchodzi z niego cała radość życia. Został mu dawny urok i ta jego słodycz, ale wiem dzisiaj, że taką ma naturę. Obdarza czułością i troskliwością każdego, bez wyjątku. Taki już jest, i dobrze. Nie mam wątpliwości, że sam ze zdumieniem odkrywał, jakie emocje wzbudza w mężczyznach i kobietach, zwłaszcza w kobietach, czego chyba nie muszę podkreślać. Choćby tylko sposobem, w jaki ich słucha. A gdy te zwierzające mu się kobiety oczekiwały od niego jakiegokolwiek wzajemności, która miałaby być odpowiedzią na ich wynurzenia (to takie ludzkie, nieprawdaż? Człowiek obnaża swoją duszę i oczekuje, że będzie pocieszony. Nie ma przecież nic cenniejszego od własnej duszy), czuły się rozczarowane i prawdopodobnie upokorzone. A przecież jest wiele ważniejszych spraw niż dusze jakichś starych bab, zwłaszcza dla Leona, który musiał ich mieć powyżej uszu.

Leon wykształcił jednak swój własny mechanizm obronny. Przecież jest obcy, prawda? Nie należy ani do tego kraju, ani do świata, powiem więcej - posunął się w tym tak daleko, że przestał należeć sam do siebie. W tej sytuacji nie ponosi odpowiedzialności za reakcje, jakie wzbudza; nawet na swoje własne działania patrzy z prostoduszną pobłażliwością.

Bardzo łatwo jest racjonalizować w ten sposób, kiedy jest już po wszystkim, ale widzisz, ofiarą tego była Melinda. My, ludzie, a także zwierzęta, ciągniemy do ciepła; to naturalne, że kiedy przysuwamy się bliżej, oczekujemy, że będzie jeszcze cieplej. Jeśli u źródła natrafiamy na całkowity chłód, wydaje nam się to sprzeczne z naturą. Z tym właśnie Melinda zetknęła się u Leona. Pozwolił, aby się do niego zbliżyła, pozwolił, aby się zakochała. Pomimo wszelkich argumentów czynię go za to odpowiedzialnym. Twierdzę, że to z jego powodu Melinda od miesiący przebywa w szpitalu. Mógł ją ochronić przed samym sobą.

Okres zwykłego zadurzenia trwał krótko i minął z chwilą, gdy zdała sobie sprawę, że ostatni miłosny zawód był niczym, a to, co czuje do Leona jest o wiele poważniejsze. Jego bierność wzięła za wzajemność. Nigdy nie potrafiła pogodzić się z tym, że tak naprawdę jej nie kochał, a przynajmniej nie w pełni, nie we właściwy sposób. Nie mogę pojąć, jak mogło dojść do zaręczyn. Z tej okazji zostaliśmy zaproszeni na kolację w Sleet - z Melindą w roli ni to gościa, ni to gospodyni. Wychodziłam stamtąd myśląc sobie, że właśnie spotkałam najsmutniejszego człowieka na świecie, a moja córka zamierza za niego wyjść za mąż.

Powoli coś ją zaczęło zżerać. Jeśli w ogóle można być zżartym przez brak czegoś - a tak właśnie było; jego miłości brakowało jakiegoś składnika. Czekala i planowała, jak to dziewczyna, że zmieni w swoim przyszłym domu to czy tamto. Nie stworzył go dla niej; niczego jej nie zabraniał, ale nigdy nie pozwolił na posiadanie tego domu. Kiedyś mi powiedziała, na samym początku, zanim związek zaczął się rozpadać, a ja jeszcze byłam jej powiernicą, że rozmawianie z nim jest jak próba złapania ryby ręką. Nie wiadomo dokładnie, kiedy zaczęła się jej choroba, ale wpadła w anoreksję. Pamiętasz, że zawsze była szczupła. To straszna choroba. Patrzyliśmy, jak szybko się wykańcza. Przyjęto ją do szpitala. Lekarze sugerowali, aby Leon trzymał się od niej z daleka, dopóki Melinda się nie wzmocni. Wydawało się, że to zrozumiał, zaakceptował. Tom i ja byliśmy zbulwersowani, kiedy to zrobił. Wiedzieliśmy, co to oznacza.

Spróbuję teraz opisać to, co niedawno zaszło pomiędzy Tomem a Leonem. Pojechaliśmy do Sleet. Leon na nas czekał; zaprowadził nas do salonu. Takiego samego jak zawsze, Delio. Do Twojego salonu. Natychmiast, kiedy znalazłam się w towarzystwie Leona, zapragnęłam zmienić swój sposób podejścia do sprawy, tłumacząc sobie: jak ktoś tak oddany i szczery mógłby nie kochać mojej córki i robić jej krzywdę; jak mogliśmy ryzykować coś, co w efekcie oznaczało dla niej utratę

tego szczególnego człowieka? Sama widzisz, jestem kobietą, prawda? Po drinku i kilku słowach na temat stanu zdrowia Melindy Tom zapytał Leona: „Kochasz moją córkę?”, a Leon odpowiedział: „Nie pytaj mnie o to, Tom. Ona tego nie robi, chociaż ma prawo”. Wtedy Tom znów zapytał: „Co byś powiedział, gdybym cię poprosił, abyś zostawił Melinę w spokoju i nigdy nie pozwolił, aby nawet po wyjściu ze szpitala do ciebie przychodziła?” Zanim odpowiedział, minęła krótka chwila. „Przypuszczam, że zrobiłbym to, o co prosisz” - powiedział, a na to Tom: „Dlaczego w takim razie sam nie zdecydujesz? Dlaczego pozwoliłeś na to wszystko, jeśli nawet nie możesz powiedzieć, że ją kochasz?”

„Jeśli nie ma powodu, po co kogoś ranić? Ludzie zadają sobie zbyt wiele ran. Ona chce wyjść za mąż i to jest w porządku. Nie jest? Czy nie tak to powinno wyglądać? Nie zranię jej. Nigdy. I zapewnię jej bezpieczeństwo”. Właśnie tak. Temu, czego sam zawsze pragnął najbardziej, przypisywał największe znaczenie. Jak każdy. Nie ranić, zapewnić bezpieczeństwo. To dobre założenia, jeśli chodzi o małżeństwo, i tak rzadko spotykane. Jeśli jednak ktoś pyta o własne dziecko, niekoniecznie trzeba o nich mówić, nie wspominając o miłości. Tego właśnie Leon nie rozumiał: pozwolił Melindzie kochać, i nie wiedział, że zabijała ją potrzeba wzajemności.

„W porządku, Leonie, w takim razie zranię ją za ciebie” - to było wszystko, co Tom miał do powiedzenia. Wyszliśmy. Wstyd mi przyznać, ale odchodziłam z poczuciem, że chciałabym go przytulić. Jak matka, litująca się nad chłopakiem, który stał się ofiarą swojej własnej obrony. Człowiek, którego nie dopuszczono do startu, ale przed którym drzwi stały otworem. Wszedł przez nie do środka i znalazł się w obcym świecie. Oczywiście nic i nikt nie mógł go przed nim uchronić, z wyjątkiem Ciebie, Delio.

Myślę, że teraz rozumiesz, dlaczego nie ma nikogo innego, komu mogłabym to wszystko opowiedzieć. Ciekawa jestem, czy wiesz, jak trudno mi o tym wszystkim pisać w taki sposób? Delio, to moja córka, to Melinda, nasza Melinda, która omal nie umarła, odchorowując swoją miłość, a z niej najtrudniej się wycofać. Ona jest, była, prostą dziewczyną z klasy średniej, odebrała staranne, choć może niezbyt solidne wykształcenie. Jej dzieciństwo było szczęśliwe, upłynęło bez cieni. Tak, pojechała do Cambridge, tak, dobrze dała sobie radę pracując w wydawnictwie, ale żadne z jej doświadczeń ani jej charakter nie przygoto-

wały jej na Leona i kompleksy, z których sam nie zdawał sobie sprawy. Nie oskarżam. Jestem tylko rozpaczliwie, rozpaczliwie smutna.

Nie mogła tutaj wrócić, odwiedzać nas i mieszkać z nami jak dawniej, nie widząc w lokalnej gazecie zdjęć Leona, jego nazwiska, które widniało wszędzie. Jego sukces obiegł całe hrabstwo. Dlatego się przeprowadziliśmy.

Znaleźliśmy mile miejsce, choć nie tak piękne jak tamto, i rzecz jasna, pozbawione wspomnień.

List ten jest prośbą o wybaczenie mojej próżności. Nigdy nie powinnam była się wtrącać. Naprawdę nie wiem, po co to wszystko napisałam; chyba tylko dlatego, że uważałam, iż powinnaś wiedzieć.

Pozdrowienia i wyrazy żalu z powodu naszej utraconej przyjaźni.

Muriel

Nie byłam zaszokowana, rozczarowana, nie czułam też satysfakcji. List dotknął mnie jednak znacznie głębiej.

Poprzednio, pisząc

o swoim stanie na początku pobytu w Flow Country, określałam go jako przejmujący smutek. List sprawił, że smutek wniknął do mojego wnętrza jeszcze bardziej, zasłonił wszystko inne, ogłuszył mnie

i zmęczył. Wyczerpały się moje zapasy psychicznej wytrzymałości i sprawy, z którymi wcześniej nie miałam żadnych problemów, stały się niemożliwe do załatwienia: reperacja dachu, zmiana koła w traktorze. Stary baran na jesieni zrobił to, co do niego należało, ale do Nowego Roku zdażyłam zrozumieć, że tym razem z koceniem nie dam sobie rady. Sprzedałam całe stado oraz Pete'a sąsiadowi. Powiedział mi, że tak naprawdę kupił je ze względu na „tego niezwykłego psa”. Pastwiska wydzierżawiłam, a Deirdre i Małego Cielaczka, który nie był już małym cielaczkiem, sprzedałam przez tę samą gazetę, dzięki której je kupiłam.

Nie miałam już prawie nic do roboty, a to, co było do zrobienia, i tak musiało zostać nie zrobione. Przy ładnej pogodzie siadywałam na krześle na podwórzu i patrzyłam, jak górami wędrują cienie chmur. Brzydkie dni spędzałam głównie w kuchni, zupełnie jak psy pod koniec swego żywota.

Nie rozmyślałam ani nie planowałam. Muszę przyznać, że wolność odzyskałam bardzo łatwo. Nie mając nikogo pod opieką, pozbawiona jakiegokolwiek odpowiedzialności, czułam, że życie wymyka mi się z rąk. Nastął czas leczenia umysłu, który był tak nieporadny jak ciało - ani jedno, ani drugie nie potrafiło zapomnieć. Cała byłam przyzwoleniem, bezwolnym, obojętnym przyzwoleniem.

Pozwoliłam, aby sześć żółtych przesyłek leżało nierozpieczętowa-nych, a kiedy zadałam sobie trud, aby je otworzyć, nie była to czynność systematyczna. Ich zawartość ułożyłam na kuchennym stole, gdzie leżały w bezładnej stercie. Wśród zwykłych wiadomości znalazłam drukowaną kartę. Na niej, pod słowem „dawniej” napisano adres Sleet Park, a pod „obecnie” - Old Manor, Savernake Forest. Na kropkowanych liniach widniało ręczne pismo, rozpoczynające się od „Szanowny Pan Digby Curtis”. Pieczęć pocztowa nosiła datę sprzed czterech miesięcy.

W poszukiwaniu listu od Curtisa przerzuciłam tę stertę papierów, ale go nie znalazłam. Właśnie wtedy wpadła mi w ręce karta pocztowa z targiem rybnym w Marsylii, zapisana po drugiej stronie twoim pismem.

Marsylia. Właśnie tam chciałeś jechać, kiedy rozłożyłeś mapy. „Mój samochód chce podróżować” - powiedziałeś. Marsylia miała być zaraz po Paryżu. „Tu jesteś, pani Sutherland”. Od tej chwili zaczęło się oglądanie kartki, które w końcu zamieniło ją w strzępek papieru. Z tych pięciu słów odczytałam nieskończoną ilość znaczeń. A potem usłyszałam, jak je wypowiadasz. Kiedy się to zdarzyło, zaczęłam się śmiać; tam, w swojej kuchni, śmiałam się i śmiałam, mając za świadka kurczaka, który patrzył na mnie stojąc w otwartych drzwiach.

Pewnego wiosennego dnia, spędziwszy poranek na słonecznym podwórku, wniosłam krzesło do środka, wygasiałam piec, w którym paliło się nieprzerwanie od niemal trzech lat, zakręciłam zawór wody i zamknęłam za sobą drzwi.

Idąc do samochodu, poczułam, że naprawdę wyjeżdżam.

Dotarcie do granicy zajęło mi sześć godzin. Noc spędziłam w Carlise. Wspominam o tym dlatego, że kiedy trzy lata temu opuściłam Sleet, do Flow Country dotarłam bez zatrzymania, nie licząc postojów na stacjach benzynowych.

Old Manor znalazłam z łatwością, i aby umówić się na popołudniową wizytę, zatelefonowałam z sąsiedniej wioski. Był to wielki wiktoriański budynek, otoczony kilkoma akrami rododendronów. Drzwi wejściowe były otwarte. W świetlicy siedziało kilkunastu starszków. Grali w karty, rozmawiali, oglądali telewizję. Nic nie wskazywało na sztywną, szpitalną atmosferę, może z wyjątkiem numerowanych krzeseł. Pod wykuszowym oknem stał fortepian.

Kiedy spytałam, gdzie mogę znaleźć Digby Curtisa, podeszła do mnie krucha kobiecina. Wzięła mnie pod rękę i zaprowadziła z powrotem do hallu, gdzie wskazała schody. Uśmiechała się czarująco, ale przez cały czas nie powiedziała ani słowa.

Wchodząc na schody zorientowałam się, że nie jesteśmy w hallu same.

- Kto to jest, pani Price? Pani wybaczy, że pytam, ale chciałabym wiedzieć, kim pani jest? - Biegła za mną młoda i energiczna osoba. Kiedy wyjaśniłam, kim jestem, powiedziała: - Tak się cieszę, że pani przyjechała! Opowiadał mi o pani. Tak panią uwielbia. Zastanawiam się, czy mogłaby pani nam pomóc w jednej drobnej sprawie.

- Jeśli tylko potrafię.

- Chodzi o to, że on w ogóle nie udziela się towarzysko. Siedzi w swoim mieszkaniu, które jest, rzecz jasna, samodzielne. Jak wszystkie mieszkania tutaj. Lubimy jednak, przynajmniej raz w tygodniu, jeść razem kolację we wspólnej jadalni. Nie jest dobrze, jeśli starsi ludzie zaczynają być zbytymi odludkami. W ciągu sześciu miesięcy tylko raz zszedł na dół. Obawiam się jednak, że po tym występie nie będę mogła mu pozwalać wchodzić do jadalni.

- Dlaczego?

Z zakłopotania zaczęła obgryzać kciuk. Popatrzyła w ziemię, potem na ściany, i znów na mnie.

- Może to zabrzmie głupio, ale... wtedy zszedł na dół ubrany bardzo dziwnie. Właściwie to... był ubrany jak kobieta. Nie miał makijażu ani peruki, nie. Nic aż tak głupiego. Ubrany był w suknię. Szczerze mówiąc, najpiękniejszą suknię, jaką w życiu widziałam.

- Hartnella - poinformowałam.

- Tak myślałam. - Znów gryzła kciuk. - Proszę pani, proszę nie myśleć, że jestem ograniczona czy uprzedzona, aleja po prostu nie mogę popierać żadnych odmian transwestytyzmu. Nasi pensjonariusze i tak byli wystarczająco zażenowani. Czy mogłaby pani szepnąć mu słówko, jak bardzo pragniemy go widywać, ale w jakimś bardziej konwencjonalnym stroju?

- Proszę wejść, panienko. Usłyszałem kroki panienki i wiedziałem, że to panienka idzie.

Przestronny pokój z wykuszowym oknem i kominkiem znajdował się dokładnie nad świetlicą. Curtis właśnie nakrywał do herbaty

na składanym stoliku. Uścisnęłam jego rękę, które odwzajemniły mi uścisk jeszcze mocniej.

- Herbatki, panienko? - wręczył mi filiżankę. Cofnęłam się i usiadłam na krześle. - Najpierw wyrzucimy stąd kotka, dobrze? Złóż, Bully, rusz się! - Wziął pod pachę błękitnego persa. - Zawsze takiego chciałem. Ale co by na to powiedział pan Grimwood, który zabijał każdego kota, jaki mu się nawinął? Potem mieliśmy psy i w końcu zrezygnowałem.

- Jesteś tutaj od sześciu miesięcy, tak?

- Racja. Pan Kennedy wykupił mi miejsce. To mnie wykończy. Ma pięciu innych, ale mieliśmy rozmowę. Wszyscy są nowi. Teraz jest już nas komplet, sami starsi ludzie, tak jak ja, i czujna opieka, no, wiesz, o co mi chodzi. Pomoc pod ręką, jeśli jej potrzebujemy.

- Powiedziano mi, że nie utrzymujesz kontaktów towarzyskich. Zacisnął usta z rozbawieniem.

- Ona ci mówiła, prawda?

- Tylko kilka słów, w najbardziej przyjacielski sposób. Wydaje mi się, że nie podoba się im twój sposób ubierania.

- Myślałem, że to ich utrzyma ode mnie z daleka. To był tylko jeden taki gest. Potem już mi nie zawracali głowy. Nigdy nie lubiłem tłumów. Czczej gadaniny. Zatrzymałem sobie tylko najlepsze sukienki, panienko. Były zbyt piękne, aby je zostawić. Mam nadzieję, że się panienka nie gniewa. Są tam, w szafie, jeśli chce panienka rzucić okiem...

- Nie, dziękuję. Wiem, że dbasz o nie doskonale.

Drżenie głowy pogłębiło się, a ruchy miał niepewne. Chyba nadal nosił gorset. Miał na sobie tę samą czarną marynarkę i prążkowane spodnie, jakie nosił będąc na służbie. Wiedziała, że ubrał się tak po to, aby zatuszować zmiany, jakie między nami zaszły, i aby wszystko było możliwie tak samo, jak dawniej.

- Byłaś w Szkocji, tak? - zapytał.

- Tak. Ale właśnie się wyprowadziłam. -Ach.

- On także wyjechał, prawda? Tak mi się przynajmniej wydaje.

- To prawda. Będzie ze cztery miesiące. Wyruszył w podróż, tak powiedział. To wszystko. Dał mi kilka książek, pozwolił mi je wybrać. Miło jest je mieć. Teraz znowu siedzę nad starym G. Vertue. Przecieram go troszeczkę. Siedzieliśmy razem nic nie mówiąc, myślami wracając do naszej wspólnej przeszłości. Przypomniałam sobie o jego bracie, o tym, że

zanim Curtis wprowadził się na stałe do Sleet, sama czułam, jak jego cała energia i poświęcenie płynię w stronę małego domku, w którym leżał złożony chorobą Maurice. Jak moja matka.

- Nie mogę sobie przypomnieć jego twarzy. Nie jestem nawet pewna, czy w ogóle go kiedykolwiek spotkałam.

- Kogo, panienko?

- Twojego brata.

- Brata, panienko?

- Maurice'a.

- Nie był moim bratem - prychnął. - Był przyjacielem. Moim najlepszym przyjacielem.

Musiałam wyglądać tak, jakbym nagle przejrzała na oczy. Było to dość niegrzeczne. Zakasłał i nachylił się, zbliżając do mnie twarz.

- Nigdy nie miałaś dobrego ucha, co?

- Można nad tym trochę popracować, Curtis. Mam swoje lata i swój rozum.

- Naprawdę? - Był sceptyczny.

Wyciągnęłam kartkę i pokazałam mu. Obrócił ją w palcach i uśmiechnął się, widząc napisaną wiadomość.

- Wieczorem mam prom do Hawru.

- Ach tak. - Sceptycyzm zniknął.

- Musiało już minąć trochę czasu, odkąd kartka została wysłana, prawda?

Nie zadał sobie trudu, aby spojrzeć na datę, ale złapał się za ucho.

- Naucz się mu ufać.

Zajął się znowu swoimi myślami, podnosząc wzrok na okno, na kota, siedzącego mu na kolanach, ale widział wtedy inne rzeczy. Jego oczy się zmieniły. Były czasy, kiedy malowało się w nich rozczarowanie, smutek; teraz te uczucia zniknęły.

- To zabawne, że wspomniała panienka Maurice'a. Od czasu do czasu odwiedza mnie tutaj, w pokoju. Przez wiele lat tego nie robił. -Po chwili dodał: - Niech lepiej już panienka idzie, jeśli chce panienka złapać prom.

Po drodze dotknęłam klawiszy pianina.

- Dużo razem graliście, ty i Leon?

- O tak. Mieliśmy udane chwile. - Zatrzasnął na nadgarstku miedzianą bransoletę.

- Podśluchiwałam was kiedyś. Stałam pod drzwiami twojego

mieszkania, a wy graliście tam we dwóch; on na klawirze, ty na pianinie. Szło wam wyśmienicie.

Curtis potrząsnął głową, znów łapiąc się za ucho.

- Nie, panienko. My w ogóle nie graliśmy.

Kupiłam kwiat, duży, jedwabny. Nie fioletowy, kojarzący się ze starością, lecz pękłą, postrzępioną, brudnoróżową peonię. Siedzę tutaj, w środku, od pół godziny. Tak, w środku. Przeniosłam się pomimo uprzejmie wystawionych na zewnątrz stolika i krzesła. Za bardzo pada. Nie spodziewałam się deszczu. Starsza pani siedziała na swoim miejscu z tą swoją małą psinką na kolanach, jak zwykle. Przyszliśmy wcześniej, ona i ja. Byłyśmy pierwsze. Wręczyłam jej kwiat w pudełku, ale ze zdjętą pokrywką, aby mogła od razu zobaczyć, co jest w środku.

- *Pour moi? Vraiment? Pour moi?* - powtarzała zachwycona, zdejmując jednocześnie ze swojej klapy tę zatłuszczoną kępkę i wkładając na jej miejsce peonię. Stałam i patrzyłam.

Nie poprosiła mnie, abym się przysiadła. Zrozumiała, że był to prezent w podziękę za wyrozumiałość, że jestem taka nietowarzyska. Oraz, oczywiście i przede wszystkim - za uratowanie kartki pocztowej.

Siedzę przy swoim nowym stoliku, tuż przy szklanym parawanie. Stąd widzę trawnik, zatłoczoną ulicę i targ rybny. Tak, jestem tutaj. Każdy, kto mnie będzie szukał, może mnie tu zobaczyć.

Myślę o Francisie. Wrócił do mnie dwukrotnie. Pierwszy raz miało to miejsce wczesnym porankiem na bulwarze Charles Livon, na którym chodniki pod morwami poplamione są na brudnoczerwono. Był tutaj, obok, to wszystko. Nic, co można by zobaczyć czy dotknąć. Żadnych wiadomości. Drugi raz byłam w łazience w hotelu.

Szczotkowałam włosy, nadal zadowolona, że są krótkie. Po kilku minutach wstałam z poczuciem pewności, że on leży na łóżku, za sąsiednimi drzwiami, z rękami pod głową, trzymając piętę jednej stopy na palcach drugiej. Nie poszłam sprawdzić, czy to prawda. Nauczyłam się wystarczająco dużo, aby tego nie robić. Miałam wrażenie, że do siebie mówimy. Bezdźwięcznie. Ot, banalne, nic nie znaczące pogaduszki, jakie ciągną ze sobą małżeńskie pary, kiedy się ubierają.

To wszystko. Kończę ostatni zeszyt. Nie zostało nic, co można by dopowiedzieć. Wszystko jest przede mną. Wstanę, wyjadę, i być może wrócę. Kto wie, czy z tobą, czy bez ciebie. Wolę wierzyć, że z tobą.